

Marc Levy

GDZIE
JESTEŚ?



*Tylko miłość i przyjaźń wypełniają
samotność naszych czasów.
Nie każdy ma prawo do szczęścia,
to codzienna walka.
Sądzę, że trzeba umieć je przeżywać,
kiedy do nas przychodzi.*

Orson Welles

Dla Louisa
Dla M.

Przyszedł na świat 14 września 1974 roku o ósmej rano, na 15°30' szerokości geograficznej północnej i 65° długości geograficznej zachodniej, co umiejscowiło jego kolebką na małej wyspie nieopodal wybrzeża Hondurasu. Nikt nie zwrócił uwagi na te narodziny, w rejestrze umieszczono je pod kolejnym numerem siedemset trzydzieści cztery. Przez pierwsze dwa dni życia jego rozwój nie budził szczególnego zainteresowania. Parametry życiowe były stabilne, nie zajmowano się więc specjalnie tokiem jego ewolucji. Poddawany był takim samym zabiegom jak wszystkie noworodki; jego stan sprawdzano co sześć godzin, zgodnie z obowiązującą procedurą. Dopiero 16 września o godzinie czternastej wyniki analiz zwróciły uwagę ekipy naukowców z Gwadelupy. Zaczęto się zastanawiać nad jego zbyt szybkim wzrostem. Pod wieczór szef zespołu naukowego

sprawującego nad nim nadzór był wręcz zaniepokojony, skontaktował się więc ze swoimi amerykańskimi kolegami. Następowo właśnie coś bardzo ważnego, metamorfoza tego noworodka wymagała, aby zajęła się nim cała ludzkość. Jako owoc związku zimna i ciepła zaczynał już przejawiać swój niebezpieczny charakter. Jego mniejsza siostra Elaine, urodzona w kwietniu tego samego roku, przeżyła tylko jedenaście dni i nie zdołała osiągnąć dużej siły, on natomiast rósł w zatrważającym tempie i po dwóch dniach uzyskał niepokojące rozmiary. Trzeciego wieczoru swego życia próbował już poruszać się na wszystkie strony. Obracał się w kółko, wykazując coraz większą żywotność, ale nie usiłował zdążyć w jakimś jednym określonym kierunku.

O godzinie drugiej w nocy z 16 na 17 września, w nikłym neonowym świetle profesor Hue obserwował jego powstawanie, pochylony nad biurkiem zarzuconym kartkami z wynikami badań, kolumnami cyfr i wykresami, do złudzenia przypominającymi elektrokardiogram — i wtedy doszedł do wniosku, że jego rozwój wymaga, aby natychmiast nadano mu imię, jakby dla przepędzenia czyhającego zła. Biorąc pod uwagę jego zadziwiające przemiany, nie należy się spodziewać, że przestanie rosnąć. Wymyślono mu imię, zanim przyszedł na świat — będzie się nazywał Fifi. Do historii wszedł 17 września 1974 roku o ósmej rano, po przekroczeniu prędkości stu dwudziestu kilomet-

rów na godzinę. Wtedy też został oficjalnie zakwalifikowany przez meteorologów z CDO (Centre des ouragans) w Pointe-a-Pitre oraz przez ich kolegów z NHC (National Hurricane Center) w Miami jako huragan pierwszej klasy w skali Saffira-Simpsona. W następnych dniach miał zmienić klasę, przechodząc bardzo szybko do drugiej, ku wielkiemu zaniepokojeniu wszystkich badających go profesorów. O godzinie czternastej Fifi wzniecał wiatry o prędkości stu trzydziestu ośmiu kilometrów na godzinę, a już wieczorem pędził je z prędkością niemal stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Największy jednak niepokój budziła jego pozycja, która niebezpiecznie się zmieniła — ulokował się teraz na $16^{\circ} 30'$ szerokości geograficznej północnej i $82^{\circ} 10'$ długości geograficznej zachodniej. Ogłoszono stan najwyższego zagrożenia. Osiemnastego września, o drugiej w nocy, huragan Fifi zbliżał się do wybrzeży Hondurasu, omiatając północną ich część porywami wiatru o prędkości dwustu czterdziestu kilometrów na godzinę.

Lotnisko w Newark. Taksówka podwiozła ją do samego chodnika, po czym odjechała w zgiełku pojazdów krążących zwykle wokół miast satelickich; zniknęła w oddali. Ogromny zielony toból leżący u jej stóp waży chyba więcej niż ona sama. Unosi go z grymasem na twarzy i zarzuca na plecy. Mija automatyczne drzwi pierwszego terminalu, przemierza hol i schodzi kilka stopni w dół. Po prawej stronie wznoszą się spiralnie kolejne schody; pomimo ciężaru na plecach wchodzi na nie i zdecydowanym krokiem idzie korytarzem. Zatrzymuje się przed szklaną ścianą baru skąpanego w pomarańczowym świetle i patrzy przez szybę. Około dziesięciu mężczyzn, opartych o kontuar, sączy piwo, głośno komentując wyniki meczów pokazywanych na ekranie telewizora, wiszącego nad ich głowami. Wchodzi, popychając drewniane drzwi z dużym okrągłym

otworem, i rozgląda się po czerwonych i zielonych stolikach. Dostrzega go w głębi, przy szklanej ścianie, tuż nad płytą lotniska. Na stoliku złożona gazeta, prawa ręka podpira brodę, lewa zaś, błędząc, rysuje jakąś twarz na papierowym obrusie.

Jego spojrzenie, którego ona jeszcze nie widzi, utkwione jest w oddali, w betonowej powierzchni poprzecinanej żółtymi pasami, na których samoloty powoli suną w kierunku nieco dalej położonego miejsca startu. Waha się chwilę, po czym rusza prawą stroną w jego kierunku, on jednak jej nie widzi. Przechodzi obok warczącej szafy chłodniczej, szybkim wyciszonym krokiem zbliża się do niego. Kładzie rękę na włosach czekającego na nią młodego mężczyzny i targa je czułym gestem. Na wytłaczanym papierowym obrusie narysowana jest jej twarz.

— Długo kazałam na siebie czekać? — pyta.

— Nie, jesteś prawie punktualna, dopiero teraz każesz mi czekać.

— Od dawna tak siedzisz?

— Nie mam pojęcia. Jaka jesteś ładna! Siadaj. Ona uśmiecha się i patrzy na zegarek.

— Odlatuję za godzinę.

— Zrobię wszystko, żebyś się spóźniła, żebyś nigdy nie poleciała!

— Uważaj, bo odleczę stąd za dwie minuty! — mówi, siadając.
— No dobrze, obiecuję, już nie będę. Mam coś dla ciebie.

Kładzie na stoliku czarną plastikową torebkę, koniuszkiem wskazującego palca posuwa w jej stronę. Ona przechyla głowę, tak jakby chciała zapytać: „Co to takiego?”. On rozumie każdą najmniejszą zmianę jej wyrazu twarzy, odpowiada więc jedynie spojrzeniem: „Otwórz, zobaczysz”. Jest to mały album ze zdjęciami.

On zaczyna przewracać kartki. Na pierwszej stronie, na czarno-białym zdjęciu, dwoje dwulatków — przyglądają się sobie, stojąc twarzą w twarz, trzymają się za ramiona.

— To nasze najdawniejsze zdjęcie, jakie udało mi się znaleźć — mówi on.

Przewraca następną stronę, komentując dalej:

— A tutaj ty i ja w czasie świąt Bożego Narodzenia, ale nie pamiętam w którym roku, mamy chyba niecałe dziesięć lat. Wydaje mi się, że to było wtedy, kiedy dałem ci mój medalik od chrztu.

Susan sięga ręką za dekolt, wyciąga cienki łańcuszek i wisiołek z wizerunkiem świętej Teresy, z którym się nigdy nie rozstaje. Po kilku następnych stronach przerywa mu i zaczyna wspominać:

— A tutaj mamy po trzynastu lat, jesteśmy w ogrodzie u twoich rodziców, właśnie cię pocałowałam, to nasz pierwszy pocałunek, a ty powiedziałeś: „To obrzydliwe”,

kiedy chciałam wsunąć język; a tutaj dwa lata później, ja z kolei powiedziałam, że to obrzydliwe, kiedy zaproponowałeś mi wspólne spanie.

Przy następnej stronie Philip zabiera głos, wskazując inne zdjęcie.

— Rok później, pod koniec tego wieczoru, jeśli dobrze pamiętam, wcale nie uważałaś, że to obrzydliwe.

Każda celuloidowa kartka znaczy jakiś etap ich wspólnego dzieciństwa. Ona mu przerywa.

— Przeskoczyłeś sześć miesięcy, nie ma zdjęcia z pogrzebu moich rodziców! A właśnie wtedy wydawałeś mi się najbardziej seksowny!

— Skończ z tym kretyńskim humorem, Susan!

— Ja wcale nie żartuję. Po raz pierwszy poczułam wtedy, że jesteś silniejszy niż ja, bardzo mi to dodało odwagi. Wiesz, nigdy nie zapomnę...

— Nie mówmy o tym...

— ...że to właśnie ty zdjąłeś obrączkę mamy w czasie czuwania...

— Możemy zmienić temat?

— Wydaje mi się, że to ty co roku przywołujesz we mnie ich pamięć, zawsze byłeś taki opiekuńczy, uważający, usłużny, w każdą rocznicę ich wypadku.

— Pomówimy teraz o czymś innym?

— No dobrze, pokaż, jak przybywa nam lat, przewracaj kartki.

Patrzy na nią nieporuszony, tylko w jego spojrzeniu jest jakiś cień. Ona uśmiecha się do niego i mówi:

— Wiem, to egoizm z mojej strony, że pozwoliłam ci się odprowadzić na samolot.

— Susan, dlaczego ty to robisz?

— Dlatego że „to” jest urzeczywistnieniem moich marzeń. Nie chcę skończyć tak jak moi rodzice, Philipie. Widziałam, jak przez całe życie płacili raty, i po co to wszystko? Po to, żeby pewnego dnia zabić się o drzewo we wspaniałym samochodzie, który właśnie kupili. Całe ich życie sprowadziło się do dwóch sekund w wieczornych informacjach, które oglądałam we wspaniałym telewizorze, nawet jeszcze niespłaconym. Niczego ani nikogo nie osądzam, Philipie, ale ja pragnę czegoś więcej, a zajmowanie się innymi jest czymś prawdziwym, co daje poczucie prawdziwego życia.

On patrzy na nią trochę z zagubieniem, ale i z podziwem dla jej determinacji. Od czasu wypadku zmieniła się, tak jakby lata tłoczyły się przed każdym sylwestrem, jak karty rzucane po dwie, żeby szybciej je rozdać. Susan nie wygląda już na swoje dwadzieścia jeden lat, chyba tylko wtedy gdy się uśmiecha, co zdarza się dość często. Po ukończeniu college'u, z dyplomem Associate of Arts w kieszeni, wstąpiła do Korpusu Pokoju, organizacji humanitarnej, która wysyła młodych ludzi do pomocy w innych krajach.

Za niecałą godzinę wyjedzie na dwa długie lata do Hondurasu. Po przebyciu kilku tysięcy kilometrów od Nowego Jorku przeniesie się na drugą stronę lustra świata.



Nad zatoką Puerto Castilla, tak jak i Puerto Cortes, ci, którzy chcieli nocować pod gołym niebem, musieli zmienić zamiar. Późnym popołudniem zerwał się wiatr, a teraz już wiał bardzo mocno. Nikt się jednak specjalnie nie niepokoił. Nie pierwszy ani nie ostatni raz zapowiadała się tropikalna nawałnica, kraj był przyzwyczajony do gwałtownych opadów deszczu, częstych o tej porze roku. Wydawało się, że dzień zmierza ku zachodowi wcześniej niż zwykle, ptaki umykały w pośpiechu z łopotem skrzydeł, co stanowi niedobry znak. Około północy piasek zaczął wzlatywać, tworząc obłok pyłu kilka centymetrów nad ziemią. Błyskawicznie wzdymały się fale, nie było już nawet słychać ludzkich głosów nawołujących do wzmocnienia lin cumowniczych na statkach.

W rytm błyskawic rozdzierających niebo wzburzona piana morska unosiła pontony prawie do pionu i niebezpiecznie nimi kołysała. Szarpane przez rozwścieczone morze statki wpadały na siebie, uszkodzając kadłuby. Piętnaście po drugiej statek towarowy San Andrea, długi na trzydzieści pięć metrów, został rzucony na skały i zatonął w osiem minut po rozdarciu jednej z burt na całej długości.

O tej samej porze na El Golason, niewielkim lotnisku w mieście La Ceiba, szarosrebrny samolot DC3, stojący przed hangarem, nagle uniósł się w powietrze, a po chwili spadł u stóp budynku, który pełnił funkcję wieży kontrolnej; na pokładzie nie było pilota. Oba śmigła się pogięły, a stery złamały na pół. Kilka minut później ciężarówka cysterna przewróciła się, sunąc poślizgiem, a snop iskier spowodował wybuch paliwa.



Philip położył rękę na dłoni Susan, po chwili odwrócił ją i zaczął głaskać wewnętrzną stronę.

— Będzie mi cię bardzo brakować, Susan.

— Mnie także... jeszcze jak!

— Jestem z ciebie dumny, mimo że nie cierpię tak sterczeć na lotnisku.

— Przestań, obiecaliśmy sobie, że nie będzie łez.

— Nie żądaj tego, co niemożliwe!

Pochyleni ku sobie dzielili smutek rozstania i wspólne poczucie dziewiętnastoletniego głębokiego porozumienia, co stanowiło prawie całe ich życie.

— Będziesz mi dawała znać, co się dzieje? — zapytał z miną małego chłopca.

— Nie!

— Będziesz pisała?

— Jak myślisz, dostanę tu lody?

Odwrócił się i przywołał kelnera. Zamówił dwie kulki lodów waniliowych polanych ciepłą czekoladą, posypanych płatkami migdałowymi i dodatkowo obficie polanych sosem karmelowym; właśnie w tej przepisowej kolejności musiał być przygotowany jej ulubiony deser. Susan patrzyła Philipowi prosto w oczy. . — A ty?

— Ja napiszę, jak tylko dostanę twój adres.

— Ale czy zdecydowałeś się już, co będziesz robił?

— Dwa lata w Cooper Union, a potem spróbuję się zaczepić w jakiejś dużej agencji reklamowej.

— To znaczy, że nie zmieniłeś zdania. Co ja plotę, przecież ty nigdy nie zmieniasz zdania.

— A może ty zmieniasz?

— Philipie, przecież i tak nie pojechałbyś ze mną, gdybym ci to zaproponowała, bo to nie twoje życie. A ja nie chcę tu zostać, bo to nie moje życie, więc przestań się dąsać.

Susan łakomie oblizywała łyżeczkę, od czasu do czasu nabierała lodów i zbliżała ją do ust Philipa, który poddawał się temu z uległością. Wyskrobała wszystko z dna, wygrzebała ostatnie okruchy migdałów przylepione do ścian pucharka. Zegar wiszący na przeciwległej ścianie wskazywał piątą po południu tego jesiennego dnia. Nastąpiła chwila milczenia; Susan oderwała nos od szyby, o którą go rozpląszczała, pochyliła się nad stolikiem, aby obiema rękami objąć Philipa za szyję, i wyszeptała mu do ucha:

— Wiesz, boję się.

Philip odsunął ją nieco, żeby na nią popatrzeć.

— Ja też.



O trzeciej nad ranem w Puerto Lempira pierwsza dziewięciometrowa fala doszczętnie zniszczyła groble, unosząc tony ziemi i skał w stronę portu, który został dosłownie rozniesiony. Żelazny żuraw wygiął się pod siłą wiatru, jego ramię upadło, przecinając pokład kontenerowca Rio Plátano, który zanurzył się we wzburzonej wodzie. Co pewien czas między dwiema falami widać było jego dziób, sterczący w stronę nieba; później, w nocy, zniknął całkowicie i nigdy już się nie ukazał. W tym regionie, gdzie co roku spadają na ziemię średnio ponad trzy metry wody, ci, którzy przeżyli pierwsze uderzenie Fifi i chcieli się schronić w zagłębieniach ziemi, zginęli porwani przez wezbrane rzeki, rozbudzone w środku nocy, wyrzucone z koryt, porywające każdą rzecz napotkaną na swej drodze. Zniknęły wszystkie aglomeracje w dolinie, zatopione przez wzburzone masy wody, niosące połamane drzewa z ostrymi czubami, fragmentami mostów, dróg i domów. W regionie Limon wioski leżące na zboczach gór Amapala, Piedra Blanca, Biscuampo Grandę, La Jigua i Capiro obsunęły się wraz ze zwałami ziemi w stronę wcześniej już zalanych dolin. Nieliczni mieszkańcy, którzy ocaleli, uczepieni

drzew, mieli zginąć w ciągu najbliższych godzin. O drugiej dwadzieścia pięć trzecia fala uderzyła prosto w prowincję o wymownej nazwie Atlantyda, jej wybrzeże zostało przecięte falą, której wysokość przekraczała jedenaście metrów. Miliony ton wody spadły na miejscowości La Ceiba i Tela, torując sobie drogę wąskimi uliczkami, które, zawężając strumień, dodawały mu jeszcze siły. Pierwsze zachwiały się domy stojące nad wodą, potem runęły, bo nagle spłynęły ich ziemne fundamenty. Dachy z blachy falistej wznosiły się i gwałtownie spadały na ziemię, siekając pierwsze ofiary tej masakry.



Spojrzenie Philipa powędrowało ku jej piersiom, których krągłość była wręcz prowokująca. Susan dostrzegła to, odpięła guzik bluzki i wyciągnęła mały złoty medalik.

— Nic mi nie grozi, mam przecież twój talizman, którego nigdy nie zdejmuję. Już mnie kiedyś uratował, dzięki niemu nie wsiadłam z nimi do samochodu.

— Mówiłaś mi to już ze sto razy, Susan, nie rozmawiajmy o tym teraz, akurat przed podróżą samolotem, dobrze?

— W każdym razie — powtórzyła, wsuwając medalik pod bluzkę — z nim nic mi się nie stanie.

To był dowód łączności duchowej. Któregoś lata postanowili zawrzeć braterstwo krwi. Cały plan poprzedzili dogłębną analizą. Książki o Indianach pożyczone z biblio-

teki, gorliwie czytane na ławce na boisku szkolnym; wnioski wyciągnięte z badań nie pozostawiały najmniejszej wątpliwości co do metody, jaką należy zastosować. Trzeba wymienić krew, czyli najpierw gdzieś się skaleczyć. Susan potajemnie wzięła z biurka ojca jego nóż myśliwski; schowali się w szałasie Philipa. Philip wyciągnął palec, usiłował zamknąć oczy, ale zakręciło mu się w głowie, gdy tylko poczuł bliskość ostrza. Ona także nie czuła się najlepiej, więc ponownie zagłębili się w „przestępczym” podręczniku, aby znaleźć rozwiązanie problemu: „Ofiarowanie świętego przedmiotu świadczy o wzajemnym oddaniu dwóch dusz”, zapewniano na dwieście trzydziestej szóstej stronie.

Po sprawdzeniu znaczenia słowa „ofiarowanie” za obopólną zgodą została wybrana ta druga metoda. Podczas uroczystej ceremonii wygłosili kilka wierszy Irokezów i Siuksów, po czym Philip zawiesił swój medalik od chrztu na szyi Susan. Nigdy nie rozstawała się z tym medalikiem, nawet nie chciała słuchać matki, która prosiła, aby zdejmowała go chociaż na noc.

Susan uśmiechnęła się szeroko.

— Możesz ponieść mi torbę? Waży chyba tonę. Muszę się jeszcze przebrać, bo padnę z gorąca, kiedy tam przyjadę.

— Przecież masz na sobie tylko bluzkę!

Podniosła się i pociągnęła go za ramię, gestem ręki pokazując kelnerowi, żeby zatrzymał dla nich stolik. Kelner

skinął głową, sala była prawie pusta. Philip położył torbę przy wejściu do toalet, Susan stanęła obok niego.

— Wejdiesz? Przecież powiedziałam, że jest ciężka.

— Chętnie, ale ten przybytek w zasadzie jest tylko dla kobiet.

— No to co? Teraz boisz się podglądać mnie w toalecie? Myślisz, że to trudniejsze niż w sąsiedniej kabynie w liceum, a może bardziej wyrafinowane niż okienko od łazienki w twoim mieszkaniu? Wchodź!

Przyciągnęła go do siebie, nie pozostawiając mu innego wyjścia — musiał za nią tam wejść. Ulżyło mu, gdy zobaczył, że jest tylko jedna kabina. Susan oparła się na jego ramieniu, zdjęła lewy but i uderzyła nim w lampę na suficie. Od razu osiągnęła swój cel: żarówka rozprysła się z suchym trzaskiem. W półmroku, rozproszonym tylko neonową lampką nad lustrem, oparła się o umywalkę, objęła go i przycisnęła usta do jego ust. Przy pierwszym oddechu jej wargi przesunęły się w stronę jego ucha; ciepło jej szeptu wywołało w nim jakiś nieokreślony dreszcz, schodzący w dół wzdłuż kręgosłupa.

— Nosłam twój medalik między piersiami jeszcze wtedy, kiedy ich nie miałam, a teraz chcę, żeby twoja skóra zachowała ich wspomnienie na dłużej. Wyjeżdżam, ale będę cię nawiedzać podczas naszej rozłąki, żebyś nie należał do żadnej innej.

— Ależ z ciebie megalomanka!

Zielony półksiężyc zasuwki zmienił kolor na czerwony.

— Nic nie mów, chodź... — powiedziała. — Chcę zobaczyć, czy zrobiłeś postępy.

Po dłuższym czasie oboje wyszli i wrócili do stolika, prowadzeni surowym spojrzeniem barmana wycierającego kieliszki.

Philip wziął Susan za rękę, ale poczuł, że ona jest już zupełnie gdzie indziej.



Bardziej na północ, na skraju doliny Sula, fale, teraz już ogromne, w ogłuszającym huku unicestwiały wszystko na swej drodze. Samochody, bydło, gruz co chwila wyłaniały się z błotnistych wirów, ukazując niekiedy straszliwe kłębowisko pokawałkowanych ciał. Nic się nie oparło — słupy elektryczne, ciężarówki, mosty, fabryki unosiły się znad ziemi, nieuchronnie porywane przez owo połączenie sił, których nie sposób pokonać. W ciągu kilku godzin dolina została zamieniona w jezioro. Jeszcze długo później starsi ludzie opowiadali, że piękno tutejszego krajobrazu skłoniło Fifi do pozostania na miejscu aż dwa dni; dwa dni, które pociągnęły za sobą śmierć dziesięciu tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci, zostawiły prawie sześćset tysięcy bez dachu nad głową i bez środków do życia. Przez czterdzieści osiem godzin ten mały kraj, wielkości stanu Nowy Jork, wtłoczony pomiędzy Nikaragwę, Gwatemalę i Salvador, został

całkowicie wyniszczony przez siłę odpowiadającą mocy trzech bomb atomowych.



— Susan, jak długo tam zostaniesz?

— Musimy już iść do odprawy A może wolisz tu jeszcze posiedzieć?

Wstał bez słowa, położył na stoliku dolara. Już na korytarzu Susan przytknęła twarz do okienka w drzwiach i ogarnęła wzrokiem puste krzesła, na których przed chwilą siedzieli. Usiłując pokonać wzruszenie, zaczęła mówić pospiesznie:

— Za dwa lata, kiedy wrócę, będziesz tu na mnie czekał, spotkamy się jakby potajemnie. Opowiem ci o wszystkim, co robiłam, ty też opowiesz mi o wszystkim, co robiłeś, usiądziemy przy tym samym stoliku, bo to już jest nasz stolik; kiedy zostanę współczesną Florence Nightingale, a ty wielkim malarzem, przybiją tu kiedyś miedzianą tabliczkę z naszymi nazwiskami.

Przy wejściu do odprawy powiedziała mu, że się nie odwróci, bo nie chce oglądać zasmuconej miny, woli zachować w pamięci jego uśmiech; nie chce też myśleć o nieżyjących rodzicach, dlatego ojciec i matka Philipa nie przyjechali na lotnisko. Objął ją i wyszeptał: „Dbaj o siebie”. Mocno przytuliła głowę do jego piersi, żeby wchłonąć trochę jego zapachu i zostawić mu jeszcze więcej swojego. Podała bilet stewardesie, pocałowała Philipa po raz ostatni,

nabrała powietrza do płuc i wydeła policzki, żeby mina klauna pozostała mu w pamięci jako ostatni obrazek. Wbiegła po schodach prowadzących na płytę lotniska, przebyła drogę wytyczoną stojącymi pracownikami obsługi naziemnej, weszła na schodki i zniknęła we wnętrzu samolotu.

Philip wrócił do baru i usiadł przy tym samym stoliku. Na płycie postojowej silniki douglasa zaczęły prychać, wyrzucając kłęby szarego dymu. Łopaty śmigieł ruszyły w kierunku przeciwnym niż wskazówki zegara, po czym dwa razy powoli obróciły się w drugą stronę, a po chwili były już niewidoczne. Samolot pokołował wolno na pas startowy. Stanął na kilka minut, ustawił się do startu. Koła zasłaniające białe oznakowanie na ziemi nagle przestały się kręcić, co zachwiało podwoziem. Na poboczach gięły się wysokie trawy, jakby samolot je pozdrawiał. Szklana ściana baru zaczęła drżeć, gdy silniki zwiększyły obroty, lotki po raz ostatni pomachały widzom, po czym dwusilnikowiec ruszył z miejsca. Nabierając prędkości, przejechał tuż obok; Philip zobaczył unoszący się nad ziemię ogon, potem koła. DC3 błyskawicznie znalazł się w powietrzu, zakręcił w prawo i zniknął w oddali za cienką warstwą chmur.

Przez kilka chwil Philip patrzył w niebo; po pewnym czasie jego spojrzenie padło na krzesło, na którym dopiero co siedziała Susan. Ogarnęło go bezgraniczne poczucie samotności. Wstał i wyszedł, trzymając ręce w kieszeniach.

25 września 1974 roku, w samolocie... Drogi Philipie, wydaje mi się, że nie zdołałam ukryć przed tobą strachu, który przed chwilą ścisnął mi brzuch. Lotnisko właśnie zniknęło nam z oczu. Kręciło mi się w głowie aż do chwili, gdy chmury zasłoniły ziemię, ale już czuję się o wiele lepiej. Jestem rozczarowana, bo nie było widać Manhattanu, teraz jednak niebo się roz pogodziło, mogę nawet policzyć grzbiety fal, są całkiem malutkie, jak baranki. Obserwowałam też jakiś duży okręt, który płynie w twoim kierunku. Niedługo u ciebie też będzie ładna pogoda.

Nie wiem, czy moje pismo jest czytelne, bardzo tu trzęsie. Czeka mnie długa podróż, w Miami będę za sześć godzin, po lądowaniu w Waszyngtonie, potem

zmienimy samolot, żeby dolecieć do Tegucigalpy. Już sama nazwa wydaje się magiczna. Myślę o tobie, chyba jesteś już w drodze do domu; ucałuj serdecznie rodziców, opiszę ci później całą podróż, ty też dbaj o siebie, mój kochany...

Susan,

właśnie wróciłem, ani mama, ani tata o nic nie pytali, chyba domyślili się wszystkiego z mojej miny. Mam do siebie pretensje o to, co mówiłem, powinienem był uszanować twoją radość i chęć wyjazdu, racja jest po twojej stronie, nie wiem, czy miałbym odwagę wyjechać, gdybyś mi to zaproponowała. Jednak tego nie zrobiłaś i tak chyba jest lepiej. Sam nie wiem, co to ostatecznie zdanie ma znaczyć. Wieczory bez ciebie będą się dłużyły. Wyślę ten pierwszy list na adres biura Korpusu Pokoju w Waszyngtonie, na pewno ci go doręczą.

Już mi ciebie brakuje, aż za bardzo.

Philip

...znowu biorę papier i pióro, jest niesamowite światło, nigdy czegoś takiego nie widziałeś, ja zresztą też nie. Tutaj, ponad chmurami, oglądam prawdziwy zachód słońca, widziany z góry jest po prostu odlotowy, serce mi pęka z żalu, że cię tu nie ma, że nie

oglądasz tego co ja, zapomniałam ci powiedzieć coś bardzo ważnego: wydaje mi się, że straszliwie będzie mi ciebie brakować.

Susan 15 października 1974

*Susan,
mijają trzy tygodnie od twojego wyjazdu, ciągle jeszcze nie ma listu od ciebie, wyobrażam sobie, że ten list właśnie jest w podróży, gdzieś między tobą a mną. Rodzina często pyta o ciebie, jeśli nie dostanę szybko listu, będę musiał coś wymyślić...*

*Philipie,
przyjazd był okropnie chaotyczny. Na cztery dni utknęliśmy w Miami, czekaliśmy na dwa kontenery z żywnością i na otwarcie lotniska w La Ceiba, gdzie mieliśmy zrobić postój. Chciałam przy okazji zwiedzić trochę miasto, ale to marzenie ściętej głowy. Wraz z innymi członkami mojej jednostki byliśmy zgrupowani w hangarze. Trzy posiłki dziennie, dwa prysznice i jedno łóżko polowe, intensywny kurs hiszpańskiego i ratownictwa, zupełnie jak w wojsku, tyle że bez sierżanta. DC3 w końcu przetransportował nas do Tegucigalpy, stamtąd wojskowym helikopterem poleciliśmy na Ramon Villesla Morales, małe lot-*

nisko w mieście San Pedro Sula. To coś nieprawdopodobnego, Philipie, z góry ten kraj wygląda, jakby został zbombardowany. Kilometrowe połacie ziemi całkiem spustoszone, ruiny domów, strzaskane mosty i prawie wszędzie naprędce urządzone cmentarze. Lecąc na niedużej wysokości, widzieliśmy ręce wyciągnięte do nieba, wystające z oceanu błota, setki szkieletów zwierząt, leżące brzuchami do góry. Wszędzie okropnie cuchnie. Drogi są zdewastowane, wyglądają jak porozwiązywane wstążki na porozrywanych pudłach. Drzewa wyrwane z korzeniami leżą jedne na drugich. Nic nie ocalało pod tymi gigantycznymi bierkami. Zbocza gór całkiem się pozapadały, wykreślając z mapy całe osady leżące na nich. Nikt nie policzy zabitych, ale są ich tysiące. Kto się doliczy rzeczywistej liczby pogrzebanych zwłok? Skąd ci, którzy ocaleli, będą czerpać siłę do przetrwania takiej rozpacz? Powinny nas być setki, tych, którzy przybywają z pomocą, a w helikopterze, razem ze mną, było zaledwie szesnaście osób.

Powiedz, Philipie, dlaczego potężne narody wysyłają legiony ludzi na wojny, a nie mogą wysłać choć garstki na ratunek dzieciom? Ile czasu musi jeszcze upłynąć, zanim zrozumiemy tę oczywistość? Philipie, tobie mogę się przyznać do tego dziwnego uczucia: jestem tutaj, wśród tych wszystkich zmarłych, i jak

nigdy przedtem czuję, że żyję. Coś się zmieniło, teraz życie nie jest dla mnie prawem, stało się przywilejem. Bardzo cię kocham, Philipie.

Susan 25 października

Susan,
reportaże o okropnościach, wśród których przebywasz, ukazały się w prasie w tym tygodniu, akurat wtedy gdy dostałem twój pierwszy Ust. Gazety piszą o dziesięciu tysiącach zabitych. Myślę o tobie w każdej sekundzie, wyobrażam sobie, co przeżywasz. Ze wszystkimi o tobie rozmawiam, wszyscy o tobie mówią. We wczorajszym „Montclair Times” jakiś dziennikarz napisał o pomocy humanitarnej, jaką nasz kraj tam wysłał; na końcu artykułu wymienia twoje nazwisko, wyciąłem to i posyłam tobie. Wszyscy o ciebie pytają, co wcale mi nie ułatwia przeżywania twojej nieobecności. Bardzo mi cię brakuje! Zaczęły się wykłady, szukam jakiegoś mieszkania w pobliżu uczelni, jest pracownia, którą trzeba wyremontować, w niewielkiej trzypiętrowej kamienicy przy Broome Street. Dzielnica także jest w opłakanym stanie, ale mieszkanie spore, czynsz nawet przystępny, wyobrażasz sobie, na samym Manhattanie! Kiedy wrócisz, będziemy o kilka kroków od Film Forum, pamiętasz?

Rzecz nieprawdopodobna, w witrynie baru naprzeciwko wisi mała flaga Hondurasu; czekając na ciebie, będę tam spędzał całe dni, to jakiś znak. Uważaj na siebie. Brak mi ciebie.

Philip

Listy od Susan przychodziły raz na tydzień, odpisywał na nie jeszcze tego samego wieczoru. Bywało, że się mijały, niektóre odpowiedzi przychodziły, zanim jeszcze zadano pytania. Na dwudziestym równoleżniku ludzie musieli mieć cierpliwość, kraj usiłował się podźwignąć mimo katastrofalnych warunków. Susan i jej towarzysze założyli pierwszy obóz dla tych, którzy ocaleli. Zainstalowali się w dolinie Sula, pomiędzy górami San Idelfonso i Cabaceras de Naco. W styczniu przygotowywano masową akcję szczepień. Susan przemierzała drogi zdezelowaną ciężarówką, jednocześnie rozwożąc żywność, worki z ziarnem i lekarstwa. Kiedy nie siedziała za kierownicą starego dodge'a, poświęcała czas organizowaniu głównego obozu. Pierwszy wzniesiony barak pełnił funkcję ambulatorium, w następnym mieściły się biura administracji. W dziesięciu domkach zbudowanych z gliny i cegieł mieszkało już trzydzieści rodzin. Pod koniec stycznia mała osada Susan, rozplanowana na trzech uliczkach, składała się z dwóch budynków, dwudziestu jeden chatki i dwustu mieszkańców, z których dwie trzecie miało nowy dach nad głową. Pozo-

stali sypiali w namiotach. Na czymś, co znowu było centralnym placem, zaczynały się wznosić fundamenty szkoły. Co rano, po zjedzeniu kukurydzianego placka, szła do magazynu, drewnianego hangaru wybudowanego na Boże Narodzenie, załadowywała ciężarówkę i ruszała w objazd. Kiedy silnik się dławiał, uruchamiany korbą przez Juana, drżała cała kabina, a Susan musiała puszczać kierownicę, tak silne były wibracje; czekała, aż cylindry się rozgrzeją, a tłoki zaczną regularnie pracować.



Juan nie miał jeszcze osiemnastu lat. Urodził się w Puerto Cortes, nie pamięta twarzy swoich rodziców. Gdy miał dziewięć lat, pracował przy wyładunku w porcie, w wieku jedenastu i pół roku ładował sieci na kutry. W trzynastym roku życia pojawił się w dolinie, całkiem sam, i teraz wszyscy go tam dobrze znali. Młodzieniec o wyglądzie mężczyzny dostrzegł tę, którą nazywają „Sefiora Blanca”, gdy tylko wysiadła z autobusu z Sula. Chodził za nią krok w krok. Susan najpierw sądziła, że to żebrak, ale na to był zbyt dumny. Juan żył z handlu wymiennego, to znaczy za jakieś drobne prace dostawał trochę jedzenia lub schronienie w czasie wielkich deszczy. Naprawiał dachy, malował płoty, czyścił konie, pilnował bydła, przenosił na plecach różne worki, sprzątał stodoły. Kiedy trzeba było uruchomić jasnoniebieskiego dodge'a czy załadować skrzynki, jechać

z tyłu i pomagać jej podczas objazdu, Juan uważnie obserwował wyraz twarzy Susan, czekając na minę, która oznaczała: „Potrzebuję pomocy”. Od listopada każdego ranka przygotowywała dwa placki kukurydziane, czasem z tabliczką czekolady, i tym dzielili się przed wyruszeniem w drogę. Nawet najwięksi optymiści wiedzieli, że ziemia nie wyda warzyw przed sezonem, a zrujnowane drogi nie pozwalały na dostawę świeżych produktów w głąb kraju. Trzeba się było zadowalać porcjami „na przetrwanie”, ale mieszkańcy małych osad przyjmowali je jak ucztę bogów. Na drogach do spustoszonych wsi obecność Juana, leżącego z tyłu pod plandeką, dodawała Susan odwagi, lecz w czasie ich wspólnych wypraw, gdy mijali pogrążone w żałobie skrzyżowania, panowało milczenie.

8 stycznia 1975

*Philipie,
koniec roku, po raz pierwszy z dala od ciebie, z dala od domu,
z dala od wszystkiego. Przedziwna chwila, w której wszystko mi
się miesza w głowie: ogarnia mnie poczucie samotności,
niekiedy złagodzone przez radość przeżywania tylu
wyjątkowych rzeczy. Tę chwilę o północy, którą od lat
przeżywaliśmy razem, dając sobie prezenty, spędziłam wśród
ludzi pozbawionych wszystkiego. Tutejsze dzieci biją się o
zwykłe opakowanie, przydaje się nawet kawałek sznurka. A
mimo*

to jakież podniosły nastrój ogarnął ulice! Mężczyźni strzelali w powietrze starymi nabojami, żeby świętować nadzieję, która pozwala im przeżyć. Kobiety tańczyły na ulicy, wciągając dzieci w taneczne kręgi tryskające radością, a ja byłam kompletnie oszołomiona. Przypominam sobie tę nostalgię, która ogarniała nas przed zbliżającym się końcem roku, pamiętam chwilę, gdy dręczyłam cię moją chandrą, bo coś było nie tak w moim małym światku. Tutaj wszyscy noszą żalobę, wdowy, sieroty, a jednocześnie chwytają się życia z nieprawdopodobną wprost godnością. Boże, jacy ci ludzie są piękni w swym nieszczęściu. Juan zrobił mi prezent na Boże Narodzenie, i to jaki prezent! To mój pierwszy dom, będzie naprawdę wspaniały, za kilka tygodni w nim zamieszkać. Juan czeka jeszcze do końca miesiąca, wtedy ustaną deszcze, więc będzie mógł pomalować fasadę. Muszę ci opisać ten dom. Juan zrobił fundamenty z gliny zmieszanej ze słomą i kamieniami, potem wznosił ściany z cegieł. Z pomocą ludzi z wioski wyszukał w ruinach okna i wstawił je po obu stronach pięknych niebieskich drzwi. Podłoga w jedynym pokoju jest na razie klepiskiem. Po lewej stronie będzie komin, a obok kamienna wanienska — taki kącik kuchenny. Potem na płaskim dachu umieści zbiornik z wodą do prysznic. Pociągając za łańcuch, będę miała wodę zimną lub ciepłą,

w zależności od pory dnia. Z tego opisu łazienka wydaje się raczej skromna, a dom spartański, ale jestem pewna, że będzie pełen życia. W kącie salonu urządzę sobie biuro, w tej części Juan chce położyć podłogę, jak tylko będzie miał z czego ją zrobić. Drabina prowadzi na antresolę, tam położę materac do spania. No, wystarczy, teraz ty coś napisz, opowiedz, jak spędziłeś święta, jak żyjesz. Ciągle mi Ciebie brak. Na twoje łóżko spada grad całusów.

Twoja Susan

29 stycznia 1975

Susan,

nie dostałem od Ciebie życzeń! Przynajmniej na razie. Mam nadzieję, że rysunek, który Ci posyłam, nie ucierpi zbyt podczas podróży. Na pewno zastanawiasz się, co to za perspektywa ulicy o świcie; mam dla Ciebie wielką nowinę, mieszkam już w pracowni przy Broome Street, piszę list, patrząc przez okno na pustą dzielnicę SoHo i właśnie ten widok Ci narysowałem. Nawet nie wiesz, jaka to ogromna zmiana — po opuszczeniu Montclair czuję się, jakbym stracił orientację, ale wiem, że to mi wyjdzie na dobre.

Wstaję wcześnie i chodzę na śniadanie do baru Reggio, muszę podejść kawalek, ale bardzo lubię poranne światło tych wąskich ulic z nierównym bru-

kiem, zdeformowanych trotuarów z płyt inkrustowanych szklanymi kulkami, z fasadami poprzecinanymi metalowymi schodami, a poza tym ty także lubisz to miejsce. Wiesz, mógłbym pisać do ciebie o czymkolwiek, żebyś tylko od czasu do czasu o mnie pomyślała, żebyś mi odpisywała i mówiła o sobie. Nie wyobrażałem sobie, że będzie mi cię tak brakowało, Susan, chodzę na zajęcia i ciągle myślę, że czas bez ciebie bardzo się dłuży, że powinienem może wsiąść do samolotu i przylecieć do ciebie, chociaż dobrze wiem — bo często mi powtarzałaś — że to nie jest moje życie. Ale zastanawiam się, czym jest moje życie z dała od ciebie.

Jeśli ten list nie wyląduje w koszu na śmieci, to tylko dlatego, że zadziałał już wypity burbon, że nie przeczytam tego listu jutro rano albo że wrzucę go jeszcze dziś wieczorem do skrzynki na rogu mojej ulicy. Kiedy wychodzę raniutko z domu, patrzę na nią kątem oka, przechodząc na drugą stronę, tak jakby to właśnie ona miała mi dać list od ciebie, trochę później, gdy będę wracał z uczelni. Czasami mam wrażenie, że uśmiecha się do mnie, a nawet ze mnie drwi. Jest diabelnie zimno. Całuję cię.

Philip

27 lutego 1975

Philipie,

list będzie krótki. Przepraszam, że nie pisuję częściej, przytłacza mnie teraz ogrom pracy, a kiedy wracam, nie mam już siły pisać, mogę tylko paść na materac, żeby pospać chociaż kilka godzin. Kończy się luty, trzy tygodnie bez deszczu, to graniczy z cudem. W miejsce błota pojawia się pierwszy kurz. Nareszcie mogliśmy naprawdę zabrać się do pracy. Mam wrażenie, że nasze wysiłki zostały w końcu nagrodzone: życie wzięło górę.

Po raz pierwszy siedzę przy swoim biurku, zawiesiłam twój rysunek nad kominkiem, więc mamy taki sam widok. Bardzo się cieszę, że zamieszkałeś na Manhattanie. Jak ci się wiedzie na uniwersytecie, chyba jesteś otoczony studentkami, które nie mogą się oprzeć twoim wdziękom? Wykorzystaj to, mój drogi, ale nie unieszczęśliwiaj ich za bardzo. Całuję cię mocno.

Susan

4 kwietnia 1975

Susan,

świąteczne światła już dawno przygasły, lutowe dni zostały daleko za nami. Dwa tygodnie temu padał śnieg, paraliżując miasto przez trzy dni, co wywołało nieopisaną panikę. Nie jeździły żadne prywatne samo-

chody, taksówki poruszały się na Piątej zygzakiem, jak sanki, strażacy nie mogli stłumić pożaru w TriBe-Ca, woda zamarzła. A co najokropniejsze, trzech bezdomni zmarli z zimna w Central Parku, wśród nich trzydziestoletnia kobieta. Znaleziono ją siedzącą na ławce, zamarznąłą. Ciągłe się o tym mówi, w wieczornych i porannych wiadomościach telewizyjnych. Nie wiadomo, dlaczego władze miejskie nie otwierają przytułków, kiedy nadchodzą zimne dni. Jak to się dzieje, że w dzisiejszych czasach ludzie w ten sposób umierają na ulicach Nowego Jorku, to naprawdę godne pożałowania! I ty także przeprowadziłaś się do nowego domu? Bardzo śmieszna ta twoja tyrada na temat dziewczyn z uczelni, no to teraz ja: kim jest ten Juan, który tak troskliwie się tobą zajmuje? Haruję jak wół, egzaminy za kilka miesięcy. Czy dalej ci mnie choć troszeczkę brakuje? Odpisz szybko.

Philip 25 kwietnia 1975

*Philipie,
dostałam twój list, powinnam była odpisać dwa tygodnie temu, ale ciągle nie mam czasu, już koniec kwietnia, jest ładna pogoda, aż za gorąco, czasami nie można znieść tego smrodu. Wyjechaliśmy z Juanem na dziesięć dni, przebyliśmy całą dolinę Sula,*

wspięliśmy się stromymi drogami w góry, na Cabaceras de Naco. Celem naszej wyprawy było dotarcie do górskich osad. Dojazd był bardzo trudny. Dodge dwa razy nawalił, ale Juan ma złote ręce. Bolał mnie plecy, nawet nie wiesz, co to znaczy zmieniać koło w takiej maszynie. Chłopi najpierw wzięli nas za sandinistów, a ci z kolei często biorą nas za żołnierzy w cywilu. Gdyby doszli do porozumienia, bardzo ułatwiłoby to nam pracę.

Przy pierwszej roгатce —przyznaję — serce waliło mi ze strachu. Nigdy wcześniej nie widziałam ręcznych karabinów maszynowych tak blisko swojej twarzy. Wynegocjowaliśmy przepustki za kilka worków zboża i dwanaście koców. Droga prowadząca skalnym zboczem była prawie nieprzejezdna. Dotarcie na wysokość tysiąca metrów zajęło nam dwa dni. Trudno opisać, co tam ujrzeliśmy. Przymierający głodem ludzie, do których nikt jeszcze nie przybył z pomocą. Juan musiał ostro pertraktować, żeby zdobyć zaufanie mężczyzn strzegących przełęczy...

Zostali przyjęci z ogromną nieufnością. Wyprzedzał ich warkot silnika, więc mieszkańcy osady ustawili się wzdłuż drogi, żeby obserwować wspinaczkę dodge'a, którego skrzynia biegów zgrzytała na każdym zakręcie. Kiedy musiał prawie stanąć, aby wziąć zakręt, za którym nie było już drogi, na poboczu pojawili się dwaj mężczyźni,

wskoczyli na stopień i skierowali maczety do wnętrza kabiny. Zaskoczona Susan raptownie skręciła, zaczęła hamować i o mało nie wjechała do potoku.

Ogarnięta wściekłością, która przytłumiła nieco jej strach, wysiadła z auta. Gwałtownie otwieranymi drzwiami strąciła jednego z mężczyzn na ziemię. Z rozwścieczonym spojrzeniem i rękami opartymi na biodrach potwornie mu nawymyślała. Wieśniak podniósł się osłupiały, nie rozumiejąc ani słowa z tego, co kobieta o białej skórze wykrzykiwała mu w twarz, ale Señora Blanca była najwyraźniej rozzłoszczona. Juan także wysiadł z ciężarówki; był spokojniejszy, wyjaśnił powody ich przybycia. Po kilku chwilach wahania jeden z mężczyzn uniósł lewą rękę, a wtedy kilku wieśniaków podeszło bliżej. Zbici w niewielką grupę rozmawiali przez dłuższy czas, dyskusja się zaogniała. Susan weszła na maskę ciężarówki i spokojnie poleciła Juanowi, aby nacisnął klakson. Juan uśmiechnął się i zatrąbił. Stopniowo głosy przytłumione dźwiękiem ochryplej trąbki zaczęły milknąć. Wszyscy patrzyli na Susan, ona zaś swoją najlepszą hiszpańszczyzną przemówiła do tego, który najpewniej był przywódcą:

— Przywiozłam koce, żywność i lekarstwa. Albo pomożecie mi to wyładować, albo zwalnięm ręczny hamulec i wracam do domu piechotą!

Jedna z kobiet przecisnęła się przez milczący tłum, stanęła przed ciężarówką i zrobiła znak krzyża. Gdy Susan

starła się bezpiecznie zejść ze swego podwyższenia, kobieta podała jej rękę, za nią uczynił to jeden z mężczyzn. Obserwując tłum, Susan dołączyła do Juana stojącego z tyłu ciężarówki. Górale rozstąpili się powoli, robiąc dla niej miejsce. Juan wskoczył na platformę i razem podnieśli plandekę. Wieśniacy stali milczący i nieruchomi, Susan wyciągnęła kilka koców i rzuciła je na ziemię. Nikt się nie ruszył.

— Co się z nimi dzieje, do cholery!

— Señora — rzekł Juan — dla tych ludzi to, co pani przywiozła, nie ma ceny, oni czekają, aż pani ich o coś poprosi, i wiedzą, że nie mogą nic dać w zamian.

— No to powiedz im, że proszę ich tylko, żeby nam pomogli to wyładować!

— Nie, to nie jest takie proste.

— A co trzeba zrobić, żeby było proste?

— Proszę włożyć opaskę Korpusu Pokoju, podnieść z ziemi jeden koc i okryć nim ramiona tej kobiety, która przed chwilą się przeżegnała.

Zarzucając kobiecie koc na plecy, Susan popatrzyła jej głęboko w oczy i powiedziała po hiszpańsku:

— Przywiozłam wam to, co powinniście dostać już dawno temu, przepraszam, że przyjechałam dopiero teraz.

Teresa objęła ją i pocałowała w oba policzki. W radosnym porywie mężczyźni rzucili się do ciężarówki i wyładowali z niej cały towar. Juan i Susan zostali zaproszeni na

kolację wraz ze wszystkimi mieszkańcami osady. Zapadł wieczór, rozpalono ognisko, podano skromny posiłek.

W czasie kolacji jakiś mały chłopiec podszedł z tyłu do Susan. Poczuli jego obecność, odwróciła się, uśmiechnęła, ale szybko uciekł. Trochę później pojawił się znowu, tym razem podszedł bliżej. Mrugnięcie okiem i znowu zniknął. Sytuacja powtórzyła się wiele razy, aż chłopiec podszedł wreszcie całkiem blisko. Patrzyła na niego, siedząc nieruchomo, i nic nie mówiła. Mimo grubej warstwy brudu na jego twarzy dostrzegła urodę oczu o źrenicach czarnych jak węgiel.

Wyciągnęła do niego dłoń wierzchem ku górze. Spojrzenie chłopca wędrowało od twarzy do ręki, jego palce nieśmiało schwyciły wskazujący palec Susan. Dał jej znak, żeby nic nie mówiła; po chwili poczuła pociągnięcie małej rączki — chciał, by za nim poszła. Wstała i pozwoliła się prowadzić przez wąskie przejścia między domami. Chłopiec stanął obok płotu; kładąc palec na ustach, dał jej do zrozumienia, żeby nie robiła hałasu i żeby się pochylała. Wskazał dziurę w trzcinyowym płocie i skierował tam spojrzenie, chcąc, aby ona także tam popatrzyła. Gdy się cofnął, podeszła, bo chciała zobaczyć, co sprawiło, że ten mały chłopczyk włożył tyle wysiłku w przezwyciężenie strachu, by koniecznie ją aż tu przyprowadzić.

...Ujrzałam małą, chyba pięcioletnią dziewczynkę, która umierała, bo nogę zżerała jej gangrena. Kiedy część osady została porwana przez rzekę błota, ojciec dziewczynki, uczepiony pływającego pnia drzewa, rozpaczliwie szukając swojej zaginionej córeczki, dostrzegł wreszcie rączkę wystającą z wody. Udało mu się ją złapać, mocno trzymał dziecięce ciało przy sobie. Oboje brnęli jeszcze przez parę kilometrów, po ciemku, z najwyższym wysiłkiem utrzymując głowy nad powierzchnią, w ogłuszającym huku wodnych wirów, które nieustannie ich unosiły, do kresu sił, do utraty przytomności. O brzasku, kiedy człowiek ten odzyskał świadomość, dziecko leżało obok niego. Byli ranni, ale żywi; okazało się tylko, że dziewczynka, którą uratował, nie jest jego córką.

Po całej nocy czczej gadaniny zgodził się nam ją powierzyć. Nie byłam pewna, czy dziewczynka przeżyje podróż, ale tam na górze pozostawało jej najwyżej kilka dni życia. Obiecałam, że przywiozę dziecko za parę miesięcy, że przyjadę ciężarówką pełną żywności, więc zgodził się na tę ofiarę, mając, jak sądzę, na uwadze innych. Moja motywacja była słuszna, ale jego spojrzenie sprawiło, że czułam się plugawo. Wróciłam już do San Pedro, mała ciągle jest na granicy życia i śmierci, a ja padam ze zmęczenia.

Oznajmiam ci, że Juan jest tylko moim pomocnikiem, cóż to znowu za niedorzeczne aluzje! Nie jestem na wakacyjnym obozie w Kanadzie!!! Mimo wszystko całuję cię mocno.

Susan

PS Obiecaliśmy, że zawsze będziemy sobie mówić prawdę, muszę więc coś ci wyznać: mam gdzieś Nowy Jork i ciebie z tymi waszymi opowieściami o bezdomnych!

List od Philipa przyszedł dużo później; ale napisał go, zanim jeszcze dostał list od niej.

10 maja 1975

Susan,

ja też odpisuję dużo później; pracowałem jak wariat, zdawałem egzaminy. Miasto nabiera majowych barw, zieleń bardzo mu pasuje. W niedzielę spacerowałem z przyjaciółmi po Central Parku.

Pierwsze ściskające się pary na trawnikach są wreszcie pewnym zwiastunem wiosny. Chodzę na dach kamienicy i szkicuję dzielnicę leżącą u mych stóp. Chciałbym, żebyś tu była. W lecie mam odbyć staż w agencji reklamowej. Opowiedz mi, jak mija ci dzień, gdzie jesteś? Napisz prędko; kiedy nie mam od ciebie

*wiadomości, niepokoję się. Do szybkiego zobaczenia,
kocham cię.*

Philip

Ujrzała pierwsze światło świtu przebijające ciemność nocy w głębi doliny. Wkrótce słoneczny blask oświetlił drogę. Ciągnęła się jak długa linia, przecinająca niezmierzone pastwiska, jeszcze wilgotne od rosy. Nieliczne ptaki zaczynały już wzlatywać na bladym tle nieba. Susan przeciągnęła się, poczuła ból pleców, westchnęła. Zeszła po drabinie, bosą, po gołej ziemi, podeszła do zlewu. Rozgrzała sobie ręce nad rozżarzonymi jeszcze węgielkami w kominku. Z półki, którą Juan zawiesił na ścianie, zdjęła drewniane pudełko, do emaliowanego czajnika wsypała kawę; nalała wody i postawiła chybotający się dzbanek na pokrzywionych prętach rusztu leżącego tuż nad popiołem.

Podczas gdy woda się grzała, wyczyściła zęby i przejrzała się w kawałku lusterka prowizorycznie zawieszzonego na gwoździu. Skrzywiła się na widok odbicia, przejechała ręką po potarganych włosach. Rozciągnęła podkoszulek, żeby zobaczyć na ramieniu ślad po ukąszeniu pająka. Co za gadzina! — pomyślała. Poszła z powrotem na antresolę i na czworakach zaczęła energicznie trzepać pościel, w nadziei na uśmiercenie napastnika. Gdy usłyszała świst gotującej się wody, zrezygnowała i zeszła na dół. Owinęła uchwyt ścierką, nalała czarnego płynu do filiżanki, wzięła

ze stołu banana i wyszła zjeść śniadanie przed domem. Usiadła przed wejściem, uniosła filiżanką do ust, a spojrzeniem ogarnęła dal aż po horyzont. Pogłaskała się po łydce, lekko zadrżała. Nagle wstała, podeszła do biurka i chwyciła długopis.

*Philipie,
mam nadzieję, że ten liścik szybko do ciebie dojdzie. Chcę cię
o coś prosić: czy możesz mi przysłać balsam do ciała i
szampon?*

*Liczę na ciebie, zwrócę pieniądze, jak tylko się spotkamy.
Całuję.*

Susan



Kończyła się sobota, ulice były zatłoczone. Usiadł na tarasie kawiarni, żeby dopracować szkic. Zamówił filtrowaną kawę, ekspres jeszcze nie dotarł za Atlantyck. Wiódł wzrokiem za młodą blondynką, która przechodziła przez ulicę w kierunku kina. Nagle zapragnął obejrzeć jakiś film, zapłacił za kawę i podniósł się z miejsca. Wyszedł z kina dwie godziny później. Czerwiec ofiarował miastu najpiękniejsze zachody słońca. Na skrzyżowaniu, zgodnie z przyzwyczajeniem, jakiemu hołdował od kilku miesięcy, pomachał skrzynce na listy, zastanowił się chwilę, czy pójść do przyjaciół, którzy jedli kolację w bistro przy Mercer Street, w końcu jednak wrócił do domu.

Wsunął klucz do dziurki, poszukał chwilę odpowiedniej pozycji, która pozwalała uruchomić zasuwkę, i pchnął ciężkie drewniane drzwi. Po omacku znalazł kontakt, wąski korytarz prowadzący na schody zajaśniał słabym żółtym światłem. Niebieska koperta widoczna była w szparze skrzynki na listy. Wyjął ją i szybko wszedł po schodach. Gdy usiadł na kanapie, kartka była już rozłożona.

*Philipie,
jeśli ten list dotrze do ciebie przed końcem sierpnia, zostanie nam już tylko rok oczekiwania na spotkanie, to znaczy, że jesteśmy na półmetku. Nie miałam kiedy wszystkiego ci opowiedzieć, ale być może awansują, mówi się o zorganizowaniu nowego obozowiska w górach i wieść niesie, że będzie to prawdopodobnie zadanie dla mnie. Dziękuję za przesyłkę, wiesz, nawet gdy moje listy stają się coraz rzadsze, brakuje mi ciebie, chyba się postarzałeś przez ten czas! Napisz, co u ciebie.*

*Susan
10 września 1975*

*Susan,
nigdy już nie będę mógł obojętnie patrzeć na napis „Rok później...”, ukazujący się czasem na ekranie kinowym. Nigdy nie zwracałem uwagi na lekką emo-*

cję, jaka kryje się za trzema kropeczkami, zrozumiałą tylko dla tych, którzy wiedzą, jak bardzo oczekiwanie graniczy nieraz z samotnością. Jak dłużą się te minuty zawarte w cudzysłowie! Kończy się lato, mój staż także, zaproponowano mi pracę, jak tylko zrobię dyplom. Kąpałem się chyba tylko jeden raz, ale za to poszedłem do kina, na film o wielkim białym rekinie, który sieje panikę na plażach. To film tego samego reżysera co Pojedynek na szosie, który bardzo nam się kiedyś podobał, pamiętasz, w Film Forum? Gdybym wtedy, wychodząc z kina, wiedział, że kilka lat później będę żył w oczekiwaniu na ciebie na tej samej ulicy, gdzie jest bar, do którego wtedy poszliśmy! Ani przez chwilę nie wyobrażałem sobie, że będę pisał do ciebie na „drugi koniec świata”. Podczas jednej z bardziej przerażających scen młoda kobieta siedząca obok wpiła się paznokciami w moją rękę, którą trzymałem na oparciu. To było dość zabawne, przez resztę seansu rozpływała się w przeprosinach. Nigdy nie usłyszałem tyłu: „Przepraszam” i „Tak mi przykro ” w ciągu jednej godziny. Nie poznałabyś mnie. Ja, który potrzebuję sześciu miesięcy, aby nawiązać rozmowę z dziewczyną, uśmiechającą się do mnie w restauracji, zdołałem jej powiedzieć: „Jeśli pani dalej będzie gadać, wyrzucą nas z sali, porozmawiamy potem, przy szklaneczce... ”. Nie odezwała się już

do końca seansu, a ja oczywiście nic nie rozumiałem z filmu. Byłem pewien, że ulotni się pod koniec projekcji. Kiedy zapalono światło, szła za mną, usłyszałem, jak pyta: „Dokąd idziemy na kolację? ”. Poszliśmy do Fanellego. Ona ma na imię Mary, studiuje dziennikarstwo. Dzisiaj leje jak z cebra, zaraz idę spać, tak będzie lepiej, bo naopowiadam ci jeszcze Bóg wie czego, żebyś tylko była zazdrosna. Napisz, co u ciebie słychać.

Philip

*Pewien listopadowy dzień 1975, nie bardzo wiem który Philipie,
minęło kilka tygodni od mojego ostatniego listu, ale tutaj czas płynie zupełnie inaczej. Czy przypominasz sobie małą dziewczynkę, o której pisałam ci w jednym z poprzednich listów? Zawiozłam ją już do jej nowego taty. Nie można było uratować nogi, obawiałam się jego reakcji na jej widok. Pojechaliśmy po nią do Puerto Cortes, towarzyszył mi Juan. W tyłe dodge'a porozkładał worki z mąką, żeby miała coś w rodzaju materaca. Gdy przyjechaliśmy do szpitala, zobaczyłam to dziecko, czekające na końcu korytarza, na noszach. Starłam się skupić spojrzenie na jej twarzy, nie patrzeć tam, gdzie kiedyś była nóżka. Po co oglądać to, czego już nie ma, lekceważąc to, co*

jest? Dlaczego przywiązywać większą wagę do tego co przykre, zamiast pokochać to co przyjemne?

Zastanawiałam się bez przerwy, jak ona będzie żyła z takim kalectwem. Juan zrozumiał moje milczenie i zanim jeszcze do niej przemówiłam, szepnął mi do ucha: „Nie okazuj jej zmartwienia, powinnaś się cieszyć, ona jest inna, nie dlatego, że ucięto jej nogę, ale przez swoją historię, przez to, że przeżyła”.

Ma rację. Położyliśmy ją na workach i pojechaliśmy w góry. Czuwał przy niej przez całą drogę, starał się ją rozweselać, a także, jak sądzę, rozładować moje napięcie. Nie przestawał ze mnie żartować. Małpował mnie za kierownicą tego o wiele za ciężkiego pojazdu, który na każdym kilometrze chce mi pokazać, że jest silniejszy ode mnie, tak jakby te jego sześć ton nie wystarczyło! Juan przybierał pozycję pólsiedzącą, wyciągał ręce do przodu, robił miny, parodiował moją walkę z kierownicą na każdym zakręcie, urozmaicał to komentarzami, których nie mogłam należycie ocenić z racji mojej słabej znajomości hiszpańskiego. Trwało to przez całe sześć godzin podróży. Staczałam się do tyłu przy zmianie biegów, klęłam, waliłam pięściami w kierownicę, ciągle mam wredny charakter, wiesz... Dla Juana była to jeszcze jedna okazja, natychmiast puścił całą serię przekleństw, udając, że wali w wyimaginowaną kierownicę, i wtedy dziewczynka zaczęła się uśmiechać.

Najpierw jasny dźwięk dwóch wybuchów śmiechu, chwilka zawstydzenia, potem znowu śmiech i nagle moment wspaniały: w ciężarówce rozległy się okrzyki. Nie wyobrażałam sobie, jakiego znaczenia w życiu może nagle nabrać zwykły śmiech dziecka. W lusterku wstecznym widziałam, jak usiłuje złapać oddech. Juana także ogarnął szaleńczy śmiech. Wydaje mi się, że szlochałam jeszcze bardziej niż wtedy, gdy obejmowałaś mnie przy grobie moich rodziców, tyle że wtedy wszystko płakało we mnie, w środku. Było w tym tyle życia, tyle nadziei. Odwróciłam głowę, żeby na nich popatrzeć, zanosili się śmiechem. Dostrzegłam uśmiech Juana skierowany do mnie. Zniknęły bariery językowe... Mówisz płynnie po hiszpańsku, opowiedz mi w tym języku, jak skończyła się kolacja po kinie, pomoże mi to w nauce...

Rozpoznał ciężarówkę, gdy tylko zwolniła na pierwszych zakrętach na dnie doliny. Przestał pracować, usiadł na kamieniu i nie spuścił samochodu z oka przez całe pięć godzin jego powolnej wspinaczki. Rolando czekał od trzynastu długich tygodni. Przez cały czas zastanawiał się, czy dziewczynka żyje, czy ptak latający wysoko pod niebem zapowiada, że nie przeżyła, czy wręcz przeciwnie, że należy mieć nadzieję. W miarę jak mijały dni, najprostsze sprawy traktował jak znaki, wciągając się w niekontrolo-

waną grę rozmaitych wróżb, optymistycznych lub pesymistycznych w zależności od nastroju chwili.

Na każdym zakręcie Susan trzykrotnie trąbiła zachrypniętym klaksonem. Dla Rolanda to był dobry znak, dźwięk długi oznaczałby najgorsze, ale trzy krótkie to może dobra wiadomość. Szybkim ruchem wyjął brązową paczkę papierosów Paladines. Były o wiele droższe niż papierosy Dorados, które palił na co dzień. Z tej paczki brał zwykle tylko jednego dziennie, po kolacji. Uniósł papierosa do ust i zapalił zapałkę. Zaciągnął się głęboko i napełnił płuca wilgotnym powietrzem, które pachniało ziemią i aromatem sosen. Koniuszek papierosa się rozżarzył. Tego popołudnia wypali całą paczkę. Trzeba cierpliwie czekać, na przełęcz wjadą dopiero o zmierzchu.

Wszyscy *campesinos* wylegli na pobocza przy wjeździe do osady. Tym razem nikt nie ważył się wskakiwać na stopnie ciężarówki. Susan zwolniła, ludzie otoczyli samochód. Wyłączyła silnik i wysiadła, rozejrzała się na prawo i lewo, dumnie wytrzymując ich wzrok. Juan trzymał się za nią, rozgrzebywał nogą ziemię, dodając sobie w ten sposób odwagi. Rolando stał zwrócony twarzą do Susan. Wyrzucił niedopałek.

Susan wzięła głęboki oddech i okrążyła *dodge'a*. Tłum wiódł za nią wzrokiem. Rolando podszedł bliżej, na jego twarzy nic nie zdradzało wzruszenia. Energicznym gestem Susan podniosła plandekę, Juan natychmiast pomógł jej

opuścić klapę, odsłaniając przywiezione dziecko. Dziewczynka miała tylko jedną nóżkę, ale szerokim gestem wyciągnęła obie ręce w kierunku tego, który uratował jej życie. Rolando wszedł na platformę i wziął małą w ramiona. Wszeptał jej do ucha kilka słów, które wywołały jej uśmiech. Zszedł z ciężarówki, postawił małą na ziemi i przyklęknął, aby ją podtrzymać. Na kilka chwil zapadła cisza, po czym wszyscy mężczyźni podrzucili kapelusze, wydając okrzyk, który odbił się echem aż w górach. Susan wstydliwie opuściła głowę, żeby nikt na nią nie patrzył w chwili, gdy czuła się wyjątkowo krucho. Juan chwycił ją za rękę.

— Zostaw — powiedziała. Ścisnął mocniej.

— Dziękuję w ich imieniu.

Rolando podał dziecko jednej z kobiet, po czym podszedł do Susan. Uniósł ręką jej podbródek i zawołał w stronę Juana:

— Jak ją nazywają?

Juan przyglądał się mężczyźnie o potężnej sylwetce, odczekał kilka chwil, po czym odpowiedział:

— Tam na dole, w dolinie, nazywają ją Señora Blanca. Rolando podszedł do niego energicznie i oparł mu na ramionach swe ciężkie ręce. Głębokie zmarszczki wokół jego oczu pogłębiły się, rozchylił częściowo bezzębne usta w szczerym uśmiechu i wykrzyknął:

— Doña Blanca! Tak właśnie będzie ją nazywał Rolando Alvarez!

Wieśniak pociągnął Juana w stronę kamiennej dróżki prowadzącej do osady. Dziś wieczorem napiją się *guajo*.



Pierwsze dni stycznia 1976 roku nadeszły po drugiej wigilii Bożego Narodzenia spędzonej osobno. Przez całe święta Susan pracowała bez wytchnienia. Philip czuł się bardziej samotnie niż kiedykolwiek przedtem, między Świętem Dziękczynienia a nocą sylwestrową napisał pięć listów, ale żadnego nie wysłał.

W nocy 4 lutego gwałtowne trzęsienie poruszyło ziemię w Gwatemali, zabijając dwadzieścia pięć tysięcy osób. Susan zrobiła wszystko, żeby móc tam pojechać z pomocą, ale bezzębne tryby mechanizmów administracyjnych nie chciały się kręcić w odpowiednim kierunku, więc musiała się poddać. 24 marca w Argentynie obalono reżim Perona, generał Jorge Rafael Videla kazał zatrzymać Isabelę Peron; kolejna nadzieja zgasła w tej części świata. W Hollywood z kukułczego gniazda wypadł Oscar na barki Jacka Nicholsona. 4 lipca rozradowana Ameryka świętowała swoje dwieście lat niepodległości. Kilka dni później, setki tysięcy kilometrów stamtąd, Viking usiadł na Marsie i wysłał na Ziemię pierwsze obrazy czerwonej planety. 28 lipca inne trzęsienie ziemi osiągnęło osiem stopni w skali Richtera. Dokładnie o godzinie trzeciej czterdzieści pięć chińskie miasto Tangszan zniknęło z po-

wierzchni globu, a mieszkało tam milion sześćset tysięcy osób. Tej nocy czterdzieści tysięcy górników zostało zasypanych w kopalni na południe od Pekinu. Na gruzach megalopolii sześć milionów mieszkańców, pozbawionych dachu nad głową, koczowało w strugach deszczu. Chiny przywdziały żałobę po siedmiuset pięćdziesięciu tysiącach istnień ludzkich. Następnego dnia samolot Susan miał wylądować w Newark.



Wyszedł z agencji wcześniej niż zwykle. Po drodze zatrzymał się pierwszy raz po to, aby wybrać czerwone róże i białe lilie, ulubione kwiaty Susan. Drugi raz, aby wstąpić do sklepu na rogu. Kupił obrus, wszystko, co potrzebne do przygotowania dobrej kolacji, sześć małych butelek coca-coli, bo Susan nie lubiła dużych, i mnóstwo torebek z łakociami, przede wszystkim kwaskowe cukierki owocowe, za którymi zawsze przepadała. Obładowany zakupami wszedł na górę. Wysunął biurko na środek salonu, nakrył obrusem, niezliczoną ilość razy sprawdzał, czy talerze są dokładnie naprzeciw siebie, czy sztućce leżą symetrycznie, a kieliszki stoją równo. Wysypał cukierki do miseczki śniadaniowej, którą postawił na parapecie. Następną godzinę poświęcił na podcinanie łądyg kwiatów i układanie obydwu bukietów. Czerwone róże stanęły w sypialni, na nocnym stoliku po prawej stronie. Później zmienił pościel. Postawił drugą szklankę do mycia

zębów na półeczce w małej łazience, w której uprzednio starannie wyczyścił krany — przy umywalce i prysznicu. Była już późna noc, gdy kilkakrotnie zrobił obchód mieszkania, „aby jeszcze raz sprawdzić”, a ponieważ wszystko wydawało mu się trochę za bardzo poprawne, poustawiał różne przedmioty inaczej, aby jakoś ożywić całość. Schrupał paczkę chipsów nad koszem na papiery, umył się z grubsza przy kuchennym zlewie, po czym położył się na kanapie. Sen nie przychodził, co godzina coś go budziło. O świcie wstał i poszedł do autobusu, który miał go zawieźć na lotnisko w Newark.



Dziewiąta rano, samolot z Miami wylądował za dwie godziny. W nadziei, że wybrała właśnie ten pierwszy lot, przyjechał na lotnisko wcześnie, „zarezerwował” swój stolik, opierając krzesło o blat, i usiadł przy barze. Usiłował pokonać niecierpliwość, nawiązując coś w rodzaju rozmowy z barmanem. Barman nie należał do tych mężczyzn w czarnej lub białej liberii, którzy — w dużych hotelach — mają zwyczaj wysłuchiwać zwierzeń klientów; ledwo zwracał uwagę na to, co mówił Philip. Między dziesiątą a jedenastą Philip wahał się, czy pójść oczekiwać przy wyjściu, ale przecież wyznaczyła mu spotkanie tutaj, przy ich stoliku. Ten szczegół był bardzo charakterystyczny dla Susan, doskonale obrazował drzemające w niej sprzeczności; nie-

nawidziła emfazy, ale uwielbiała symbole. Kiedy super continental kompanii Eastern Airlines przelatywał nad lotniskiem, serce Philipa zabiło mocniej, zrobiło mu się sucho w ustach. Jednak gdy tylko samolot stanął w miejscu, poczuł, że nie ma jej na pokładzie. Przylepiony do szyby doskonale widział wysiadających pasażerów, obserwował, jak idą wzdłuż żółtej linii prowadzącej aż do terminalu. Na pewno przyleci popołudniowym lotem, „to o wiele bardziej logiczne”. Dla rozrywki, podczas długiego oczekiwania, zaczął rysować. Minęła godzina; na dużych liniowanych kartkach naszkicował siedmiu klientów, którzy weszli do baru, a potem wyszli, w końcu zamknął zeszyt, podszedł do baru i powiedział do barmana:

— Może wydaję się panu dziwny, ale czekam na kogoś, kto dziś rano miał wylecieć z Miami, a następny samolot ląduje dopiero o dziewiętnastej; to znaczy, że mam jeszcze sześć godzin do zabicia, a chyba skończyły mi się naboje do pisaka.

Mężczyzna popatrzył na niego pytającym wzrokiem; w dalszym ciągu niestrudzenie wycierał kieliszki i odstawiał je na półki za barem. Philip dalej wygłaszał swój monolog:

— Niekiedy godzina to bardzo długo! Są dni, gdy czas leci tak szybko, że nie można z niczym zdążyć, a innym razem tak się dłuży, że ciągle patrzymy na zegarek i wydaje nam się, jakby stanął w miejscu. Może mógłbym panu

pomóc wycierać naczynia, albo... ja wiem... zbierać zamówienia od klientów, tak po prostu, dla zabicia czasu? Kręcę się bez celu...

Barman odstawił ostatni czysty kieliszek. Rozejrzał się po pustej sali i nonszalancko zapytał, czy może coś podać, a jednocześnie spod kontuaru wyciągnął jakiś bestseller. Philip dostrzegł tytuł: *Will you please be quiet, please?* Podziękował barmanowi i wrócił na miejsce. W porze obiadowej bar wypełnił się ludźmi, Philip chciał zamówić coś do jedzenia, ale raczej dla zadowolenia barmana niż własnego żołądka, który niczego się nie domagał. Przekąsił jakąś kanapkę, nie przerywając lektury zbioru opowiadań Raymonda Carvera. O godzinie czternastej, kiedy pojawiła się kelnerka i kolejny raz napełniła jego filiżankę kawą, zamówił tort czekoladowy, którego nawet nie tknął, i ciągle jeszcze czytał pierwsze opowiadanie. O piętnastej zorientował się, że od dziesięciu minut czyta tę samą stronę, a o pół do czwartej, że jest przy tej samej linijce; zamknął książkę i westchnął.



W boeingu, który leciał z Miami do Newark, Susan z zamkniętymi oczami liczyła w pamięci pomarańczowe lampy wiszące nad barem, przypominała sobie lakierowaną posadzkę, drzwi z okrągłym oknem, o wiele większym niż to, przy którym właśnie drzemała.

Okolo szesnastej, znowu na wysokim barowym stolku, Philip wycierał szkło zasłuchany w słowa barmana — który zastąpił kolegę — opowiadającego różne wydarzenia ze swego burzliwego życia. Philip był zachwycony jego hiszpańskim akcentem, kilkakrotnie pytał go o pochodzenie, a barman przypominał mu nieustannie, że pochodzi z Meksyku i nigdy nie był w Hondurasie. O siedemnastej bar znowu wypełnił się ludźmi, więc Philip wrócił do stolika. Wszystkie miejsca były zajęte; gdy weszła starsza pani o zgarbionych plecach, nikt nie zwrócił na nią uwagi. Philip patrzył w zeszyt, żeby nie napotkać jej spojrzenia, ale tylko przez kilka chwil, bo zaraz potem poczuł się nieswojo. Porozrzucił rzeczy, oparł krzesło o blat, wstał i poszedł po nią do baru, gdzie stała, z trudem utrzymując się na nogach. Staruszka szczerze mu podziękowała, podreptała za nim i powoli usiadła na krześle, które jej podsunął.

Nie mogąc opanować zdenerwowania, Philip poprosił, aby zajęła mu miejsce, a sam poszedł do baru coś zamówić. Przez następny kwadrans staruszka usiłowała nawiązać kurtuazyjną rozmowę, przy drugiej próbie Philip grzecznie jej zaproponował, aby wypła to, co zamówiła. Upłynęło trzydzieści ciężkich minut i wreszcie podniosła się z miejsca! Pożegnała go, patrzył, jak powoli idzie do wyjścia.

Głuchy pomruk silników nagle wyrwał go z zadumy. Skulił się niemal, kiedy DC3 przelatywał nad dachem dworca lotniczego. Kapitan przechylił maszynę na prawą

stronę, wytracając wysokość i schodząc łukiem do lądowania. Po chwili dwusilnikowiec znowu się nachylił, aby tym razem ustawić się prostopadle, i prawie natychmiast wykonał ostatni nawrót. Wysunęło się ciężkie podwozie, przednie światła, umocowane na skrzydłach, zaczęły migotać. Kilka chwil później tylne koła dotknęły ziemi. Łopatki śmigieł stopniowo stawały się widoczne. Na wysokości dworca lotniczego DC3 obrócił się i zaczął kołować na swoją płytę postojową, tuż pod barem. Samolot Susan wylądował. Philip dał znak kelnerowi, żeby sprzątnął ze stolika, po czym postawił na miejsce solniczkę, pieprzniczkę i cukiernicę, równiutko jak pod sznurek. Kiedy pierwsi pasażerowie zeszli po schodkach, zaczął się denerwować, czy przypadkiem nie zawiódł go instynkt.



Miała na sobie męską koszulę, której poły opadały na spłowiałe džinsy. Schudła, lecz chyba była w formie, jej wystające kości policzkowe uwydatniły się jeszcze bardziej, gdy ujrzała go na piętrze, po drugiej stronie szklanej ściany. Uczynił nadludzki wysiłek, aby uszanować jej życzenie i pozostać przy stoliku. Kiedy weszła do budynku, znikając mu na jakiś czas z pola widzenia, odwrócił się i zamówił dwie kulki lodów waniliowych polanych ciepłą czekoladą, posypanych płatkami migdałowymi i dodatkowo obficie polanych sosem karmelowym.

Kilka chwil później przybliżyła twarz do szklanego okienka i zrobiła do niego minę. Podniósł się z miejsca, gdy stanęła w drzwiach baru. Uśmiechnęła się, widząc, że zajął ten sam stolik. Nie miała w swoim życiu zbyt wielu stałych punktów zaczepienia, więc ten intymny kącik na anonimowym lotnisku nabrał dla niej znaczenia. Uświadomiła to sobie, wysiadając z małego pocztowego samolotu, którym leciała z Puerto Cortes do Tegucigalpy.

Kiedy otwierała drzwi baru, siłą powstrzymał się, aby nie pobiec w jej stronę, bardzo by jej się to nie podobało; a teraz, specjalnie, szła powolutku. Przy trzecim rzędzie stolików rzuciła na podłogę swoją ogromną torbę, zaczęła biec i wreszcie rzuciła mu się w ramiona. Oparła mu twarz na ramieniu i chłonęła zapach jego ciała. On przytrzymał rękami jej głowę, aby spojrzeć w oczy. Stali w milczeniu. Kelner zakaszłał z tyłu, za nimi, i z ironią w głosie spytał Philipa:

— Może chciałby pan, abym dodał jeszcze bitej śmietany na sam wierzch?

Wreszcie usiedli, ona popatrzyła na lody, zanurzyła w nich palec i oblizwała sos.

— Straszliwie mi ciebie brakowało! — powiedział.

— A mnie ciebie nie! — odpowiedziała z sarkazmem.

- Co słyszeć?

— Nieważne, niech na ciebie popatrzę.

Zmieniła się, być może nieznacznie w oczach innych,

ale nie dla niego. Twarz odrobinę jej zeszczipiała, uśmiech zdradzał jakieś strapienie, które przeczuwał, ale którego nie mógł odczytać. Tak jakby każda tragedia, jakiej była świadkiem, odcisnęła się na jej ciele, zarysowując kontury rany krwawiącej litością i strachem.

— Dlaczego tak na mnie patrzysz, Philipie?

— Jestem pod wrażeniem.

Śmiech Susan zadźwięczał w całym barze, dwaj klienci siedzący przy stoliku odwrócili się w ich stronę. Zasłoniła usta ręką.

— O, przepraszam!

— Tylko nie przepraszaj, jesteś taka ładna, kiedy się śmiejesz; czy tam ci się to czasem zdarza?

— Wiesz, najbardziej niewiarygodne jest to, że „tam” wydaje się końcem świata, a jest tuż obok. Ale opowiadaj o tobie, o Nowym Jorku.

Cieszył się z mieszkania na Manhattanie. Dostał właśnie pierwszą pracę w agencji reklamowej, która zamówiła u niego storyboard. Jego rysunki się spodobały, zaraz zacznie następny projekt. Może nie zarobi fortuny, ale to już coś konkretnego. Kiedy spytała, czy jest zadowolony z życia, odpowiedział wzruszeniem ramion. Chciał wiedzieć, czy jest zadowolona ze swego doświadczenia, czy znalazła to, czego szukała. Uchyliła się od odpowiedzi, nadal zasypywała go pytaniami. Pytała, co słyhać u jego rodziców. Mieli zamiar sprzedać dom w Montclair i za-

mieszkać na Zachodnim Wybrzeżu. Philip prawie ich nie widywał w ciągu roku, tylko w Święto Dziękczynienia. Powrót do własnego pokoju wywoływał w nim raczej nieprzyjemne uczucie, miał wrażenie, że się od nich oddała, i po raz pierwszy w życiu zobaczył, że się starzeją, tak jakby rozłaka przerwała nić czasu, podzieliła życie na serię obrazów, na których twarze zmieniają się stopniowo, a papier przybiera złotawobrazowy odcień. Przerwał milczenie.

— Kiedy żyjemy razem z ludźmi, nie dostrzegamy w nich zmian, aż w końcu ich tracimy.

— Zawsze ci to mówiłam, stary, to niebezpieczne żyć we dwoje — powiedziała. — Uważasz, że utylam?

— Nie, wręcz przeciwnie, dlaczego pytasz?

— No... po tym, co powiedziałaś. Uważasz, że się zmieniłam?

— Wyglądasz na bardzo zmęczoną, Susan, to wszystko.

— To znaczy, że się zmieniłam!

— Od kiedy tak się przejmujesz swoim wyglądem?

— Zawsze, kiedy cię widzę.

Obserwowała płatki migdałowe tonące w czekoladzie, na samym dnie pucharka z lodami.

— Miałam ochotę na coś ciepłego!

— Co ci jest, Susan?

— Chyba zapomniałam dziś rano wziąć lekarstwo na śmiech! Zdenerwowała go. Żałowała już swoich skoków nastroju,

choć sądziła, że ich długoletnia przyjaźń pozwala jej zachowywać się, jak zechce.

— Mogłabyś przynajmniej zrobić niewielki wysiłek!

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Mogłabyś dać mi do zrozumienia, że cieszysz się na mój widok.

Przeciągnęła palcem po jego policzku.

— Mój śliczny, oczywiście, że się cieszę, to nie ma nic wspólnego z tobą!

— No więc o co chodzi?

— Powrót tutaj jest bardzo trudny. Wszystko wydaje mi się tak odległe od życia, które wiodę. Tutaj wszystko jest, niczego nie brakuje, a tam brakuje wszystkiego.

— Złamana noga sąsiadki nie ujmuje bólu twojej zwichniętej kostce. Jeśli nie udaje ci się relatywizować spraw, spróbuj być trochę większą egoistką, wtedy staniesz się lepsza.

— Oooo, widzę, że zaczynasz filozofować.

Philip gwałtownie wstał i ruszył w stronę drzwi. Wyszedł na korytarz i zaraz wrócił szybkim krokiem. Pochylił się, pocałował ją w szyję.

— Dzień dobry, jak miło cię widzieć!

— O co ci właściwie chodzi?

— O nic mi nie chodzi! Czekam na ciebie od dwóch lat, na palcu mam już odciski od pisania listów, bo to jedyny sposób na minimum jakiegoś wspólnego życia z tobą, a teraz widzę, że nasze ponowne spotkanie zaczyna

się zupełnie inaczej, niż to sobie wyobrażałem, więc wolę zacząć wszystko od nowa!

Przez kilka chwil patrzyła na niego, a potem wybuchnęła śmiechem.

— Ciągłe jesteś bardzo atrakcyjny, stary, też mi cię brakowało!

— No to teraz opowiesz mi o sobie?

— Nie, najpierw ty opowiedz, jak żyjesz w Nowym Jorku, chcę wszystko wiedzieć.

— Co chcesz ciepłego?

— O czym ty mówisz?

— Powiedziałaś, że chcesz coś na ciepło. Co byś zjadła?

— Przedtem miałam ochotę. Ale lody to był bardzo dobry pomysł.

Ogarnęło ich jakieś dziwne uczucie i nie mieli odwagi sobie tego wyznać, żeby za wiele nie powiedzieć. Czas stwarzał w życiu każdego z nich pewne punkty odniesienia o zupełnie różnym natężeniu, które nie miały wspólnego rytmu. Jednak łączące ich uczucie było nienaruszone, brakowało im tylko słów. Może też dlatego, że głębia i szczerłość tej więzi zostały osłabione rozłąką, odległością, która wyraża się nie tylko w kilometrach.

— No to zjadaj szybko i chodźmy stąd, mam dla ciebie niespodziankę.

Spuściła wzrok, zamilkła na dłuższą chwilę, po czym uniosła głowę i popatrzyła na niego.

— Nie będę miała czasu... To znaczy, nie zostaję, zgodziłam się na przedłużenie umowy, naprawdę, tam mnie potrzebują, wiesz... Przykro mi, Philipie...



Poczuł, że ziemia usuwa mu się spod nóg — wrażenie dziwnego zawrotu głowy, który ogarnia człowieka i czyni go jeszcze bardziej niedoskonałym, w chwili gdy chciałby być przytomny.

— Nie rób takiej miny, proszę cię.

Położyła dłoń na ręce Philipa, on natychmiast odwrócił wzrok, żeby nie dostrzegła smutku i popłochu w jego spojrzeniu. Poczucie samotności ścisnęło mu serce. Kciukiem głaskał wierzch dłoni Susan, jej skóra straciła delikatność, powstały małe zmarszczki — starał się na nie nie patrzeć.

— Wiem — powiedziała — to nie jest łatwe. Nie da się zachować dłoni młodej dziewczyny, widziałeś moje paznokcie, o nogach nawet nie będę mówić. Co mi chciałeś pokazać?

Chciał jej pokazać swoje mieszkanie na Manhattanie, ale trudno, nic nie szkodzi, można to odłożyć do następnego razu. Popatrzył na nią, wzrok mu złagodniał. Susan zerknęła na zegarek.

— Ile czasu zostajesz?

— Dwie godziny.

— Ojej...

— Wiem, wiem, ale nawet sobie nie wyobrażasz, ile musiałam namieszać, żeby zboczyć z drogi choć na chwilę. — Wyjęła pakunek zawinięty w ciemny gruby papier i położyła go na stoliku. — Musisz koniecznie zawieźć tę paczkę pod ten adres, do naszego biura w Nowym Jorku, to właśnie część całej intrygi, jaką uknułam, żeby móc się z tobą zobaczyć.

Nie popatrzył na pakunek.

— Myślałem, że pracujesz dla organizacji humanitarnej, nie wiedziałem, że jesteś w obozie karnym.

— No to teraz wiesz!

— Opowiedz!

W ciągu dwóch lat jej droga została dokładnie wytyczona. Wezwano ją do Waszyngtonu w sprawie kredytów, o które zabiega organizacja; mająk najszybciej wrócić ze skrzyniami lekarstw, sprzętu i niepsujących się artykułów spożywczych.

— Nie możesz przynajmniej zaczekać tutaj, podczas gdy oni tam będą pakować towar?

— Przyjechałam po to, żeby osobiście pakować, to także cel mojej podróży, muszę przywieźć to, czego najbardziej potrzebujemy, a nie tony jakichś bubli, które mogą nam przysłać.

— A czego naprawdę potrzebujecie?

Udała, że wyjmuje z kieszeni listę zakupów i że ją czyta:

— Ty idziesz w lewo, ja idę do działu mrożonek na końcu sklepu, spotykamy się przy kasach. Zapamiętasz?

Musimy kupić pomoce szkolne, trzysta zeszytów, dziewięćset ołówków, sześć tablic, sto pudełek kredy, podręczniki do nauki hiszpańskiego, wszystko, co zobaczysz na tym stoisku, plastikowe naczynia, około sześciuset talerzy, dwa tysiące noży, tyle samo widelców, dwa razy tyle łyżeczek, dziewięćset koców, tysiąc pieluszek, tysiąc ręczników, sto prześcieradeł do ambulatorium...

— A ja potrzebuję ciebie, Susan.

— ...sześć tysięcy kompresów, trzysta metrów nici do zszywania ran, sprzęt do sterylizacji, przyrządy dentystyczne, igły, wyjałowione dreny, stanowiska operacyjne, haki operacyjne, kleszcze, szczypce chirurgiczne, penicylinę, aspirynę, antybiotyki działające na różnorodne czynniki chorobotwórcze, środki znieczulające... Przepraszam cię, to niezbyt ciekawe.

— Nie, nie, dlaczego!... Mógłbym przynajmniej pojechać z tobą do Waszyngtonu?

— Tam dokąd jadę, nie będziesz mógł nawet wejść. Wiesz, oni nie dadzą mi nawet jednej dwudziestej tego, czego nam potrzeba.

— Mówisz już „nam”, myśląc o tamtym miejscu?

— Niechcący.

— Kiedy wrócisz?

— Nie mam pojęcia, prawdopodobnie za rok.

— Następnym razem zostaniesz dłużej?

— Philipie, nie dramatyzuj, gdyby któreś z nas dwojga

wyjechało na uniwersytet na drugi koniec kraju, to byłoby to samo, prawda?

— Nie, wakacje nie trwałyby tylko dwie godziny. No dobrze, pogrążam się w smutku i nie kryję tego przed tobą. Susan, czy na pewno zrobisz wszystko, żeby ci się to nigdy nie przydarzyło?

— Żeby mi się co nie przydarzyło?

— Żebyś nie zbłądziła, związując się z kimś. Przestań patrzeć na zegarek!

— Philipie, najwyższy czas zmienić temat!

— Kiedy z tym skończysz? Cofnęła rękę, zmrużyła oczy.

— A ty? — spytała.

— Co mam skończyć?

— Twoją wielką karierę, jakieś tam szkice, pozory życia.

— Nie jesteś zbyt przyjemna!

— Nie, jestem po prostu bardziej bezpośrednia niż ty, to kwestia terminologii.

— Brakuje mi cię, Susan, to wszystko, jestem na tyle słaby, że ci to mówię, ale nawet sobie nie wyobrażasz, jaka wściekłość mnie czasem ogarnia.

— Może to ja powinnam wyjść z baru i wrócić. Przepraszam, przysięgam, że tak nie myślę.

— Właśnie, że myślisz, może w inny sposób, ale to na jedno wychodzi.

— Na razie nie chcę z tym kończyć, jeszcze nie teraz. Philipie, to, co przeżywam, nie jest łatwe, czasami bardzo mi ciężko, ale mam wrażenie, że czemuś służę.

— Dlatego jestem tak zazdrosny, choć to bezsensowne.

— O co zazdrosny?

— O to, że nie potrafię wzbudzić w tobie takiego zapału, że pociągają cię tylko nędza, nieszczęście innych, tak jakby pozwalało ci to uciekać przed twoimi własnymi kłopotami, zamiast się z nimi zmierzyć.

— Oj, nudny jesteś!

Nagle podniósł głos, była tym zaskoczona i, co rzadkie, nie przerywała mu, nawet gdy to, co mówił, bardzo jej się nie podobało. Nie akceptował jej humanitarnej postawy. Uważał, że Susan chowa się za cudzym życiem od owego tragicznego roku, gdy miała czternaście lat. Poprzez ratowanie życia innych usiłuje ratować życie swoich rodziców. Ma poczucie winy, że tamtego dnia nie zachorowała nagle na ciężką gripę, która zatrzymałaby rodziców w domu.

— Nie próbuj nawet mi przerwać — mówił dalej ostro. — Znam wszystkie stany twojej duszy, wiem, co masz na swoją obronę, potrafię rozszyfrować wszystko, co mówisz. Prawda jest taka, że boisz się życia i żeby zwalczyć ten strach, wyjechałaś pomagać innym. Ale ty niczemu nie stawiasz czoła, Susan, nie bronisz swojego życia, ty bronisz ich życia. Co za przedziwny wybór: ignorować tych, którzy cię kochają, żeby dawać miłość tym, których nigdy nie

poznasz! Wiem, że to ci daje siłę, ale nie znasz samej siebie, i — Czasami zapominam, że tak mnie kochasz, czuję się winna, że nie umiem cię kochać tak samo.

Wskazówki zegara posuwały się z zawrotną szybkością, Philip już zrezygnował, a chciał jeszcze tyle powiedzieć. Napisze do niej. Ledwo mieli czas na kilka chwil wyrwanych z tych dwóch lat spędzonych na czekaniu. Susan była chyba trochę zmęczona, mówiła, że Philip zmienił się na twarzy, że wygląda bardziej „jak facet”. Potraktował to jako komplement. On twierdził, że wyładniała. Oboje zdawali sobie sprawę, że ta krótka chwila im nie wystarczy. Kiedy trzeszczący megafon zapowiedział jej samolot, Philip wolał zostać przy stoliku. Popatrzyła na niego.

— Odprowadzę cię do wyjścia dopiero wtedy, kiedy przyjedziesz na dłużej niż cztery godziny. Pamiętaj o tym na przyszły raz. — Zmusił się do uśmiechu.

— Philipie, jakie ty masz usta! Zupełnie jak Charlie Brown!

— Nie posiadam się z radości, to twój ulubiony komiks!

— Wyglupiam się, ale sam rozumiesz... Wstała, on uściśnął jej rękę.

— Rozumiem! Uciekaj.

Pocałował wewnątrz jej dłoni, ona schyliła się i pocałowała go w kącik ust; odchodząc, z czułością pogłaskała go po policzku.

— Sam widzisz, że się starzejesz, kłujesz!

— Zawsze kłuję dziesięć godzin po goleniu. Uciekaj, spóźnisz się na samolot!

Odwróciła się i pobiegła. Kiedy była już przy wyjściu, krzyknął, żeby dbała o siebie, żeby uważała. Nie odwróciła się już, podniosła tylko rękę i pomachała. Ciemne drewniane drzwi powoli się zamknęły, zasłaniając jej postać. Siedział przy stoliku jeszcze przez godzinę, długo po tym, jak jej samolot zniknął na niebie. Na Manhattan wrócił autobusem, było już ciemno, poszedł na spacer po SoHo.

Przystanął przed witryną baru Fanellego, wahając się, czy wejść. Z sufitu zwisały duże okrągłe klosze, na żółto oświetlały spatynowane ściany; w drewnianych ramkach Joe Frazier, Luis Rodriguez, Sugar Ray Robinson, Rocky Marciano i Muhammad Ali czuwali nad salą, w której roześmiani mężczyźni pochłaniali hamburgery, kobiety czubkami palców wkładały do ust frytki. Rozmyślił się. Nie był głodny, więc wrócił do domu. W Waszyngtonie Susan wchodziła właśnie do pokoju hotelowego. W tej samej chwili Philip w swoim pokoju patrzył na łóżko. Lekko dotknął poduszki z prawej strony i wrócił do pustego salonu. Nie zdjął nakrycia ze stołu, długo patrzył na nie w milczeniu, po czym ułożył się do snu na kanapie. Jutro pójdzie zanieść paczkę.

10 października 1976

Susan,

powinienem był napisać do ciebie dużo wcześniej, ale nie przychodziły mi do głowy odpowiednie słowa, a poza tym ciągle mam wrażenie, że wyczerpałem już limit głupstw, jakie mógłbym ci powiedzieć w tym roku, woląłem więc poczekać. Czy huragan, który uderzył na Meksyk, wyrządził u was jakieś szkody? Prasa pisze, że było prawie dwa i pół tysiąca zabitych i czternaście tysięcy rannych. Meksyk nie jest zbyt oddalony od ciebie, a każda niedobra wiadomość z okolic, w których przebywasz, budzi we mnie strach. Chciałbym bardzo, żebyś zapomniała o naszej sprzeczce. Nie miałem prawa mówić ci tego, nie miałem zamiaru cię osądzać, przepraszam. Wiem, czasem

zdarza mi się, że cię prowokuję, zupełnie bez sensu. Taka zawziętość jest całkiem niedorzeczna i nie do opanowania, tak jakby moje gadanie mogło nakłonić cię do powrotu, tak jakby to, co myślę lub czuję, mogło zmienić bieg twojego życia. Podobno jednak niektóre wielkie miłości zaczynają się od umorzenia sprawy. Napisz do mnie szybko, co u ciebie słychać. Moc czułości.

Philip 11 listopada

*Philipie,
dostałam twój list i... miałeś prawo. Nie miałeś racji, ale miałeś prawo; mimo że nie chciałeś, twoje słowa przybrały formę osądu. Nie zapominam ich, wręcz przeciwnie, często o nich myślę, więc na coś się przydały. Lisa — to imię huraganu, który cię niepokoił — oszczędziła nas. Ale i tak jest trudno, chyba bym już tego nie zniósła. Wiesz, ten kraj jest tak niezwykły. Krew zmarłych już wyschła pod ziemią. Na szczątkach owych nieszczęśników ci, którzy ocaleli, odbudowali swe domy, złożyli na nowo to, co pozostało z ich rodzin i z ich życia. Przyjechałam tu przesiąknięta wszystkimi moimi pewnościami, które kazały mi wierzyć, że jestem najinteligentniejsza,*

najbardziej wykształcona, najbardziej pewna wszystkiego. Każdy dzień z nimi tu spędzony uzmysławia mi, że są silniejsi niż ja, że jestem o wiele słabsza.

Czy to ich duma sprawia, że są tak piękni? To nie jest zwykła pomoc, jakiej udziela się ludziom złamanym walką. Tutaj najokropniejsza jest walka z wiatrem i deszczem, nie ma ani dobrych, ani złych, nie ma stron ani sprawy, jest tylko człowiek w nieszczęściu i nędzy. Jedyne ludzka odwaga i nieprawdopodobna wprost nadzieja pozwala odrodzić się życiu z popiołów. Myślę, że dlatego ich kocham, wiem, że dlatego właśnie ich podziwiam. Przyjechałam tu, sądząc, że są ofiarami, a oni na każdym kroku pokazują, że nie — dają mi teraz więcej, niż ja im mogę dać. W Montclair moje życie nie miałyby sensu, nie wiedziałabym, co z nim robić. Samotność czyni niecierpliwym, samotność zabija dzieciństwo. Nie przyjmij źle tego, co chcę powiedzieć, ale byłam bardzo osamotniona w mojej wczesnej młodości, którą dzieliliśmy tak, jak potrafiliśmy. To prawda, byłam bardzo zapalczywa, ciągle taka jestem. Owa potrzeba przeskakiwania etapów każe mi żyć w tempie, którego nie rozumiesz, bo jest inne niż twoje.

Wyjechałam i nie powiedziałam ci czegoś ogromnie istotnego: bardzo mi cię brakuje, Philipie, często przeglądam nasz wspólny album ze zdjęciami —jakże

drogie są mi te wszystkie obrazy, te ślady naszego dzieciństwa. Przepraszam, że jestem, jaka jestem, że nie mogą żyć dla kogoś jednego.

Susan

Times Square. W tłumie zebrany na placu, jak w każdy wieczór sylwestrowy, Philip spotkał się z grupą przyjaciół studentów. Cztery ogromne cyfry rozjaśniają fasadę budynku „New York Timesa”. Jest północ, nadchodzi rok 1977. Deszcz konfetti spada na całujących się przechodniów. Philip czuje się samotnie pośród tłumu. Jakie dziwne są te dni, kiedy radość życia jest zaprogramowana w kalendarzu. Młoda kobieta idzie wzdłuż barierki, usiłując utworować sobie drogę przez tę ludzką falę. Potrąca go, wyprzedza, odwraca się i uśmiecha do niego. Philip macha do niej ręką, ona odpowiada skinieniem głowy, jakby przepraszała, że nie może posuwać się szybciej. Dzieli ich już tylko trzy osoby, wydaje się, że porywa ją grzbiet tej fali i pcha w środek tłumu. Philip przeciska się między dwoma zabłąkanymi turystami. Chwilami twarz kobiety znika, aby wyłonić się na powierzchnię kilka sekund później, jakby dla nabrania powietrza. On stara się nie tracić jej z oczu. Odległość coraz bardziej się zmniejsza, ona jest już prawie w zasięgu głosu pośród tego hałaśliwego tłumu. Ostatnie pchnięcie ramion i jest obok niej, chwyta ją za rękę. Kobieta odwraca się za-

skoczona, on z uśmiechem krzyczy do niej raczej, niż mówi:
— Szczęśliwego Nowego Roku, Mary. Jeśli obieca mi pani, że już nie będzie drapać, zapraszam na jednego w oczekiwaniu na odpływ!

Ona też się uśmiecha i krzyczy:

— Jak na kogoś, kto uważa się za nieśmiałego, zrobił pan postępy!

— To było ponad rok temu, miałem dużo czasu!

— I dużo pan praktykował?

— Jeszcze dwa pytania w tym tłumie, a kompletnie ogłuchnę! Może pójdziemy raczej w jakieś spokojniejsze miejsce?

— Przyszłam tu z przyjaciółmi, ale straciłam ich z oczu. Mieliśmy wszyscy spotkać się w Downtown, może pójdzie pan z nami?

Philip odpowiedział skinieniem głowy i jak rozbitkowie dali się ponieść tłumowi, w dół miasta. Na końcu Siódmej Alei podryfowali na Bleecker Street. Ostatnia fala zawiodła ich na Trzecią Ulicę. W Blue Note, gdzie czekają na Mary jej przyjaciele, pianista porywa publiczność jazzowymi rytmami, których żadna Epifania nie uczyni niemodnymi.



Mroźny pierwszy ranek. Na opustoszałych ulicach SoHo butelki po alkoholu wystające z rozgrzebanych kubłów na

śmieci świadczą o nocnych szaleństwach, już zakończonych. Całe miasto śpi na kacu. Jedyne warkot rzadko przejeżdżających samochodów zakłóca ciszę tej dzielnicy, spowitej jeszcze woalem alkoholowego upojenia. Mary otwiera bramę kamienicy Philipa. Zimny wiatr owiewa jej szyję, Mary drży i otula się paltem. Idzie w górę ulicy, na skrzyżowaniu unosi rękę. Przy trotuarze zatrzymuje się żółta taksówka. Zabiera Mary i znika na Broadwayu. Drugiego stycznia tego roku Errol Garner na zawsze zamknął wieko swojego fortepianu. Philip powrócił na uczelnię.



Na początku lutego Susan otrzymała list z Waszyngtonu. Gratulacje, spóźnione życzenia od przełożonych, którzy proponują, aby przemyślała możliwość założenia następnego obozu w górach. Trzeba ustalić budżet i gdy tylko się z tym upora, przedstawić projekt. Pora deszczowa jeszcze trwa. Siedząc pod daszkiem przed domem, Susan obserwuje, jak woda żłobi koleiny w ziemi.

Nie może przestać myśleć o tych, którzy każdej zimy w górach są bezradnymi świadkami okrucieństwa przyrody, drwiącej z pracy z takim trudem dokonanej u progu lata. Za kilka tygodni znowu zaczną bez słowa skargi, może tylko biedniejsi niż rok wcześniej.

Juan milczy, zapala papierosa, Susan natychmiast wyj-

muje mu go z rąk i bierze do ust. Żarzący się koniec oświetla dół jej twarzy. Susan zaciąga się głęboko.

— To, co palisz, to bilet pierwszej klasy na linię Air Ganja?

Juan uśmiecha się drwiąco.

— Po prostu mieszanka jasnego i ciemnego tytoniu i to daje cały smak.

— Podobne do ambry — mówi Susan.

— Nie wiem, co to jest.

— Coś, co przypomina mi dzieciństwo, zapach matki; ona pachniała ambłą.

— Tęskni pani za dzieciństwem?

— Za niektórymi twarzami, rodzicami, Philipem.

— Dlaczego pani z nim nie została?

— Zapłacił ci, żebyś mi zadał to pytanie?

— Nie znam go, a pani nie odpowiedziała.

— Bo nie mam ochoty odpowiadać.

— Pani jest dziwna, Dona Blanca, przed czym pani uciekła, żeby tak się zagubić tutaj u nas?

— Wręcz przeciwnie, *sipote*, tutaj się odnalazłam, a poza tym nudzisz mnie tymi pytaniami. Myślisz, że burza długo potrwa?

Juan wskazał palcem charakterystyczne światło, jakie widać na horyzoncie, kiedy *aguacero* się oddala. Najdalej za godzinę deszcz przestanie padać. Zapach mokrej ziemi i sosen wtargnie do wszystkich zakątków domku. Susan

otworzy jedyną szafę, żeby bielizna przesiąkła tym zapachem. Kiedy wkłada tak pachnącą bawełnianą koszulę, fala zmysłowości ogarnia całe jej ciało.

Rzuciła niedopałek za balustradę, nagle skoczyła na równe nogi i szeroko uśmiechnęła się do Juana.

— Wskakuj do ciężarówki, jedziemy!

— Dokąd?

— Przestań wreszcie zadawać pytania!

Dodge zakrztusił się dwa razy, zanim ruszył. Szerokie opony buksowały w błocie, w końcu zaczepiły się o kamienie, z początku tył wozu stawiał opór, wreszcie wyjechali na drogę. Grudy błota bryzgały na przykryte plandeką boki. Susan przyspieszyła. Wiatr smagał jej twarz, promieniała szczęściem — wydała z siebie przeciągły okrzyk. Juan jej zawtórował. Jechali w góry.

— Dokąd jedziemy?

— Na spotkanie z dziewczynką, brak mi jej!

— Droga jest rozmokła, nie damy rady pod górę.

— Wiesz, co mówił nasz prezydent? Jedni widzą rzeczy takimi, jakie są, i zastanawiają się dlaczego. A ja je widzę takimi, jakie mogłyby być, i mówię sobie: dlaczego nie! Dzisiaj wieczorem zjemy kolację z senorem Rolandem Alvarezem.

Gdyby Kennedy wiedział, jak wyglądają w zimie drogi w Hondurasie, poczekałby prawdopodobnie do wiosny z wygłoszeniem swego aforyzmu. Sześć godzin później,

kiedy byli w połowie górskiej drogi, oblepione błotem osie nie miały już siły napędzać ciężarówki. Sprzęgło się ślizgało, cierpki zapach sprawił, że Susan wreszcie ustąpiła. Byli unieruchomieni na drodze ku przełęczy, tego wieczoru nie zdołają pokonać dziesięciu ostatnich zakrętów dzielących ich jeszcze od osady dziewczynki, która zajęła tak ważne miejsce w sercu Susan. Juan poszedł na tył ciężarówki i z jutowego worka wyjął cztery koce.

— Będziemy tu spać, tak mi się wydaje — orzekł lakonicznie.

— Czasami jestem uparta jak oślica i sama siebie z trudem znoszę.

— To nic takiego, nie pani jedna ma trudny charakter.

— Mimo wszystko nie przesadzaj. Jeszcze nie nadszedł dzień świętej Susan, poczekajmy trochę ze świętowaniem.

— Dlaczego chce pani zobaczyć małą?

— Co tam mamy do jedzenia? Jestem głodna, a ty? Juan pogrzebał w drugim worku i wyciągnął dużą puszkę

frijoles. Miał ochotę przygotować *casamiento*, ale do tego trzeba by ugotować ryż, a padał jeszcze zbyt ulewny deszcz i nie dałoby się zapalić ognia. Susan rozmoczyła prawie całą paczkę sucharów w skondensowanym mleku, rozgniała je potem językiem. Woda spływała strumieniami po przedniej szybie. Susan przerwała taniec wycieraczek, aby oszczędzić akumulator. Nie ma potrzeby patrzeć przez okno.

- Wygląda na to, że pani woli ją niż dzieci z doliny.
- To wstrętne, co mówisz. Jedno z drugim nie ma nic wspólnego. Nie widuję jej codziennie, dlatego mi jej brak.
- A Philipa też pani brak?
- Przestań wreszcie z tym Philipem! Co cię napadło?
- Nic, staram się choć trochę panią zrozumieć.
- Nie ma tu nic do rozumienia. Tak, brak mi Philipa.
- To dlaczego nie jest pani z nim?
- Bo postanowiłam być tutaj.
- Życie Senory powinno upływać przy mężczyźnie, którego kocha.
- Głupie zdanie.
- Nie rozumiem dlaczego. Mężczyzna także powinien być przy kobiecie, którą kocha.
- To nie zawsze jest takie proste.
- Dlaczego jesteście tacy skomplikowani, wy, *gringos!*
- Dlatego że nie mamy już powodów do prostoty, dlatego właśnie chcę być tu u was. Nie wystarczy kochać, potrzebna jest jeszcze zgodność.
- Co to znaczy?
- To, że trzeba lubić życie, jakie się wie z innym człowiekiem, dzielić jego potrzeby, oczekiwania, mieć te same cele, takie same pragnienia.
- A skąd to można wiedzieć wcześniej? Niemożliwe! Nie można znać drugiej osoby na samym początku, żeby kochać, trzeba mieć cierpliwość.

— Ukryłeś przede mną swój prawdziwy wiek?

— U nas małżeństwo z kimś, kogo się kocha, to już powód, żeby być szczęśliwym.

— A u nas to nie zawsze wystarczy, mimo że to może głupio brzmieć. Owszem, przyznaję, że bywamy niekiedy dziwni, jestem tego doskonałym przykładem.

Promień białego światła rozdarł niebo, gwałtowny wybuch przerwał rozmowę. Burza powracała w ich kierunku ze zdwojoną siłą, jeszcze gwałtowniejszy deszcz zaczął padać na Cabaceras de Naco. Wkrótce nasiąknięta ziemia nie mogła już wchłaniać ulewnego deszczu spływającego po zboczach, woda zaczęła więc porywać w dół całe połacie góry. Juan przestał słuchać Susan, jego twarz zdradzała rosnące zaniepokojenie. Chciał otworzyć okno po swojej stronie, ale gwałtowny podmuch wiatru kazał mu zrezygnować. Zaczął więc dziwnie poruszać głową, jak jakiś czający się drapieznik.

— Co ci się stało? — spytała.

— Cicho!

Prawe ucho przyłożył do szyby, jakby na coś czatował, Susan patrzyła na niego pytająco. Przyłożył palec do ust, dając jej do zrozumienia, żeby nic nie mówiła. Zlekceważyła to.

— Juan, co ty robisz?

— Na litość boską, muszę posłuchać!

— Czego posłuchać, psiakrew?!

— Teraz nie czas, żeby przeklinać, słyszę, że ziemia ruszyła.

— Co?

— Proszę nic nie mówić!

Głuchy trzask rozdarł ciszę. Z wielkim trudem Juan uchylił drzwiczki. Do kabiny natychmiast wdarł się gwałtowny podmuch wiatru niosący ciężkie krople deszczu. Juan zajrzał pod koła. Pęknięcie na samym środku drogi kazało spodziewać się najgorszego. Poprosił, aby Susan zapaliła reflektory. Zrobiła to. Snop światła przeciął ścianę deszczu. Jak okiem sięgnąć, droga była rozdarta szczeliną.

— Niech pani przejdzie do tyłu, musimy natychmiast stąd odjechać.

— Zwariowałaś, widzisz, jaki deszcz pada?

— A zaraz my padniemy, niech się pani pośpieszy, proszę nie wysiadać na tamtą stronę, niech pani robi, co mówię!

Gdy tylko wypowiedział te słowa, ciężarówka przechyliła się jak statek, który za chwilę przewróci się na burtę i zatonie. Juan chwycił Susan za ramię i popchnął na tył ciężarówki. Starła się utrzymać równowagę wśród worków z żywnością. Juan posuwał się przed nią. Uniósł plandekę nad klapą, pociągnął Susan za rękę, po czym razem upadli. Potoczyli się po ziemi, pociągnął ją w stronę skały i zmusił, żeby przykucnęła. Szeroko otwartymi oczami

mi patrzyła, jak ciężarówka ześlizguje się tyłem i leci w przepaść. Kabina napięła się jak w ostatnim wysiłku, światła reflektorów skierowały się w niebo i stary dodge zniknął w wąwozie. Ryk deszczu był ogłuszający. Susan, znieruchomiała, nie słyszała już nic, Juan musiał kilka razy krzyknąć, aby zareagowała. Trzeba teraz jak najszybciej pójść wyżej; nasyp, który posłużył im za schronienie, zaczynał powoli opadać. Susan złapała Juana i wspięli się kilka metrów wyżej. Jak w najgorszych koszmarach sennych czuła, że zsuwa się z każdym krokiem, choć nakazuje swemu ciału iść naprzód. To nie było złudzenie, ziemia uciekała spod stóp, ściągając ich w przepaść. On krzyczał, żeby wytrzymała, żeby złapała go za nogi, ale zdrętwiałe palce Susan nie miały siły utrzymać tkaniny spodni Juana, która wyślizgiwała jej się z rąk.

Przywarła do ruchomej ściany, strugi błota zaczynały już ją przykrywać. Musiała z całej siły pluć, brakowało jej tchu. Półmrok rozjaśniło silne migotanie gwiazdek w jej oczach, straciła przytomność. Juan ześlizgnął się ku niej na plecach. Uniósł bezwładną głowę Susan, oparł ją sobie na piersi. Usunął ziemię zatykającą usta dziewczyny, ułożył ją na boku i wsunął palce do gardła. Wstrząsnął nią dreszcz, wymiotowała. Juan przycisnął ją do siebie i z całych sił uchwycił się korzenia. Nie umiał przewidzieć, jak długo tak wytrzyma, był za to pewien, że dokładnie tyle pozostało im jeszcze życia.

10 lutego 1977

Susan,
gdzie jesteś? Niepokoję się. Z Salwadoru donoszą, że uzbrojone bandy guerilleros grupują się wzdłuż twojej granicy. „New York Times” mówi o wtargnięciu na terytorium Hondurasu i o sporadycznych walkach. Napisz przynajmniej parę słów, żebym wiedział, że jesteś zdrowa i bezpieczna. Błagam, uważaj, na siebie i napisz szybko.

Philip

Trwali tak już od dwóch godzin. Chwilowe roz pogodzenie pozwoliło im wspiąć się o parę centymetrów i znaleźć pewniejsze oparcie. Susan wróciła do rzeczywistości.

- O mało nie utopiłam się w górach, nikt mi nie uwierzy.
- Niech pani oszczędza siły.
- Niedługo wpadniesz w nawyk ciągłego uciszania mnie.
- Jeszcze z tego nie wyszliśmy.
- Gdyby twój Bóg chciał nas zabrać do siebie, już byłoby po wszystkim.
- Niebezpieczeństwo nie pochodzi od Boga, pochodzi od gór i od *aguaceros*, a one mają jeszcze gorszy charakter niż pani!
- Juan, jestem zmęczona.
- Wiem, ja też.

— Dziękuję, Juan, dziękuję za to, co zrobiłeś.

— Gdyby wszyscy, których pani uratowała, mieli pani dziękować, nic innego nie byłoby słyszeć w dolinie od kilku miesięcy!

— Zdaje mi się, że deszcz przestaje padać.

— Teraz trzeba się modlić, żeby całkiem przestał.

— Zrób to ty, bo ja mam z nim do uregulowania kilka zaległych długów.

— Mamy przed sobą całą noc, niech pani odpoczywa. Nastąpiły godziny ciszy, przerywanej tylko chwilowymi kaprysmi burzy, która nie mogła się zdecydować na odejście. Około czwartej nad ranem Juan przysnął, rozluźnił uścisk, Susan zsunęła się z krzykiem. Poderwał się, objął ją mocniej i przyciągnął do siebie.

— Przepraszam, usnąłem!

— Juan, powinieneś zachować siły dla siebie, we dwójkę nie damy rady. Jeśli mnie puścisz, uratujesz siebie.

— Jeśli ma pani mówić głupstwa, to lepiej już nic nie mówić.

— To jakaś obsesja, to twoje uciszanie mnie! Wytrzymała kilka minut, po czym przerwała milczenie nakazane przez Juana, żeby mu opowiedzieć o swoim strachu. On także myślał, że to ostatnie chwile ich życia. Znowu milczenie. Po chwili zapytała go, o czym myśli. Modlił się do swoich rodziców. Zamilkła. I znów cisza, a potem jej nerwowy śmiech.

— Co w tym śmiesznego?

— Philip na pewno siedzi przed telewizorem!

— Myśli pani o nim?

— Zapomnij o tym, co powiedziałam. Jak sądzisz, jeśli przejedziemy się na tamten świat, to pochowają nas jak bohaterów?

— To dla pani takie ważne?

— Nie wiem — zawahała się chwilę — może — znowu chwila refleksji. — Nie, chyba nie, po prostu z braku pięknego ślubu chciałabym mieć nadzieję na piękny pogrzeb.

Musieli podciągnąć się choć kilka metrów, mimo że ulewa ustąpiła, bo w każdej chwili ziemia mogła się obsunąć i ściągnęłaby ich do wąwozu. Błagał, żeby zdobyła się jeszcze na odrobinę wysiłku i podjęła niebezpieczną wspinaczkę. Musiała krzyczeć, żeby mu przerwać, nie mogła ruszyć nogą. Cały czas ją podtrzymując, zsunął się niżej i delikatnie uwolnił stopę, która uwięzła w czymś, co było trudne do zidentyfikowania w półmroku. Pod koniec tej wyczerpującej wspinaczki osiągnęli wreszcie skraj przebiegającej wyżej drogi. Przeszli na drugą stronę i oboje oparli się o przeciwległe zbocze. Nieprzewidziana, majestatyczna burza zmieniła nieco kierunek, zamierając na wysokości góry Ignacio, odległej o sto kilometrów. W ślad za nią podążał orszak ulewnych deszczy.

— Bardzo mi przykro — powiedział Juan.

— Dlaczego?

— Pozbawię panią pięknego pogrzebu, jesteśmy uratowani!

— Och, nic nie szkodzi, nie rób sobie wyrzutów, mam kilka koleżanek, które nie wyjdą za mąż przed trzydziestką, więc mogę kilka lat poczekać na pogrzeb, nie uchodząc jeszcze za starą pannę!

Juan nie docenił humoru Susan. Podniósł się, żeby zakończyć tę rozmowę. Dzień jeszcze nie wstał, trzeba było poczekać, aż zrobi się jasno, i wtedy pójść w górę, na drogę prowadzącą do osady. W ciemności każdy krok był zbyt niebezpieczny. Oboje byli przemoknięci, ona zaczęła drżeć, nie tylko z zimna, ale również z poczucia, że cudem wymknęła się śmierci. Rozmasował ją energicznie. Ich spojrzenia się spotkały. Odsunęła twarz od jego twarzy, szczękając zębami, powiedziała drżącym głosem:

— Juan, bardzo ładny z ciebie chłopiec, ale jesteś troszeczkę za młody, żeby mi obmacywać piersi. Może twoim zdaniem nie, mogę to zrozumieć, ale ja uważam, że powinieneś poczekać jeszcze co najmniej kilka lat.

Nie mógł znieść jej tonu. Dostrzegła to natychmiast po tym, jak zmrużył oczy. Gdyby nie знаła legendarnego wprost spokoju swojego towarzysza, bałaby się, że ją spoliczkuje. Juan tego nie zrobił, po prostu oddalił się od niej, jego postać nagle zniknęła. Wołała go w nieprzeniknionej ciemności.

— Juan, nie chciałam cię urazić!

Świerszcze, aby wysuszyć swe pancerzyki, rozpoczęły monotonne cykanie.

— Juan, nie dąsaj się, wróć tu, rozmawiaj ze mną! W końcu przecież nadejdzie świt.

Susan usiadła przy pniu drzewa, czekając, aż wstanie dzień.

Zasnęła. Kiedy ktoś potrząsnął ją za ramię, z początku pomyślała, że to Juan, ale *campesino* przykucnięty obok niej nie był do niego wcale podobny. Uśmiechnął się. Twarz miał pooraną deszczami, które naznaczyły jego życie. Oszołomiona patrzyła na spustoszoną okolicę. Poniżej rozpoznała wystającą z ziemi karpę, na której się zatrzymała, nieco dalej skraj usypiska, pod którym się schronili, wreszcie na dnie przepaści maskę dodge'a, niemal pochłoniętą przez błoto.

— Widziałeś Juana? — spytała słabym głosem.

— Chłopca jeszcze nie odnaleźliśmy, wyruszyliśmy na poszukiwanie tylko we dwóch.

Usłyszeli ciężarówkę. Rolando był pewien, że widział smugi reflektorów spadające do wąwozu, ale rozszalała burza uniemożliwiła wszelką próbę ratunku; nie udało mu się nikogo namówić do wyruszenia w góry. Gdy tylko nieco się roz pogodziło, wysłał na poszukiwania dwóch wieśniaków z wozem zaprzężonym w osła; był przekonany, że przywiozą ich — w najlepszym razie — rannych. Starszy z nich powiedział Doñi Blance, że chyba pilnuje jej Anioł Stróż, skoro udało jej się przeżyć taką nawałnicę.

— Trzeba szukać Juana!

— Nie potrzeba szukać, wystarczy otworzyć oczy! Góra jest kompletnie spustoszona, nie ma żywej duszy aż do samej doliny. Niech pani popatrzy na prawo, z ziemi wystaje szkielet ciężarówki. Jeśli Juan nie dotarł o własnych siłach do osady, to znaczy, że leży gdzieś pogrzebany w błocie. Wyciosamy krzyż i postawimy go tam, gdzie zsunęliście się z drogi.

— To droga się zsunęła, nie my!

Młodszy z mężczyzn zaciął osła batem, ruszyli. Podczas gdy osiołek dreptał drogą, Susan zamartwiała się losem swojego protegowanego, który został w końcu jej opiekunem.

Godzinę później wjechali do osady. Zeskoczyła z wozu, głośno wołając Juana. Nie usłyszała żadnej odpowiedzi. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że na tej jedynej uliczce panuje grobowa cisza. Nikt nie stał oparty o fasadę domu z papierosem w ręce, żadna kobieta nie szła dróżką po wodę do źródła. Pomyślała od razu o drobnych incydentach, które przeradzały się w zbrojne potyczki pomiędzy mieszkańcami gór a bandami *guérilleros*, uciekającymi z Salvadoru. Co prawda, granica była daleko stąd i nigdy jeszcze nie donoszono o najazdach w tych regionach kraju. Ogarnęła ją panika. Ponownie zawołała Juana, odpowiedziało jej tylko echo własnego głosu.

Juan ukazał się w przedsionku ostatniego domu, w górze

ulicy. Twarz miał umazaną wysuszonym błotem, ściągnięte rysy wyrażały jakiś nieokreślony smutek. Wolnym krokiem podszedł do niej. Susan była wściekła.

— Co za głupi pomysł, żeby zostawić mnie tak zupełnie samą, zamartwiam się o ciebie. Nigdy więcej nie rób czegoś takiego, przecież nie masz dziesięciu lat, o ile mi wiadomo!

Chwyił ją za ramię i pociągnął na drogę.

— Proszę iść za mną i nic nie mówić. Zatrzymała się i spojrzała mu prosto w oczy.

— Przystaniesz wreszcie ciągle mnie uciszać?

— Proszę, niech pani nie hałasuje, nie mamy czasu do stracenia.

Zaprowadził ją do domu, z którego wyszedł. Razem weszli do jedyne go tam pomieszczenia. Kolorowe tkaniny zasłaniały okna, aby nie wpadało przez nie słońce. Susan potrzebowała kilku sekund, żeby przyzwycząić oczy do półmroku. Rozpoznała plecy Rolanda Alvareza. Wstał z klęczek, odwrócił się w jej stronę, patrząc przekrwionymi oczami.

— To jakiś cud, że pani przyjechała, Dona Blanca, ona cały czas panią woła.

— Co tu się dzieje? Dlaczego wioska jest opustoszała? Mężczyzna poprowadził ją w głąb pokoju, rozsunał tkaninę zasłaniającą legowisko pod ścianą. Ujrzała dziewczynkę, dla której zdecydowała się na tę

niebezpieczną podróż. Dziecko leżało nieprzytomne. Błada twarz ociekająca potem zdradzała przyczynę choroby. Susan gwałtownie uniosła prześcieradło. Kikut uciętej nogi był fioletowy, obrzmiały od gangreny. Podniosła koszulę, zobaczyła, że zaatakowana jest też pachwina. Zakażenie ogarnęło całe ciało. Za plecami Susan Rolando drżącym głosem wyjaśniał, że z powodu nawałnicy trwającej od trzech dni nie mógł zwieźć dziecka na dół. Modlił się, żeby usłyszeć motor ciężarówki, w nocy nawet zdawało mu się, że jego modlitwa została wysłuchana, ale potem zobaczył, jak światła reflektorów oświetlają przepaść. Przynajmniej dziękuje Bogu, że Dona ocalała. Tak czy inaczej, dla jego córki jest już za późno, przeczuwał to od dwóch dni, ona już wcale nie ma sił. Kobiety z wioski siedziały przy niej na zmianę, ale od wczoraj nie otwiera oczu i nie może jeść. Chciałby jeszcze raz ją ocalić, oddałby własną nogę, gdyby to było możliwe. Susan przykucnęła obok nieruchomego ciała. Wzięła ściereczkę moczając się w misce z wodą, wyżeła ją i delikatnie położyła na mokrym od potu czole. Złożyła pocałunek na jej wargach i wyszeptała do ucha litanie słów, jakie jej przyszły do głowy.

— To ja, przyszedłam cię wyleczyć, teraz wszystko będzie dobrze. Byłam na dole, w dolinie, nagle poczułam wielką ochotę cię zobaczyć, no i jestem. Kiedy poczujesz się lepiej, wszystko ci opowiem, jakie miałam przygody, kiedy tu jechałam...

Położyła się obok niej, przeczesła palcami jej czarne długie włosy, chcąc je rozplątać, a potem pocałowała rozgrzany policzek dziecka.

— ...Przyjechałam ci powiedzieć, że cię kocham i że mi ciebie brak. Ogromnie. Tam, na dole, myślałam o tobie przez cały czas. Chciałam przyjechać wcześniej, ale nie dało się, przez deszcz. Juan jest tutaj, on też chciał cię zobaczyć. Przyjechałam po ciebie, żebyś mogła spędzić parę dni ze mną w dolinie, chcę ci tyle pokazać. Muszę cię zawieźć nad morze, nauczę cię pływać i będziemy kąpać się na falach. Nigdy tego nie widziałaś, to takie piękne. Kiedy słońce wyłania się nad wodą, ocean jest jak lustro. A potem pojedziemy do wielkiego lasu, który rozciąga się trochę dalej. Tam są wspaniałe zwierzęta.



Przycisnęła ją do piersi i wtedy poczuła ostatnie uderzenia serca dziewczynki, zanikające, tuż przy własnym sercu. Podtrzymując jej główkę, nagle bardzo ciężką, zaczęła nucić i kołysała ją tak aż do zmierzchu. Gdy zapadł zmrok, Juan podszedł i ukląkł obok niej.

— Teraz trzeba ją zostawić, przykryć jej twarz, żeby mogła pójść do nieba.

Susan milczała. Nieprzytomnym wzrokiem wpatrywała się w sufit. Juan musiał ją podnieść i podtrzymać za ramiona. Wyprowadził ją na zewnątrz. Przy drzwiach spoj-

rzała za siebie. Jakaś kobieta przykryła już ciało. Susan osunęła się na ziemię przy murze. Juan usiadł obok niej, zapalił papierosa i podał go jej do ust. Zaczęła kaszleć przy pierwszym zaciągnięciu się dymem. Siedzieli tak, wpatrując się w gwiazdy na niebie.

— Myślisz, że już tam jest?

— Tak.

— Powinnam była przyjechać wcześniej.

— Myśli pani, że to by coś pomogło? Nic pani nie rozumie z postanowień Boga. Dwa razy wezwał ją do siebie i dwa razy człowiek sprzeciwił się jego woli: Alvarez, kiedy wyciągnął ją ze strumienia błota, a potem pani, zawożąc ją na operację. Ale ręka boża jest zawsze silniejsza. Bóg chciał ją mieć przy sobie.

Ogromne łzy toczyły się po policzkach Susan. Złość i ból ścisnęły jej brzuch. Rolando Alvarez wyszedł z domu i zbliżył się do nich. Usiadł obok Susan. Ona schowała głowę między kolanami i dała ujście swej wściekłości:

— W jakim kościele trzeba się modlić, żeby ustało wreszcie cierpienie dzieci, a jeśli one umierają, to gdzie są niewinni na tej obłąkanej planecie?

Alvarez skoczył na równe nogi i zmierzył wzrokiem Susan. Dzikim, bezlitosnym głosem powiedział, że Bóg nie może być wszędzie, że nie zdoła uratować wszystkich. Susan twierdziła, że ten Bóg od długiego już czasu zapomina o Hondurasie.

— Niech pani wstanie i skończy z rozczulaniem się nad sobą — mówił dalej. — Setki dziecięcych ciał są pogrzebane w tych dolinach. To była przecież sierota, która straciła nogę. Lepiej jej teraz z rodzicami niż tutaj. Musi pani mieć więcej pokory, żeby to zrozumieć. To cierpienie nie należy do pani, a nasze ziemie są zbyt nasiąknięte wodą, żeby dorzucać jeszcze do nich pani łzy. Jeśli nie weźmie się pani w garść, proszę wracać do siebie!

Mężczyzna o imponującym wzroście po tych słowach odwrócił się i zniknął za rogiem uliczki. Juan pozwolił Susan milczeć. Poszedł tą samą drogą co Alvarez, zastał go opartego o ścianę ziemi. Rolando płakał.



Wiosna żałoby upływała w rytmie listów mijających się gdzieś pod niebem Ameryki Środkowej.

W marcu Philip podzielił się z Susan swoim niepokojem, bo nowojorskie dzienniki donosiły o powodach i konsekwencjach stanu wyjątkowego w Nikaragui, której granica — według niego — przebiegała zbyt blisko niej. Ona odpowiedziała, że dolina Sula jest z dala od wszystkiego. Każdy list Philipa kończył się zdaniem lub słowem, które mówiło o jej nieobecności i cierpieniu, jakiego była powodem; każda odpowiedź Susan omijała ten temat. Philip pracował dla agencji reklamowej przy Madison Avenue. Każdego ranka, po przejściu piechotą SoHo, wsiadał do

autobusu, a pół godziny później siedział już przy swoim biurku. Prawdziwa gorączka ogarnęła całą ekipę od chwili, gdy agencja zaczęła się ubiegać o obsługę kampanii prasowej Ralphi Lauren. Gdyby wygrali, jego kariera ruszyłaby z miejsca, to przecież pierwsza próba naprawdę twórcza; marzył już, siedząc przy stole kreślarskim, o dniu, gdy zacznie kierować całym działem. Jak zwykle był zarzucony pracą, powinien przedstawić szkice, niemal zanim zostały zamówione.



Po wyjściu — o świcie — z jego domu, nazajutrz po nocy sylwestrowej, Mary zadzwoniła do niego i od tego czasu dwa razy w tygodniu spotykali się na rogu ulic Prince i Mercer, po czym szli na kolację do Fanellego, gdzie było wspaniałe jedzenie. Pod pretekstem podzielenia się z nią wrażeniami z dobrego artykułu, który właśnie przeczytał, często opowiadał jej o Susan, wyolbrzymiając to, co opisywała w listach. Wieczór upływał w zadymionej i hałaśliwej atmosferze restauracji. Kiedy w połowie jakiegoś zdania widział, że Mary zamykają się oczy, regulował rachunek i odprowadzał ją pieszo do domu.



Gdzieś od połowy marca w chwili rozstania zaczęli odczuwać lekkie zażenowanie. Ich głowy przybliżyły się

do siebie, ale w momencie gdy już-już miało dojść do pocałunku, Mary zręcznie się wycofywała, po czym znikła w czeluści ponurej bramy. Philip wkładał ręce do kieszeni płaszcza i wracał do domu, zastanawiając się nad naturą relacji pomiędzy dziennikarką stażystką a ilustratorem reklam.

Stroje kobiet na ulicach zapowiadały nadejście wiosny. Nie oglądał ani kwietniowych pączków, ani czerwcowych liści, tak bardzo był zapracowany. 14 lipca piorun uderzył w dwie nowojorskie elektrownie, pogrążając całe miasto w ciemności na dwadzieścia cztery godziny. Chociaż „wielka awaria”, o której pisano na pierwszych stronach gazet całego świata, dokonała przewrotu w statystykach narodzin dziewięć miesięcy później, Philip spędził samotną noc w domu, przygotowując projekty rysunków przy świetle trzech świeczek ustawionych na biurku.



W połowie sierpnia, przed rozpoczęciem pracy dziennikarskiej w redakcji „Cosmopolitan”, Mary przez tydzień przebywała u przyjaciół w Hampton.

Po krótkim postoju samolot Susan wystartował z Miami. W Newark trwała przebudowa dworca lotniczego. Philip czekał przy wyjściu z samolotu. Jeden raz, to nie ma znaczenia. Postawiła torbę na ziemi i rzuciła się w jego ramiona. Długo tak stali przytuleni do siebie. Wziął ją za rękę, podniósł bagaż i poszli do baru.

- A jeśli nasz stół jest zajęty?
- Zrobiłem, co trzeba!
- Poczekaj, niech cię obejrzę. Postarzałeś się!
- Miło mi, dziękuję.
- Ale jesteś bardzo przystojny.

Pogłaskała go palcami po policzkach, uśmiechnęła się z czułością i pociągnęła go w stronę stolika, który był już ich miejscem. Pomimo zmęczenia promieniowała radością. Długo wypytywał ją o miniony rok; jakby dla zatarcia wszelkich śladów po ostatnich minutach ostatniego spotkania nic nie mówiła o zimie. Gdy opisywała mu swój typowy dzień, Philip szkicował jej twarz w zeszycie.

- A co słyhać u tego twojego Juana?
- Zastanawiałam się, kiedy o niego spytasz. Juan odszedł. Bóg jeden wie, czy kiedykolwiek go zobaczę.
- Pokłóciliście się?
- Nie, to bardziej skomplikowane. Straciliśmy pewną dziewczynkę i od tego czasu wszystko jest inaczej; coś się załamało i nie potrafiliśmy tego naprawić. Ciągłe patrzyliśmy na siebie złym okiem, jakbyśmy byli winni.
- Co się wtedy wydarzyło?
- Padał deszcz, droga się obsunęła, o mało go nie zabiłam.



Nie opowiedziała mu nic więcej. Niektóre opowieści należą wyłącznie do ofiar i tylko powściągliwość tych,

którzy przyszli z pomocą, chroni ich tajemnicę. Na początku maja Juan zjawił się u niej z dużą płócienną torbą na ramieniu. Spytała, dokąd się wybiera. Dumnie popatrzył jej prosto w oczy i oznajmił, że wyjeżdża. Natychmiast uświadomiła sobie, że będzie jej go brakowało, tak jak wszystkich, których kochała, z bliska lub z daleka, i którzy nagle zniknęli. Stojąc przed domkiem, z rękami na biodrach, tak jakby dla silniejszego zaznaczenia ogarniającej ją złości, powiedziała mu parę przykrych słów. Juan nie zareagował, więc się uspokoiła. Uścisnęła go, po czym podała kolację.

Kiedy ostatni talerz został odstawiony do szafki, wytarła ręce o spodnie i odwróciła się do niego. Zmieszany stał już pośrodku jedyne go pokoju, torba leżała u jego stóp. Uśmiechnęła się i żeby ułatwić ową chwilę, życzyła mu szczęśliwej drogi i dobrego życia. Pokonując nieśmiałość, podszedł do niej. Ujęła w dłonie jego twarz i zbliżyła usta do jego warg. O świtaniu odszedł drogami swego kraju, zmierzając do następnego etapu życia. Przez kilka tygodni Susan walczyła z przygnębieniem, bo drzwi otwierały się tylko na jej samotność.

— Brak ci go?

— Juan ma rację, trzeba polegać tylko na sobie; ludzie są wolni, przywiązanie jest niedorzecznością, wstępem do cierpienia.

— Więc nie zostajesz! Albo raczej, ile godzin zostajesz tym razem?

— Philipie, nie zaczynaj!

— Dlaczego? Ponieważ z twojej miny odgaduję to, czego nie powiedziałaś, że za godzinę wyjedziesz, a moje życie znowu będzie trwało w zawieszeniu, aż do przyszłego roku? Wiedziałem, że nie zostaniesz, mój Boże, przygotowywałem się na takie słowa. Do ilu lat będziesz czekać, by pomyśleć o nas, o twoim życiu jako kobiety?

— Skończyłam dwadzieścia cztery, mam jeszcze czas!

— Chcę ci powiedzieć, że poświęcasz się wielu ludziom, ale jesteś samotna, nie masz nikogo w życiu, kto zajmowałby się tobą, kto by cię chronił czy chociażby kochał się z tobą.

— A co ty o tym możesz wiedzieć? Coś niebywałego, czy wyglądam jak ktoś, kto tego wcale nie robi, czy co?

Susan podniosła głos, Philip natychmiast skulił się w sobie. Z zaciśniętymi ustami starał się odnaleźć wątek rozmowy.

— Nie to chciałem powiedzieć, nie musisz krzyczeć, Susan.

— Krzyczę, bo jesteś głuchy. Nie mogę żyć dla jednego mężczyzny, bo żywię ich codziennie trzystu, nie mogę mieć dzieci, bo w mojej dolinie próbuję uratować od śmierci sto dziesięcioro.

— Aha, czyli masz o dziesięcioro więcej? Ostatnim razem było ich sto!

— Nie, w tym roku miałam o osiemnaścioro więcej,

minus ośmioro, które pochowałam, czyli nadal jest sto dziesięcioro, ale teraz to osiem razy mniej zabawne! Żyję w otoczeniu sierot, do cholery!

— Są podobne do ciebie, chcesz więc być jak one. Być matką, zanim zostaniesz sierotą, to ci nic nie mówi?

— Przeprowadzasz analizę, że opowiadasz takie bzdury? Czy nie możesz zrozumieć, że życie, jakie prowadzę, jest zbyt niebezpieczne?

Podszedł kelner i poprosił o spokój. Mrugnął do Philipa, postawił przed Susan pucharek lodów. Posługując się doskonałym dialektem kastylijskim, oznajmił, że lody to poczęstunek od firmy i że pod płynną czekoladą jest w nich dużo płatków migdałowych. Odchodząc, porozumiewawczo skinął głową do Philipa, który udał, że niczego nie widzi.

— Czego on ode mnie chce, że gada po hiszpańsku? — spytała zaskoczona.

— Niczego nie chce, nic a nic, ale mów trochę ciszej, na litość boską!

Susan, dla żartu, zaczęła mówić szeptem.

— Nie będę ryzykować, że tym razem ja kogoś opuszczę, nie mam ani wujka, ani ciotki, którzy mogliby mnie zastąpić w razie czego.

— Przestań wreszcie mieszać preteksty i wymówki, oszukujesz samą siebie! Gdyby cokolwiek się zdarzyło, możesz na mnie polegać. Boisz się uczuciowej zależności

od drugiej osoby, Susan, ale kochać to nie znaczy rezygnować ze swojej wolności, to znaczy nadać jej kierunek.

Nie chciał, żeby ich spotkanie zakończyło się tak jak poprzednie, ale nie znajdował innego tematu do rozmowy. Jego umysł wzbraniał się przed wyrzuceniem słów, które go przepełniały, a których nie potrafił sformułować.

— Poza tym chroni cię mój medalik.

— Masz nadzwyczaj selektywną pamięć, kiedy to cię urządza.

Uśmiechnęła się wreszcie, pochwyciła jego spojrzenie, kiedy sięgnęła ręką pod sweter. Wyciągnęła medalik.

— Chcesz może iść się przebrać do toalety? — spytała arogancko. — Opowiedz o twoim życiu mężczyzny.

Zaczerwienił się, bo dostrzegła, że jej pragnie; opowiadał o swoich sukcesach w agencji, pochwalił się, że powierzają mu coraz bardziej odpowiedzialne zadania. Nie jest to jeszcze całkiem oficjalnie potwierdzone, ale stał już na czele małej ekipy, która ma zrealizować sześć projektów. Jeśli tak dalej pójdzie, za dwa lata będzie dyrektorem kreatywnym. Co do innych spraw, niewiele ma do opowiedzenia. Susan mu raczej niczego nie ułatwia...

— A ta twoja przyjaciółka, z którą chodzisz do kina, drapie cię czasem poza salą kinową czy tylko przy oglądaniu horrorów?

— To wcale nie był horror!

— Tym bardziej. No więc jak to z nią jest?

— Nic nie jest.

— Posłuchaj, kochany, na pewno dzieje się coś w twoim życiu, chyba że jesteś całkiem bezpłciowy!

Odpłacił się jej takim samym komplementem. Odpowiedziała, że nie ma czasu, że owszem, o mało nie skończyła w męskich ramionach kilku wieczorów rozpoczętych w barze, ale tylko dla pociechy, której tak szukała. On powołał się na taki sam stan ducha, aby usprawiedliwić swój celibat. Susan ponowiła atak, tym razem o wiele delikatniej, po prostu inaczej sformułowała pytanie. On wspomniał o drobnych epizodach z Mary Gautier Thomson, dziennikarką z „Cosmopolitan”, którą trzy razy w tygodniu odprowadza pod dom i nic z tego nie wynika.

— Zastanawia się pewnie, czy nie masz jakiegoś problemu.

— Ona też nic nie robi!

— A to dobre! Więc teraz kobieta powinna zrobić pierwszy krok?

— Chcesz mnie pchnąć w jej ramiona?

— Mam wrażenie, że nie trzeba cię mocno pchać, żebyś w nie wpadł.

— To by cię urządzało?

— Dziwne pytanie.

— Nurtują mnie wątpliwości, Susan. To bardzo łatwe, kiedy ktoś decyduje za ciebie.

— Decyduje o czym?

— O tym, żeby nie dawać nadziei.

— A to już zupełnie inna sprawa, Philipie. Żeby coś zaistniało, potrzeba odpowiednich osób w odpowiednim momencie.

— Bardzo łatwo powiedzieć sobie, że to nie jest odpowiedni moment, kiedy los każe nam zdecydować.

— Chcesz wiedzieć, czy mi ciebie brakuje? Odpowiedź brzmi: tak. Czy często o tobie myślę? Prawie bez przerwy, jak tylko mam czas; może to niedorzeczne, ale wiem też, że nie jestem jeszcze gotowa.

Wzięła jego rękę i przytknęła do swego policzka, on nie protestował. Przymknęła oczy; pomyślał, że nastrój chwili zaraz ją uśpi. Chciał, żeby to trwało dłużej, ale komunikat z głośnika zapowiadał już ich rozstanie. Trwała nieruchomo, tak jakby nie usłyszała. Kiedy się poruszył, powiedziała, że wie i że słyszała. Posiedziała jeszcze kilka minut z zamkniętymi oczami, z głową opartą na jego ręce, po czym nagle zerwała się, szeroko otwierając oczy. Oboje wstali, wziął ją pod łokieć, podniósł torbę. W korytarzu prowadzącym do samolotu pocałowała go w policzek.

— Powinieneś pozwolić sobie na to i owo z tą twoją przyjaciółką, wielką reporterką od mody damskiej! Oczywiście jeśli na ciebie zasługuje. W każdym razie ty nie zasługujesz na to, żeby być sam.

— Ja się bardzo dobrze czuję w samotności.

— Przestań, za dobrze cię znam, nienawidzisz samotności. Philipie, myśl, że na mnie czekasz, jest pocieszająca, ale za mało egoistyczna, żebym mogła wziąć na siebie odpowiedzialność. Naprawdę nie jestem pewna, czy będę kiedyś chciała wieść z kimś wspólne życie, i chociaż wiem bez najmniejszej wątpliwości, że tym kimś będziesz ty, taka wizja przyszłości jest po prostu niesprawiedliwa. W końcu mnie znienawidzisz.

— Skończyłaś? Spóźnisz się na samolot!

Zaczęli biec w stronę wejścia, które przybliżało się zbyt szybko.

— Taki mały flircik na pewno dobrze ci zrobi!

— A kto ci powiedział, że to będzie tylko flirt? Pogroziła mu palcem, przybrała żartobliwie złośliwą pozę, wpatrując się w swój paznokieć.

— On!

Rzuciła mu się na szyję, pocałowała go w kark i pobiegła do samolotu. Odwróciła się ostatni raz, żeby mu posłać całusa. Kiedy zniknęła, szepnął:

— Życie w zawieszeniu, aż do przyszłego roku.



Po powrocie do domu postanowił nie poddawać się smutkowi dni następujących po jej wyjeździe. Podniósł słuchawkę i poprosił redakcyjną centralę o połączenie go z numerem Mary Gautier Thomson.

Spotkali się pod wieczór u stóp drapacza chmur. Błyskające światła nadawały przechodniom Times Square przedziwne barwy. W ciemnej sali kinowej, podczas filmu *Kobieta pod presją*, dotknął jej ramienia. Dwie godziny później szli pieszo w górę Czterdziestej Drugiej Ulicy. Przy Piątej Alei wziął ją za rękę i pociągnął do przodu, zanim światło pozwoliło ruszyć rzece samochodów. Żółta taksówka zawiozła ich do SoHo. U Fanellego dzielili się sałatą i ożywionymi uwagami na temat filmu Cassavetes'a. Przed bramą domu zbliżył się do niej, dotknięcie policzków przerodziło się w muśnięcie warg i bicie serc.

Deszcze padały nieprzerwanie od wielu dni. Co wieczór gwałtowne podmuchy wiatru zapowiadały burze, które wybuchały nocą w dolinie. Zasypane ziemią ulice pękały, były poryte strumieniami, woda podchodziła aż do ścian domów, naruszając nietrwałe fundamenty. Uporczywe deszcze w końcu przeciekały przez dachy. Krzyki i śmiechy dzieci, które nazywały Susan „Maestra”, rozbrzmiewały od rana w stodole służącej im za szkołę. Prawie zawsze po południu Susan pożyczała jeepa wagoniera, bardziej uległego i zwrotnego niż stary dodge, którego jednak nie mogła odzależnić, i jechała do doliny zawieźć lekarstwa, żywność, niekiedy jakieś druki administracyjne, które pomagała wypełniać. Po bardzo męczących dniach następowały niekiedy wieczorne rozrywki. Jechała wtedy do jednego z barów, gdzie mężczyźni spotykali się, aby razem wypić

cerwezę czy swój ulubiony napój *guajo*. W ramach walki z samotnością tutejszej zimy, która zwykle nadchodziła wcześniej, niż to przewidywano, ciągnąc za sobą woal smutku i zmagają z oporną przyrodą, Susan czasami kończyła noce w ramionach mężczyzny, nie zawsze tego samego.

10 listopada 1977

Susan,

chcę się podzielić tą wiadomością przede wszystkim z tobą: moja pierwsza wielka kampania reklamowa została właśnie kupiona. Za kilka tygodni jeden z moich projektów stanie się ogromnym afiszem rozlepionym po całym mieście. Chodzi o reklamę Muzeum Sztuki Współczesnej. Kiedy już plakaty będą wydrukowane, wyślę ci jeden, może od czasu do czasu pomyślisz o mnie, dołączę też artykuł ze specjalistycznego pisma; właśnie udzieliłem tam wywiadu. Brak mi twoich listów. Wiem, że jesteś zapracowana, ale wiem też, że to nie jedyny powód twojego milczenia. Naprawdę mi Ciebie brak, chyba nie powinienem ci tego mówić, ale nie będę bawić się z tobą w kotka i myszkę.

Pomyślałem, że mógłbym na wiosnę przyjechać do Ciebie, czuję się winien, że nie zaproponowałem tego wcześniej. Jestem jak wszyscy egoistą. Chcę poznać

twój świat i zrozumieć, co cię zatrzymuje tak daleko od naszego życia i od wszystkich tajemnic naszego dzieciństwa. Twoja nieobecność jest tak wszechobecna, że często spotykam się z tą moją przyjaciółką, o której ci mówiłem, ale czuję, że zawsze po odprowadzeniu jej pod dom staram się uciec. Dlaczego ci o tym opowiadam? Bo mam idiotyczne poczucie, że zdradzam jakąś niewysłowioną nadzieję — muszę się pozbyć tego uczucia. Może właśnie pisanie do ciebie jest jakimś sposobem na przebudzenie.

Może kiedyś wrócisz, ale chciałbym nie czekać na ciebie, nie słyszeć tych wszystkich słów, które mogłabyś mi powiedzieć, albo móc je zlekceważyć jako przeciwwagę twojej nieobecności. Nie przyjadę do ciebie na wiosnę, to był zły pomysł, nawet jeśli umieram z chęci przyjazdu, muszę chyba jakoś się od ciebie oddalić, sądzę, że ty także już to robisz, bo listy przychodzą coraz rzadziej. Całuję cię.

Philip

PS Jest siódma rano, przy śniadaniu czytam napisany wczoraj list, tym razem pozwolę ci przeczytać to, co zwykle wyrzucam do kosza.

Jak wiele rzeczy wokół, Susan także się zmieniła. Osada dawała schronienie dwustu rodzinom, rytm życia tych

wszystkich istnień, dopiero co zablźnionych, włączał się stopniowo w rytm życia stałych mieszkańców wioski. Tej zimy listy Philipa nadchodziły coraz rzadziej, odpowiedzi były coraz trudniejsze do napisania. Susan spędziła noc sylwestrową wraz z całą swoją ekipą w restauracji w Puerto Cortes. Pogoda była wyjątkowo ładna, upojna noc zakończyła się na molo, nad samym morzem. U progu nowego roku wydawało się, że cały kraj odzyskał swą dawną werwę. Port powrócił do aktywnego życia, od wielu tygodni nieprzerwanie trwał taniec portowych żurawi, które obracały się nad kontenerowcami. Od wczesnego ranka aż do zmierzchu niebo było poorane smugami po samolotach, zapewniających połączenie między portami lotniczymi. Nie wszystkie mosty zostały odbudowane, ale pozostałości po huraganie były prawie niewidoczne — a może ludzie już się do nich przyzwyczaili? Rozgwieżdżone noce zapowiadały piękny rok i powrót do obfitych zbiorów. Syrena statku towarowego wyryczała północ, dając znak do wypłynięcia w morze ładunku bananów dla Europy.



W wieczór sylwestrowy Philip przyszedł po Mary do domu. Wybierali się na zabawę zorganizowaną przez jej redakcję na trzydziestym trzecim piętrze wieży sąsiadującej z budynkiem „New York Timesa”. Mary miała pod płaszczem długą czarną suknię, na ramionach jedwabny szal.

Oboje byli w doskonałych humorach, co pewien czas usiłowali przywołać jakąś taksówkę, ale wiedzieli, że w ten świąteczny wieczór będą zmuszeni iść pieszo aż do Times Square. Była gwiazdzista przyjemna noc. Mary uśmiechała się milcząco, Philip w uniesieniu opisywał jej udręki pracy w reklamie. Na skrzyżowaniu Piętnastej Ulicy zatrzymało ich czerwone światło.

— Za dużo mówię, prawda?

— Czy mam znudzoną minę? — odpowiedziała.

— Jesteś na to za uprzejma. Przykro mi, ale muszę wyrzucić z siebie wszystkie słowa nagromadzone przez tydzień. Byłem tak zapracowany, że prawie w ogóle nie mówiłem.

Utorowali sobie przejście pośród trzystu osób, które zgromadziły się w biurach; zabawa trwała w najlepsze. Bufety były obleżone, brygada kelnerów bezustannie je zaopatrywała. Najczęściej owi żołnierze w białej liberii musieli zawracać w pół drogi, bo ich tace łupiono, zanim dotarły do celu. Zbity tłum prawie uniemożliwiał rozmowę, a nawet taniec. Dwie godziny później Mary dała ręką znak Philipowi, który dyskutował z kimś kilka metrów dalej. Gwar nie pozwolił jej usłyszeć ani słowa, ale palcem wskazywała jedyny interesujący ją kierunek — drzwi wyjściowe. Skinieniem głowy potwierdził odbiór sygnału i zaczął przesuwać się w stronę wyjścia. Kwadrans później spotkali się przy szatni. Po zamknięciu drzwi na klatce

obok wind zapanowała uderzająca cisza. Podczas gdy Philip naciskał guzik, stojąc przed podwójnymi miedzianymi drzwiami środkowej windy, Mary powoli podeszła do wielkiej oszklonej ściany, skąd rozciągał się widok na miasto.

— Skąd wiesz, że pierwsza przyjedzie właśnie ta winda, a nie prawa albo lewa?

— Nie wiem, po prostu przyzwyczajenie, a poza tym kiedy stoję w środku, mam bliżej do tej, która pierwsza się otworzy.

Gdy tylko wypowiedział to zdanie, zamrugało zielone światelko nad jego głową i zabrzączał dzwonek.

— Widzisz, dobrze wybrałem!

Mary nie zareagowała. Stała z głową opartą o szybę. Philip pozwolił windzie odjechać na inne piętro, podszedł do szklanej ściany i stanął obok. Ze wzrokiem utkwionym w ulicę wsunęła dłoń w jego rękę.

— Szczęśliwy rok — powiedziała.

— Pół godziny temu już sobie życzyliśmy!

— Nie mówię o tym roku. Prawie o tej samej godzinie w zeszłą noc sylwestrową unosiliśmy się w tłumie na dole, zamiast być tutaj, to chyba jedyna różnica. Zresztą nie mogę narzekać, od tego czasu wznieśliśmy się o trzydzieści trzy piętra!

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Philipie, od roku już spotykamy się na kolacji trzy razy w tygodniu, od roku raczysz mnie różnymi opowieś-

ciami, a ja ciebie, przez cztery pory roku chodzimy po ulicach SoHo, Village, NoHo, pewnej niedzieli doszliśmy nawet do TriBeCa. Wytarliśmy już chyba wszystkie ławki na Washington Square, przetestowaliśmy wszystkie branche w okolicy, piliśmy we wszystkich barach, a na zakończenie każdego wieczoru odprowadzałeś mnie do domu, z tym uśmiechem zażenowania, że opuszczasz mnie na noc. A za każdym razem, gdy twoja postać znika za rogiem, czują dziwne ściskanie w brzuchu. Sądzę, że teraz już dobrze znam drogę, możesz mnie nie odprowadzać, wrócą sama.

— Chcesz, żebyśmy przestali się widywać?

— Philipie, ja żywię do ciebie jakieś uczucia, czy tego nie widzisz? Kiedy przestaniesz wreszcie myśleć tylko o sobie? To ty powinieneś zakończyć nasz związek, jeśli w ogóle coś takiego istnieje. Nie możesz być ślepy aż do tego stopnia!

— Wyrządziłem ci krzywdę?

Mary wzięła głęboki oddech, spojrzała na sufit i cicho westchnęła.

— Nie, teraz mi wyrządzasz. Zawołaj wreszcie tę cholerną windę!

Zupełnie zbity z tropu Philip zrobił, o co prosiła. Drzwi windy natychmiast się otworzyły.

— Dzięki ci, Panie — westchnęła — bo już mi brakowało powietrza!

Z impetem weszła do windy, Philip stał, blokując drzwi, nie wiedział, co powiedzieć.

— Pozwól mi odejść, Philipie, bardzo lubię, jak udajesz głupka, ale tym razem to już jest wręcz nieznośne.

Odepchnęła go, drzwi się zamknęły. Wrócił do okna, jakby chciał ją zobaczyć wychodzącą z budynku. Usiadł na parapecie i obserwował ludzkie mrowie kłębiące się w dole.



Od dwóch tygodni Susan była związana z szefem ambulatorium zbudowanego za portem. Widywała go co trzy dni z racji odległości, jaką musiała przebyć, lecz te wieczory wystarczyły, by znowu na jej policzkach pojawiały się dołeczki. Jak zawsze gdy była szczęśliwa. Wyprawy do miasta „dotleniały ją”. Huk ciężarówek, kurz, klaksony zmieszane z okrzykami ludzi na ulicy, trzask skrzynek rzucanych na ziemię, wszystkie te przejawy życia upajały ją i wyrywały z odrętwienia po długim koszmarze. Na początku lutego opuściła swego logistyka dla kolacji w towarzystwie pilota Hondurian Airlines, który latał dwusilnikowym samolotem kilka razy dziennie do Tegucigalpy. Wieczorem, gdy wracał do San Pedro, zabawiał się lataniem nad jej osadą, tuż nad ziemią. Wtedy wskakiwała do jeepa i zaczynała gonić samolot, przyjmując, z góry skazana na porażkę, wyzwanie wyprzedzenia go.

Czekał na nią przy ogrodzeniu niewielkiego lotniska, dwadzieścia kilometrów za miastem. Z brodą, w skórzanej kurtce, podobny był do bohatera z lat pięćdziesiątych, co nawet jej się podobało; niekiedy dobrze było udawać, że w życiu może być jak w kinie.

Z samego rana wyjeżdżał na służbę, a ona pędziła drogą do osady. Jechała z otwartymi szybami, uwielbiała zapach wilgotnej ziemi zmieszany z wonią sosen. Z tyłu za nią wstawało słońce, kiedy odwracała się na chwilę, by zerknąć na smugę kurzu wzbijanego przez koła; wtedy czuła, że naprawdę żyje. Gdy biało-czerwone skrzydła po raz dwudziesty przelatywały nad jej dachem, gdy samolot był już tylko małą kropeczką na horyzoncie, zawracała i jechała do domu. Film się kończył.



Philip, z bukietem w ręku, nacisnął dzwonek domofonu. Czekał kilka sekund. Trzasnął zamek. Zdziwiony wszedł na trzecie piętro zniszczonej klatki schodowej. Podłoga trzeszczała pod jego stopami. Zadzwoił, stare niebieskie drzwi natychmiast się otworzyły.

— Czekałaś na kogoś?

— Nie, dlaczego?

— Nawet nie zapytałaś, "I kto dzwoni, kiedy byłem na dole."

— Nikt w całym Nowym Jorku nie dzwoni tak krótko!

— Miałaś racją!

— O czym mówisz?

— O tym, co powiedziałaś mi ostatnio, że jestem głupkiem. Jesteś kobietą szlachetną, wspaniałą, zabawną, ładną, czynisz mnie szczęśliwym, a ja jestem ślepy i głuchy.

— Niepotrzebne mi twoje komplementy, Philipie!

— Chcę ci tylko powiedzieć, że wariuję z braku rozmowy z tobą, straciłem zupełnie apetyt, bo nie mogę z tobą jeść kolacji, i od piętnastu dni wpatruję się w telefon jak jakiś idiota.

— Bo jesteś idiotą!

Chciał odpowiedzieć, ale mu przerwała, przycisnęła usta do jego warg, poczuł jej język. Położył róże na podłodze, żeby ją objąć, i został wciągnięty do mieszkania.

Dużo później, w nocy, Mary wysunęła rękę przez uchylone drzwi i chwyciła bukiet pozostawiony na wycieraczce.



Szkoła zajmowała ją coraz bardziej, uczyło się teraz średnio sześćdziesięcioro troje dzieci każdego dnia, w zależności od dobrej woli odpowiedzialnego za szkolny transport i od gorliwości uczniów. Mieli od sześciu do trzynastu lat, trzeba było układać program w sposób jak najbardziej urozmaicony, żeby ich nakłonić do przyjscia nazajutrz i w następne dni. Jadła obiad wczesnym popołudniem —

kukurydziany placek — w towarzystwie Sandry, współpracownicy przybyłej przed kilkoma dniami. Pojechała po nią do San Pedro, modląc się, żeby tylko nie wysiadła z samolotu o czerwono-białych skrzydłach. W obawie przed spotkaniem czekała na nową pracownicę w baraku, pełniącym funkcję dworca lotniczego: kapitan, którego nie chciała spotkać, wyłączał na ziemi tylko jedno śmigło i nigdy nie opuszczał kabiny.

Sandra była młoda i ładna. Nie mając mieszkania, zatrzymała się u Susan, na kilka dni, może na tydzień lub dwa... Któregoś ranka, kiedy razem piły pierwszą poranną kawę, Susan przyjrzała się Sandrze uważnie, lustrując ją od stóp do głów.

— Radzę ci utrzymywać ciało w czystości! W tym upale i wilgoci od razu będziesz miała krosty.

— Ja się nie pocę!

— Pocisz się, moja droga! Pocisz się jak wszyscy, możesz mi wierzyć. Aha, przy okazji, pomożesz mi załadować samochód! Mamy piętnaście worków mąki do rozwiezienia jeszcze dzisiaj.

Sandra wytarła ręce o spodnie i poszła do magazynu. Susan udała się za nią. Kiedy zobaczyła, że brama jest otwarta, przyspieszyła kroku i biegiem ją wyprzedziła. Weszła do stodoły i wściekłością popatrzyła na półki.

— Cholera, cholera, cholera!

— Co się stało? — spytała Sandra.
— Ukradli nam worki.
— Dużo?
— Nie wiem, dwadzieścia, trzydzieści, trzeba zrobić inwentaryzację.
— A komu to potrzebne? Przecież i tak ich nie odzyskamy.
— Potrzebne, bo ja tak mówię, to ja odpowiadam tu za wszystko. Muszę sporządzić raport. Tylko tego brakowało!
— Uspokój się, przecież to nic nie zmieni, że będziesz się denerwować.
— Zaniknij się, Sandro, tutaj ja rządzę, więc aż do nowego polecenia komentarze zachowaj dla siebie.
Sandra złapała ją za ramię i przybliżyła twarz do twarzy Susan. Na jej czole widać było nabrzmiałą żyłę.
— Nie podoba mi się sposób, w jaki do mnie mówisz, nie podoba mi się to, kim jesteś. Myślałam, że to organizacja humanitarna, a nie obóz wojskowy, więc jeśli uważasz się za żołnierza, idź sama liczyć te swoje worki.
Odeszła, a Susan na próżno krzyczała, nakazując jej natychmiast wrócić. Kilku wieśniakom, zgromadzonym wokół, gestem dała do zrozumienia, aby się wynieśli. Mężczyźni rozproszyli się, wzruszając ramionami, kobiety patrzyły na nią z niezadowoleniem. Podniosła dwa worki

pozostałe na ziemi i postawiła je na półce. Potem krzątała się aż do zmierzchu, powstrzymując złość i napływające do oczu łzy. Kiedy już się uspokoiła, usiadła przed domem. Oparła plecy o ścianę i poczuła, jak nagromadzone ciepło przenika do jej ciała. To było przyjemne uczucie. Czubkiem stopy narysowała na ziemi litery, duże „P”, na które przez chwilę patrzyła, po czym zamazała je podeszwą, a potem duże „J” — i wyszeptała: „Dlaczego odszedłeś, Juan?”. Po powrocie do domu stwierdziła, że Sandra się wyniosła.

12 lutego, 1978

Susan,

to początek batalii, jakiej jeszcze nigdy nie widziałaś, walki na kule śnieżne. Wiem, że kpisz sobie z naszych nawałnic, ale to, co spadło na nas trzy dni temu, to coś niesłychanego. Od tego czasu jestem unieruchomiony w domu. Miasto jest całkowicie sparaliżowane pod białą szatą sięgającą dachów samochodów. Dziś rano, w porannych promieniach znowu świecącego słońca, mali, duzi i bardzo duzi opanowali chodniki, stąd pierwsze zdanie tego listu. Teraz już chyba podejmę ryzyko i wyjdę po zakupy. Jest wściekle zimno. Jakże pięknie wygląda miasto pod śniegiem! Brakuje mi twoich listów. Kiedy przyjedziesz? Może spróbowałabyś teraz zostać parę dni? Rok zapowiada się raczej nieźle, pełen obietnic. Dyrekcja jest zado-

wolona z mojej pracy. Nie poznasz mnie, prawie co wieczór gdzieś wychodzą, jeśli tylko nie pracują do bladego świtu, co się często zdarza. Jakie to dziwne, że tak opowiadam ci o pracy, tak jakbyśmy nagle wpadli w świat dorosłych, nie zdając sobie z tego sprawy. Pewnego dnia zaczniemy rozmawiać o naszych dzieciach i wtedy się zorientujemy, że to my jesteśmy rodzicami. Tylko nie rób min, już cię widzę! Kiedy mówię „nasze dzieci”, mówię ogólnie, nie chodzi o dzieci moje czy twoje, po prostu przywołuję pewien obraz. Mógłbym równie dobrze napisać „nasze wnuki”, ale wtedy pomyślałabyś natychmiast, że nigdy nie dożyjesz wieku babci. Te twoje pesymistyczne przewidywania! Tak czy inaczej, czas leci tutaj z zawrotną prędkością, niecierpliwie oczekuję wiosny, która zapowie, z dużym optymizmem, że twój przyjazd jest bliski. Obiecuję ci, tym razem nie będzie sporów, będę tylko słuchał tego, co masz mi do powiedzenia, i wspólnie przeżyjemy tę cenną chwilę, na którą czekam za każdym razem, jak na Boże Narodzenie w lecie. Czekając na tę porę, posyłam deszcz pocałunków.

Philip

W dzień świętego Walentego Philip zaprowadził Mary na dworzec autobusowy. Wsiedli do autokaru numer 33,

jeżdżącego między Montclair a Manhattanem, i po godzinie wysiedli na skrzyżowaniu Grove Street i Alexander Avenue. Dalej poszli piechotą. Pokazywał jej miejsca ze swojego dzieciństwa. Kiedy przechodzili przed jego dawnym domem, spytała, czy brakuje mu rodziców od czasu, gdy wyjechali do Kalifornii; nie odpowiedział. Zauważył, że w sąsiednim domu świeci się światło w oknie pokoju, który niegdyś był pokojem Susan. Być może jakaś inna mała dziewczynka właśnie odrabiała tam lekcje.

— To był jej pokój? — spytała Mary.

— Tak, skąd wiesz?

— Wystarczyło śledzić twój wzrok, bardzo się oddaliłeś.

— Bo to było tak dawno.

— Może jednak nie tak bardzo.

— Już wróciłem do teraźniejszości...

— Wasza przeszłość jest tak przytłaczająca, że przeszkadza mi nieraz w myśleniu o naszej przyszłości. Nie marzę o miłości doskonałej, ale nie chcę żyć w trybie przypuszczającym, a jeszcze mniej w czasie przeszłym.

Aby wreszcie zakończyć tę rozmowę, spytał, czy chciałaby kiedyś tu mieszkać. Odpowiedziała, z głośnym wybuchem śmiechu, że w zamian za co najmniej dwoje dzieci zgodziłaby się być może osiąść na prowincji. Ze szczytu wzgórz, odpowiedział Philip, widać Manhattan oddalony zaledwie o pół godziny jazdy samochodem. Dla Mary

oglądać miasto i mieszkać w nim to dwie różne rzeczy; studiowała dziennikarstwo nie po to, żeby osiąść w małej amerykańskiej mieścinie, nawet niezbyt oddalonej od Nowego Jorku. Bądź co bądź ani on, ani ona nie osiągnęli jeszcze wieku emerytalnego.

— Ale tutaj za te same pieniądze mieszkasz w domu z ogrodem, oddychasz dobrym powietrzem i możesz, mimo wszystko, pracować w Nowym Jorku. Same zalety.

— Philipie, o czym ty właściwie mówisz? Teraz nagle robisz plany, ty, miłośnik życia chwilą?

— Przestań ze mnie żartować.

— Nie masz poczucia humoru; rozbawiłeś mnie, to wszystko. Nigdy nie potrafiłeś nawet powiedzieć, czy pójdziemy razem na kolację wieczorem, a nagle pytasz, czy chciałabym zamieszkać z tobą na prowincji. Przepraszam bardzo, ale co za przeskok!

— Tylko krowy nie zmieniają poglądów.

Zeszli do centrum miasteczka, tam zabrał ją na kolację. Usiadła naprzeciw niego i wzięła go za rękę.

— No więc możesz zmienić zdanie? — zapytała.

— Dzisiaj jest dzień specjalny, wszyscy uważają, że to święto. Może zmienimy temat?

— Masz rację, Philipie, to szczególny dzień, a ty prowadzisz nas pod okno tej, która cały czas cię prześladowuje.

— Tak myślisz?

— Nie, to ty tak myślisz!

— Ale dzisiaj wieczorem jestem z tobą, nie z nią!

— Ja myślę o następnych wieczorach.



Piętnaście dni później, o kilka tysięcy kilometrów stąd, inny mężczyzna, inna kobieta także są razem na kolacji. Kradzież w magazynie nie została wyjaśniona. Teraz brama jest stale zamknięta na łańcuch spięty kłódką, do której tylko Susan ma klucz, co wywołuje pewne niezadowolenie w jej ekipie. Sandra okazywała wobec niej coraz większą wrogość, podważając jej autorytet do tego stopnia, że Susan musiała zagrozić napisaniem raportu do Waszyngtonu z prośbą o jej odwołanie. Melanie, lekarka pracująca w Puerto Cortes, zdołała nieco uspokoić wzburzone emocje, więc życie jednostki Korpusu Pokoju w Hondurasie powróciło mniej więcej na normalne tory. Z wyjątkiem życia Susan. Thomas, kierownik ambulatorium, z którym utrzymywała przelotny związek, poprosił, żeby przyjechała do niego w sprawach zawodowych.

Udała się do miasta pod koniec dnia i czekała na niego przed budynkiem. Wreszcie wyszedł, zdjął biały fartuch i rzucił go na tylne siedzenie samochodu. Zarezerwował stolik na tarasie małej portowej restauracji. Usiedli, zamówili dwa piwa i zaczęli studiować kartę.

— No, co tam u was? — spytała.

— Jak zwykle, brak sprzętu, ludzi, za dużo pracy, ekipa jest wyczerpana, rutyna. A u ciebie?

— U mnie? Mam tę przewagę albo niedogodność, że jest nas tam niewiele.

— Chcesz, żebym ci przysłał ludzi?

— To sprzeczne z tym, co przed chwilą powiedziałeś.

— Masz prawo mieć już dość, Susan, masz prawo być zmęczona i masz też prawo zrezygnować.

— Zaprosiłeś mnie na kolację, żeby pleść takie głupoty?

— Przede wszystkim nie powiedziałem, że zapraszam... Wszyscy uważają, że od kilku tygodni coś z tobą nie tak. Jesteś napastliwa, a wieść gminna niesie, że tam u ciebie w osadzie twoje notowania spadają. Nie przyjechaliśmy tu, żeby nas nie lubiano, musisz się bardziej kontrolować.

Kelner przyniósł dwa talerze z *tamal*, Susan rozwinęła liść banana i rozsmarowała farsz z mięsa wieprzowego. Starannie polewając danie ostrym sosem, Thomas zamówił dwie następne butelki *salva vida*, tutejszego piwa. Słońce zaszło już dwie godziny temu, światło bliskiego pełni księżyca było niezwykle. Susan odwróciła głowę, aby obserwować odbicia ogromnych żurawi falujące na wodzie.

— Wy, faceci, uważacie, że nie mamy najmniejszego prawa do pomyłki!

— Nie bardziej niż lekarze, mężczyźni czy kobiety! Jesteś ogniwem w łańcuchu, nawet wtedy gdy dowodzisz innymi: jeśli pękasz, cały mechanizm szwankuje!

— Mieliśmy kradzież i przez to szlag mnie trafia! Nie mogę pojąć: jesteście tu, żeby im pomagać, a oni wyrywają sobie żarcie.

— Susan, nie podoba mi się twój ton, kiedy mówisz „oni”. U nas w szpitalu też kradną. Myślisz, że w ambulatorium nie?

Wziął serwetkę, aby wytrzeć ręce. Chwyliła jego palec wskazujący, wzięła go do ust i z szelmowską miną delikatnie ścisnęła zębami. Kiedy palec Thomasa był już czysty, puściła go.

— Skończ już tę lekcję moralności, daj mi spokój — powiedziała z uśmiechem.

— Susan, zmieniasz się.

— Pozwól mi dzisiaj spać u ciebie, nie chce mi się wracać po nocy.

Zapłacił rachunek i dał sygnał do wyjścia. Kiedy szli nabrzeżem, objęła go w pasie i położyła głowę na jego ramieniu.

— Pogrążam się w coraz większej samotności i po raz pierwszy w życiu mam wrażenie, że nie uda mi się jej pokonać.

— Wracaj do domu.

— Nie chcesz, żebym została?

— Nie mówię o dzisiejszym wieczorze, ale o twoim życiu. Powinnaś wrócić do kraju.

— Nie zrezygnuję.

— Wyjazd nie zawsze jest rezygnacją, to także sposób chronienia tego, co się przeżyło, jeśli człowiek potrafi odejść, zanim jest za późno. Daj mi kierownicę, ja poprowadzę.

Silnik wypuścił kłęb dymu i dał się uruchomić. Thomas zapalił reflektory, które omiatały mury smugą jasnego światła.

— Powinnaś zmienić olej, bo silnik niedługo się rozsypie.

— Spokojnie, jestem przyzwyczajona, że wszystko mi się rozsypuje!

Susan rozsiadła się jak w fotelu, wystawiła nogi przez okno i oparła na bocznym lusterku. Ciszę w kabinie zagłuszał jedynie szmer silnika. Thomas zaparkował przed swoim domem, Susan siedziała nieruchomo.

— Pamiętasz swoje marzenia z dzieciństwa? — spytała. — Kim chciałeś być?

— Tak, pamiętam, chciałem zostać lekarzem, zostałem logistyką w ambulatorium. Niby blisko jedno drugiego, a jednak co innego!

— Ja chciałam być malarką, żeby malować świat w kolorach, a Philip chciał być strażakiem, żeby ratować ludzi. Został twórcą reklam, a ja działałam w organizacji humanitarnej. Musiała gdzieś zajść jakaś pomyłka.

— To nie jest jedyna sprawa, w jakiej się oboje pomyliliście.

— Co chcesz przez to powiedzieć?
— Ciągłe o nim mówisz i za każdym razem gdy wypowiadasz jego imię, twój głos jest pełen tęsknoty. Wszystko jasne, nie ma miejsca na wątpliwości.
— Jakie wątpliwości?
— Twoje! Myślę, że kochasz tego mężczyznę i okropnie się tego boisz.
— Chodź, wracajmy, zaczyna mi być zimno.
— Jak to się dzieje, że masz tyle odwagi, jeśli chodzi o innych, a tak mało, jeśli chodzi o ciebie?
O świcie wstała z łóżka bez najmniejszego szmeru i wyszła na palcach.



Marzec przeleciał w tempie błyskawicznym. Co wieczór po wyjściu z biura Philip szedł do Mary. Śpiąc u niej, każdego rana oszczędzali cenne dziesięć minut. W końcu tygodnia przenosili się na weekend do jego pracowni w SoHo, którą nazwali „wiejskim domkiem”. Pierwsze dni kwietnia były rozedrgane północnymi wiatrami, które nieprzerwanie wiały nad miastem. Pączki na drzewach jeszcze się nie rozwinęły, jedynie kalendarz świadczył o nadejściu wiosny.

Mary dostała etat dziennikarski w piśmie, które ją zatrudniało, i doszła do wniosku, że najwyższy już czas znaleźć jakieś nowe miejsce, które pomieściłoby ich meble

i ich wspólne życie. Zagłębiła się w ogłoszeniach w poszukiwaniu jakiegoś mieszkania w Midtown. Czynnosc będzie tam mniejszy, a miejsce o wiele bliżej pracy.



Większość czasu Susan spędzała za kierownicą jeepa. Od wioski do wioski woziła przydziały ziarna i artykuły spożywcze pierwszej potrzeby. Droga wiodła ją niekiedy zbyt daleko, aby mogła wracać wieczorem, zaczęła więc wyjeżdżać w objazdy kilkudniowe, docierając do najbardziej oddalonych miejsc doliny. Dwukrotnie natrafiła na oddziały sandinistów, które ukrywały się w górach. Po raz pierwszy widziała ich tak daleko od granicy. Miała wrażenie, że kwiecień nigdy się nie skończy. Jej organizm wykazywał oznaki zmęczenia życiem. Miała trudności z zasypianiem, co wieczór gdzieś wychodziła, toteż ranki były jeszcze bardziej przykre. Któregoś dnia, po załadowaniu do samochodu dziesięciu worków mąki kukurydzianej, wyruszyła w drogę w pełnym słońcu, aby odwiedzić Alvareza. Dotarła tam po południu. Wyładowali worki, zjedli kolację w domu. Powiedział, że Susan źle wygląda, i zaproponował, żeby przyjechała odpocząć przez kilka dni w górach. Obiecała, że to przemyśli, i wczesnym wieczorem wyruszyła w drogę powrotną, odrzucając zaproszenie do pozostania na noc w osadzie. Nie chciało jej się spać, więc minęła swój dom i pojechała do tawerny, jeszcze otwartej o tej późnej porze.

Wchodząc do baru, energicznie otrzepała dzinsy i sweter, wzniesając obłok kurzu i wyschniętej gliny. Zamówiła podwójną szklanę wódki z trzciny cukrowej... Mężczyzna za kontuarem postawił przed nią całą butelkę. Przyjrzał jej się uważnie i podsunął cynowy kubek.

— Nalej sobie sama. Na szczęście masz jeszcze piersi i długie włosy, gdyby nie to, można by pomyśleć, że jesteś facetem.

— Co ma znaczyć tak głęboka uwaga?

Pochylił się w jej kierunku, żeby móc rozmawiać z nią cicho, z powagą, ale jednocześnie porozumiewawczo.

— Zbyt często przebywasz w towarzystwie mężczyzn albo niewystarczająco długo w towarzystwie jednego mężczyzny, miejscowi ludzie zaczynają już gadać.

— I co gadają ci miejscowi ludzie?

— Nie mów do mnie takim tonem, Señora Blanca! To w twoim interesie głośno szepczę to, co inni trąbią po cichu.

— Jasne, jak wy się obnosicie z waszymi ptakami, to nazywa się was uwodzicielami, a my jak pokażemy kawałek cycka, to już dziwki. Wiesz, żeby mężczyzna poszedł do łóżka z kobietą, potrzebna jest ta kobieta właśnie.

— Nie obrażaj uczuć kobiet z osady, tyle ci powiem!

— Jeśli żywią jeszcze jakieś uczucia, to w dużym stopniu dzięki mnie, więc mam je gdzieś!

— Nikt z nas nie prosił cię o jałmużnę, nikt nie wołał cię na ratunek. Jeśli nie chcesz tu być, wracaj do domu. Przyjrzyj się sobie: jak ty wyglądasz! Kiedy pomyślę, że jesteś tą Maestrą, która uczy dzieci, zastanawiam się, czego one się uczą.

Starszy mężczyzna oparty o blat kontuaru dał mu ręką znak, aby zamilkł; oczy Susan świadczyły o tym, że posunął się za daleko. Barman energicznym ruchem zabrał butelkę i postawił na półce; odwrócony plecami powiedział, że szklanka była na jego koszt. Starszy mężczyzna uśmiechnął się ze współczuciem, prezentując w całej okazałości zepsute zęby, ale Susan już się ulotniła. Na zewnątrz oparła się o balustradę i wymiotowała całą zawartość żołądka. Przykucnęła, aby złapać oddech. Później, już w drodze do domu, uniosła twarz ku niebu, jakby chciała policzyć gwiazdy, ale zakręciło jej się w głowie i znowu musiała się zatrzymać. Wyczerpana, powłócząc nogami, dowlokła się w końcu do siebie.

10 maja 1978

*Philipie,
nie pisaliśmy do siebie wiele tej zimy; zdarzają się czasami
trudniejsze okresy. Chciałabym dostać jakieś wiadomości od
ciebie, co słychać, czy jesteś szczęśliwy. Twój plakat wisi nad
moim łóżkiem, rozpoznałam*

widok Manhattanu, na który patrzyliśmy ze wzgórz w Montclair. Niekiedy zatapiam w nim spojrzenie i wyobrażam sobie, że jeden z małych punkcików to zapalone światło w twoim pokoju. Siedzisz tam i pracujesz nad kolejnym projektem. Przeciągasz dłonią po potarganych włosach, tak jak zawsze robiłeś, obgryzasz ołówek, ty się w ogóle nie zmieniasz. Wzrusza mnie taki obrazek, jakby paru chwil naszego dzieciństwa. Jestem dziwna. Brak mi ciebie, a tak trudno mi się do tego przyznać. Myślisz, że miłość może budzić strach, skłaniający do ucieczki? Mam wrażenie, że się postarzałam.

Co noc budzą mnie jakieś hałasy, nie mogę zasnąć, jest mi zimno, potem gorąco, co rano wstaję z poczuciem, że czegoś nie zrobiłam poprzedniego dnia. Pora jest ciepła, chciałabym opisać ci cały pejzaż, jaki mnie otacza, opowiedzieć ci każdą minutę mojego dnia, tak po prostu, żeby nadal ci mówić o sobie. W tym roku spotkam się z tobą wcześniej, przyjadę w połowie czerwca, nie mogę się już doczekać tego spotkania, muszę ci powiedzieć coś naprawdę ważnego, czym chciałabym się z tobą dzielić teraz i w przyszłości. Na razie posyłam ci czułości i ucałowania. Dbaj o siebie.

Susan

2 czerwca

Susan,

a mnie brakuje twojego głosu. Czy dalej tak często sobie śpiewasz? Melodia twojego listu skomponowana była z nut raczej smutnych. Tu już panuje lato, ogródki kawiarniane są pełne. Niedługo się przeprowadzę, będę teraz mieszkać bardziej w górę miasta. Coraz trudniej poruszać się samochodem, a stamtąd mam bliżej do pracy. Wiesz, tutaj drobne pół godziny nabiera wartości cennego klejnotu. Wszyscy tak się spieszą, że prawie nie da się przystanąć na chodniku, bo wędrujący tłum może cię stratować. Zastanawiam się często, dokąd pędzi ten tłum, którego nie sposób zatrzymać, i myślę, że może to ty masz rację, bo mieszkasz tam, gdzie jeszcze powietrze ma swój zapach. Twoje życie tam na pewno jest wspaniałe, chciałbym, żebyś mi wszystko opowiedziała. Jestem teraz zavalony pracą, ale mam dla ciebie dobre wiadomości na ten temat. Co to za bardzo ważna rzecz, o której piszesz? Będę na ciebie czekał, jak zwykle. Do zobaczenia wkrótce.

Całuję cię.

Philip

Boeing 727 Eastern Airlines wystartował z lotniska w Tegucigalpie o dziesiątej rano, z dwugodzinnym opóźnieniem z powodu niekorzystnej prognozy pogody. Jeszcze na lotnisku Susan z niepokojem patrzyła na zaciemnione niebo. Gdy stewardesa otworzyła oszklone drzwi prowadzące na płytę, poszła w orszaku pasażerów w kierunku schodków do samolotu. Po ustawieniu maszyny do startu kapitan włączył silniki i maksymalnie zwiększył ciąg, żeby oprzeć się bocznemu wiatrowi, który spychał ją z pasa startowego. Koła oderwały się od ziemi, samolot prawie stanął dęba, tak jakby chciał gwałtownie przebić warstwę chmur. Przypięta pasem w fotelu Susan z trudem znosiła gwałtowne turbulencje; tak mocno nie trzęsło nawet w jej jeepie, gdy pędziła po wyboistych drogach. Samolot wziął kurs *na* północny wschód, lecieli nad górami, burza się nasiliła. Piorun uderzył w kadłub, czarna skrzynka o dzie-

siątej dwadzieścia dwa zarejestrowała głos drugiego pilota, który zawiadamiał wieżę kontrolną o awarii silnika numer dwa, samolot tracił wysokość. Do dręczącego Susan zawrotu głowy doszły jeszcze uporczywe mdłości. Położyła obie dłonie na brzuchu. Samolot ciągle obniżał lot. Potrzeba było pełnych trzech minut, aby załoga zdołała na nowo uruchomić silnik, a samolot odzyskał wysokość. Dalszy ciąg podróży przebiegał w ciszy, jaka często zapada po wielkim strachu.

Po wylądowaniu w Miami Susan biegła, żeby się nie spóźnić na następny lot. Gonitwa korytarzami była bardzo męcząca, torba jej ciążyła, zatrzymał ją kolejny zawrót głowy. Wreszcie złapała oddech i pobiegła do wyjścia, ale było już za późno. Ujrzała odlatujący samolot.



Philip wyglądał przez okno autobusu wiozącego go na lotnisko w Newark. Na kolanach położył swój kołnотatnik. Dziewczyna, która siedziała obok, obserwowała, jak czarnym ołówkiem szkicuje kobiecą twarz.



Wsiadła do następnego samolotu, dwie godziny później. Ponad chmurami nadal męczyły ją mdłości; odsunęła tacę z jedzeniem i starała się zasnąć.



Sala była pusta, jak zawsze późnym przedpołudniem, chyba że odbywały się jakieś kongresy albo wyjazdy na wakacje. Usiadł przy swoim stoliku. Gdy minęła pora obiadowa, bar znowu opustoszał, a kelner z następnej zmiany zastąpił tego, który był przed południem. Od razu poznał Philipa, toteż mu się uklonił. Philip usiadł naprzeciw niego i słuchając go, naszkicował następny widok z tego miejsca, już szósty w zeszycie, nie licząc szkicu, który został powieszony nad biurkiem w pracowni na Manhattanie. Kiedy skończył, pokazał rysunek kelnerowi; ten zdjął białą marynarkę i podał mu ją. Philip włożył ją z porozumiewawczą miną. Zamienili się rolami, barman usiadł na wysokim stołku, delektując się papierosem, podczas gdy Philip opowiadał mu cały ubiegły rok.

Przez ten czas dwa odwrócone krzesła zagradzały dojście do stolika przy oszklonej ścianie. Susan przyleciała o godzinie dwudziestej pierwszej.



— Jak ty to robisz, że zawsze zajmujesz to samo miejsce?

— Przecież prosiłaś mnie o to, kiedy pierwszy raz odlatywałaś, a poza tym jestem utalentowany! Myślałem, że przylecisz wcześniejszym samolotem. Może to dziwne, ale ten stolik nigdy nie bywa zajęty.

— Ludzie wiedzą, że należy do nas.

— Zaczynamy od przeglądu cech fizycznych czy duchowych?

— Tak bardzo się zmieniłam przez ten rok?

— Nie, wyglądasz po prostu na kogoś, kto dużo podróżował. Kelner tradycyjnie postawił na stoliku lody, Susan uśmiechnęła się i delikatnym ruchem je odsunęła.

— Dobrze wyglądasz, opowiedz o sobie.

— Nie będziesz jadła?

— Jest mi trochę niedobrze, lot był straszny, okropnie się bałam, doszło do awarii jednego silnika.

— No i co? — spytał zaniepokojony.

— No i nic, jestem, uruchomili ten silnik.

— Zamówić ci coś innego?

— Nie, nie, naprawdę nie jestem głodna. Nie pisałeś za dużo w zeszłym roku.

— Ty też nie.

— Ale ja mam wymówkę.

— Jaką?

— No nie wiem, zawsze mówiłeś, że kultywuję wymówki, muszę więc się nimi czasem posłużyć.

— Preteksty, użyłem słowa „pretekst"! Co się dzieje? Muszę szukać słów.

— Nic, wszystko w porządku. A jak twoja praca?

— Jak wszystko potoczy się tym trybem, najdalej za rok zostanę udziałowcem. W zeszłym roku zrobiliśmy

wspaniałe kampanie reklamowe, może nawet dostanę nagrodę. W tej chwili trzy moje rzeczy są w prasie kobiecej. Zwrócił się do mnie nawet pewien francuski dom mody. Chcą rozmawiać tylko ze mną, co sprawia, że w agencji coraz bardziej mnie cenią.

— To wspaniałe, jestem z ciebie dumna. W każdym razie wyglądasz na człowieka szczęśliwego.

— A ty, Susan, wyglądasz na zmęczoną. Nie jesteś chora?

— Nie, przysięgam, nie mam nawet ameby. A propos, masz jakąś przyjaciółkę?

— Nie zaczynaj znowu! Owszem, nazywa się Mary.

— Aha! Rzeczywiście, zapomniałam jej imienia!

— Nie rób takiej pogardliwej miny. Jest mi z nią dobrze. Podobają nam się takie same książki, lubimy to samo jedzenie, te same filmy, zaczynamy już mieć wspólnych przyjaciół.

Susan uśmiechnęła się z ironią.

— Bardzo praktyczne i wygląda na związek społecznie ustabilizowany, jakie to ekscytujące!

Uniosła brwi, przysunęła się do niego, jakby chciała okazać większe zainteresowanie jego słowami, ale ciągle z pewną ironią.

— Wiem, co sobie myślisz Susan. Może to nie jest wielka miłość, ale przynajmniej nie uwiera. Nie mam przez cały dzień serca przytłoczonego ciężarem jej nieobecności,

bo wiem, że spotkamy się wieczorem. Nie siedzę przy telefonie przez całe popołudnie, zastanawiając się, która z dwóch kobiet ostatnio dzwoniła. Nie odczuwam lęku przed wyborem restauracji czy włożeniem ubrania, jakie lubię, albo przed powiedzeniem czegoś, co mogłoby wywołać jej osąd. Nie mam ściśniętego żołądka rano, kiedy się budzę u jej boku, bo otwierając oczy, zastaję ją przytuloną do mnie. Nie żyję oczekiwaniem, ale chwilą. Kocha mnie takiego, jaki jestem. Może to, co nas łączy, to nie jest jeszcze płomienna miłość, ale na pewno ludzkie stosunki. Dzielę z Mary codzienność jej życia, nasz związek przybiera realne kształty, istnieje.

— „Nareszcie ci wszystko wypomniałem, kochana!”.

— Nie mówiłem tego przeciwko tobie.

— Uprzedź, kiedy będziesz celował we mnie, bo już teraz niechęć idzie ci bardzo dobrze; nawet nie potrafię sobie wyobrazić, co możesz zrobić przy odrobinie dobrej woli. Bardzo dobrze o niej mówisz. No i co dalej?

Spuścił wzrok, więc nie widział tego, co zaszklilo się w oku Susan, gdy oświadczył, że myśli o poślubieniu Mary. Otarła łzę rękawem.

— Bardzo się cieszę, trochę kłuje mnie w sercu, bo będę musiała się tobą dzielić, ale naprawdę mnie to cieszy.

— A co nowego w twoim życiu?

— Nic nowego. Zwykła kolej rzeczy, to paradoksalne. Stąd wszystko wydaje się wyjątkowe, ale tam wszystko

jest codziennością. Między kolejnymi urodzinami a śmiercią trzeba ludzi wyżywić, i tyle. Muszę iść. Wiesz, nie złapałam już samolotu, którym chciałam przylecieć wcześniej, a ten do Waszyngtonu, za pół godziny, jest ostatni. Odprawiłam już walizkę.

— Nie kłam. Zawsze podróżujesz tylko z tą torbą. Nie zostaniesz na noc?

— Nie, jutro o siódmej rano mam tam spotkanie. Uregulował rachunek. Wstając, dostrzegł lody, które całkiem stopniały w pucharku. Pomieszały się kolory, migdały wpadły do środka. Objął Susan za ramiona i poszli w stronę wyjścia do samolotu. Kiedy się żegnali, popatrzył jej prosto w oczy.

— Susan, jesteś pewna, że wszystko w porządku?

— Oczywiście, jestem zmęczona, i tyle, przestań wreszcie, bo będę siedzieć przed lustrem i zastanawiać się, o co chodzi.

— Pisałaś, że chciałabyś mi powiedzieć o czymś bardzo ważnym.

— Już nie pamiętam, Philipie, w każdym razie to nie było takie ważne, skoro o tym zapomniałam.

Podawała stewardesie bilet, odwróciła się prosto w jego ramiona. Przycisnęła wargi do jego ust. Bez słowa skierowała się w stronę samolotu. Philip wiódł za nią wzrokiem, w końcu krzyknął:

— *Last call!*

Natychmiast stanęła, powoli się odwracając. Arogancki uśmiech rozjaśnił jej twarz. Zawróciła i powoli poszła w jego stronę. Gdy dzieliło ich kilka metrów, spytała z naganą w głosie:

— Co znaczy to *Last call*

— Bardzo dobrze wiesz, Susan!

Stanowczo odsunęła stewardesę, która chciała zagrozić jej przejście pod prąd, na drugą stronę rozdzielającej ich lady. Przysunęła twarz blisko twarzy Philipa i przepełnionym złością głosem wyszeptała:

— Wiesz, gdzie mam to twoje *Last call*, stary! To ty ryzykujesz, nie ja! Żeń się, nawet zrób jej dziecko, jak ci się podoba. Ale jeśli kiedyś zmienię moje życie, jeśli kiedyś postanowię przyjechać po ciebie, odnajdę cię nawet w toalecie, i to ty się rozwiedziesz, nie ja!

Mocno chwyciła go za kark, pocałowała w usta, bezwstydnie poruszając językiem, po czym nagle odepchnęła go z taką samą siłą i bez jednego słowa poszła do samolotu. Z końca korytarza krzyknęła jeszcze:

— *Last call!*



Kraj był wstrząsany ponownymi rozruchami w sąsiedniej Nikaragui. Istniały obawy, że bunt uzbrojonych grup może przekroczyć granice. Najbiedniejszy kraj Ameryki Środkowej nie zniósłby następnego kataklizmu. Obecność Kor-

pusu Pokoju dodawała ludności odwagi. Gdyby miało się wydarzyć coś poważnego, Waszyngton ich przesiedli. Nadchodził początek zimy, z coroczną porcją zniszczeń. To, co nie zostało naprawione czy umocnione, znikало, zmiecione przez ulewy i gwałtowne wiatry. Susan walczyła z fizycznym zmęczeniem, które pogłębiało się z dnia na dzień. Jej bilans zdrowia był prawidłowy, lecz psychika ponura.



W połowie listopada Philip zabrał Mary na weekend na wyspę Martha's Vineyard. Długi spacer o zmierzchu zawiódł ich na brzeg oceanu, w porze gdy przepływają tamtędy wieloryby. Usiedli objęci na piasku i obserwowali ten spektakl. Po zapadnięciu zmierzchu chmury gromadzące się nad głowami kazały im pospiesznie wracać do zajazdu.



W świetle błyskawic, w huku piorunów rozdzierających niebo nad domem, Susan nikogo już nie całowała. Leżąc w łóżku, czekała na sen, który długo nie nadchodził.

Trzy tygodnie później, na początku grudnia, w sąsiedniej Nikaragui zniesiono stan wyjątkowy. Cały kraj odżył.

Na Boże Narodzenie Philip i Mary wyjechali na wakacje do Brazylii. Na wysokości dziesięciu tysięcy metrów przy-

tknął twarz do okienka i usiłował wyobrazić sobie pewne wybrzeże, które zarysowywało się pod woalem chmur. Gdzieś pod skrzydłami niewielki dach z blachy falistej osłaniał Susan, przykutą do łóżka w wigilijny wieczór i przez dwadzieścia następnych dni.



Słońce powróciło wraz z pierwszymi dniami lutego. Jednocześnie poprawił się i jej nastrój. Od ośmiu dni Susan była już na nogach, jej organizm się odradzał. Policzki odzyskały kolory. Jej „choroba ze zmęczenia”, jak mówiono w osadzie, miała i dobre strony. Wieśniacy zajmowali się magazynem, kilka kobiet prowadziło zajęcia w szkole i przyjmowało w izbie chorych, a młodzi zmieniali się przy rozdawaniu żywności, co zwykle robiła Susan. Wszyscy byli bardzo aktywni w ciągu tych dni, zacieśniły się więzy między nimi. Szła główną ulicą, mijając właśnie żłobek, kiedy podszedł do niej listonosz.

List, wysłany z Manhattanu 30 stycznia, dotarł do niej po prawie dwóch tygodniach.

29 stycznia 1979

Susan, !

wróciłem właśnie z Rio, dwukrotnie przelatywałem nad twoim krajem. Wyobrażałem sobie, że lecimy nad twoim domem i że zaraz ujrzą cię na progu. Jak to się

stało, że nigdy do ciebie nie przyjechałem? Może po prostu dlatego, że nie było takiej potrzeby, albo dlatego, że nie chciałaś, a może zabrakło mi odwagi. Przebywasz tak daleko ode mnie i jednocześnie tak blisko i — może to wydawać się dziwne — jesteś pierwszą osobą (o mało nie napisałem „z rodziny”), której muszę to napisać. Susan, żenię się, w Wigilię poprosiłem Mary o rękę.

Uroczystość odbędzie się w Montclair 2 lipca, proszę cię, przyjedź. To za sześć miesięcy, masz czas wszystko zaplanować, tym razem żadnych wymówek ani pretekstów, przyjedź, musisz być blisko mnie, i jesteś dla mnie kimś najdroższym, liczę na ciebie. Całuję cię tak mocno, jak cię kocham.

Philip

Starannie złożyła kartkę, wsunęła ją do kieszeni bluzy. Uniosła twarz ku niebu, usta jej zbladły, tak były zaciśnięte. Ruszyła dalej ulicą, wolnym krokiem weszła do żłobka.



Po raz kolejny przeglądała w swojej jedynej szafie bluzki i spódnice, z których miała wybrać to, co zabierze do Montclair; Philipowi sprzedawca pokazywał co najmniej dwudziesty model muszki.

Zaniknęła za sobą drzwi od domu; za nim zaniknęły się

drzwi pracowni krawieckiej, w wielkim kartonowym pudle niósł swój ślubny garnitur.

Jeden z wieśniaków wioził ją na lotnisko, gdzie wsiądzie do małego samolotu lecącego do Tegucigalpy, nieważne, czy jego skrzydła będą czerwono-białe, tyle już wody upłynęło pod mostami Hondurasu; Jonathan, kolega Philipa z pracy, świadek ślubny, wioził go do fryzjera.

Przez okienko Susan patrzyła, jak w oddali lśni rzeka; przez okno buicka obserwował przechodniów spacerujących po ulicach Montclair.

W kościele on nerwowym krokiem stąpał po posadzce, czekając na potwierdzenie, że na jutro wszystko już przygotowane; na lotnisku w Tegucigalpie ona chodziła tam i z powrotem w oczekiwaniu na boeinga lecącego na Florydę, który miał cztery godziny opóźnienia.

Zgodnie z tradycją, wieczoru poprzedzającego ślub Philip nie spędzał w towarzystwie Mary, Jonathan zawiózł go do hotelu, w którym rodzice zarezerwowali dla niego apartament; Susan wsiadła na pokład, samolot przebijał już warstwę chmur.

W samolocie ona zjadła posiłek; on chciał położyć się wcześniej spać, w łóżku zjadł skromną kolację.

Susan przyleciała do Miami i położyła się na ławce terminalu Eastern Airlines, z ręką owiązaną paskiem wielkiej torby w kolorze khaki; Philip zgasił światło i starał się zasnąć. Ostatni samolot już odleciał, Susan zasypiała.

Raniutko poszła do toalety dworca lotniczego i stanęła przed lustrem. Przemyła twarz wodą i usiłowała jakoś przeczesać włosy; on wyczyścił zęby, umył twarz, wytarł ręcznikiem włosy i się uczesał.

Ona rzuciła ostatnie spojrzenie w lustro, po czym wyszła z toalety z miną pełną powątpiewania; on wyszedł z pokoju i skierował się do windy.

Ona poszła do kawiarni, zamówiła dużą kawę; on w hotelowym barku spotkał się z przyjaciółmi.

Susan zamówiła pączka; Philip położył pączka na talerzyku.

Wczesnym przedpołudniem poszedł do pokoju, żeby zacząć przygotowania; Susan podała stewardesie kartę pokładową.

— Macie może na pokładzie salon fryzjerski?

— Słucham?

— Proszę mi się przyjrzeć: jadę na ślub, zaraz po wyjściu z tego samolotu! Chyba będę musiała wejść drzwiami dla służby!

— Proszę się przesuwać do przodu, opóźnia pani wejście.

Susan wzruszyła ramionami i weszła do samolotu. Philip wyjął z szafy wieszak, zdjął plastikowy worek okrywający smoking. Z kartonowego białego pudła wyjął koszulę, rozłożył ją; Susan zdrzemnęła się w fotelu, z twarzą opartą o okienko.

Kiedy wszystkie części ślubnego ubrania zostały rozłożone po kolei na kapie przykrywającej łóżko, on poszedł do łazienki; ona wstała i poszła do tyłu samolotu.

Poszukał maszynki do golenia, rozprowadził pianę na brodzie, wskazującym palcem zarysował kontur ust i pokazał język swemu odbiciu w lustrze; ona w toalecie przejechała palcem po powiekach, otworzyła kosmetyczkę i się umalowała. Przez głośnik głos stewarda zapowiedział podchodzenie do lądowania w Newark. Popatrzyła na zegarek, była spóźniona; Philip w towarzystwie świadków wsiadł do czarnej limuzyny czekającej przed hotelem.

Ruchoma taśma przywiozła wielką niekształtną torbę, którą Susan przewiesiła przez ramię. Poszła w kierunku wyjścia; on właśnie zajechał przed kościół, wchodząc po schodach, uścisnął parę rąk.

Ona przeszła obok baru, odwróciła głowę i wilgotnymi oczami spojrzała na stolik przy oszklonej ścianie; Philip przekroczył próg kościoła i pod kamiennym sklepieniem obserwował nawę.

Wolnym krokiem ruszył środkiem, szukał jej wokół, pomiędzy gośćmi, którzy wstali z miejsc, ale nigdzie jej nie było; Susan rzuciła torbę na tylne siedzenie taksówki, która zatrzymała się przy samym trotuarze. Za kwadrans będzie w Montclair.

Wszyscy zaproszeni goście odwrócili się na pierwsze dźwięki organów. Mary pod rękę z ojcem stanęła w bladym

świetle przy wejściu do kościoła. Szła w kierunku prezbiterium, jej twarz zdradzała wzruszenie; wpatrywali się w siebie, jakby jakaś niewidzialna nić była rozciągnięta pomiędzy ich spojrzeniami. Zamknęły się ciężkie drzwi. Kiedy Mary była już obok niego, rzucił ostatnie spojrzenie wokoło, w poszukiwaniu twarzy, której ciągle nie mógł dostrzec.

Żółta taksówka zatrzymała się na pustym placu przed kościołem. Czy istnieje jakaś forma magii, która opróżnia chodniki wokół miejsc kultu podczas pogrzebów i ślubów? Przytłoczona zmęczeniem po zbyt długiej podróży miała wrażenie, że stopnie schodów uciekają jej spod stóp. Cicho otworzyła boczne drzwi, weszła do kościoła i zsunęła z ramienia torbę u stóp jakiegoś posągu. Poruszona widokiem dwóch istot stojących przed ołtarzem szła powoli boczną prawą nawą, zatrzymując się przy każdym filarze. Nagle śpiew ucichł i nastąpiła długa chwila skupienia. Obserwowała w osłupieniu. Sługa boży nadal odprawiał liturgię, a ona znowu szła do przodu. Dotarła do ostatniego filara. Z tego miejsca widziała Philipa z profilu. Dostrzegała tylko zarys pleców Mary i jedwabny tren jej sukni. Kiedy nadeszła chwila połączenia, oczy Susan napęłniły się łzami. Zaczęła się cichutko wycofywać, niezręcznie szukając lewą ręką oparcia ha ławkach. Podniosła torbę spod stóp archanioła Gabriela i wyszła z kościoła. Zbiegła ze schodów, wsiadła do taksówki. Opuściła szybę i wpat-

rywała się w bramę kościoła. Powstrzymując łkanie, wyszeptała unisono z księdzem: „Jeśli ktoś zna powód, dla którego tych dwoje nie może się połączyć, niech powie teraz albo zamilknie na wieki...”. Taksówka ruszyła.



Pochylona nad stolikiem w samolocie, którym wracała, napisała list.

2 lipca 1979

Drogi Philipie,

wiem, jak wielki żal masz do mnie o to, że nie przyjechałam na twój ślub. Tym razem nie ma ani wymówki, ani pretekstu, przysięgam. Zrobiłam wszystko, żeby przyjechać, ale w ostatniej chwili wstrętna burza nie pozwoliła mi dołączyć do ciebie. Byłam z tobą myślami przez całą ceremonię. Musiałeś bardzo szlachetnie wyglądać w smokingu, jestem pewna, że twoja żona także wyglądała olśniewająco, zresztą kto by tak nie wyglądał, poślubiając ciebie? Z zamkniętymi oczami, krok po kroku, towarzyszyłam ci w czasie tych cudownych chwil. Wiem, że teraz jesteś szczęśliwy, i to szczęście mnie także cieszy.

Postanowiłam przyjąć to, co mi proponują. Wyjeżdżam w piątek w góry, gdzie mam zakładać nową placówkę. Nie miej mi za złe, że będę mniej pisać

w czasie najbliższych miesięcy, ale znajdę się w odległości dwóch dni jazdy od tego, co tylko w ogólnych zarysach przypomina naszą cywilizację, więc wysłanie listu będzie prawie niemożliwe, tak jak i otrzymywanie. Wiesz, cieszę się już na to nowe wyzwanie. Zabiorę z sobą tęsknotę za mieszkańcami mojej osady, za domeczkiem, który zbudował dla mnie Juan, i za wspomnieniami, które w ten dom już wrosły; trzeba będzie wszystko zaczynać od początku, ale w zaufaniu, jakie do mnie mają, odnajduję wdzięczność za to, co już zrobiłam.

Życzę ci szczęścia, Philipie, pomimo mojej nieobecności i wszystkich moich braków kocham cię wiernie od zawsze i na zawsze.

Susan

PS Mimo wszystko nie zapominaj o tym, co ci powiedziałam na lotnisku...

Deszcz spływał po drewnianych dachówkach. Na mansardzie, przy świetle jednej tylko lampy, Philip poprawiał ostatnie szkice. Jak w każdy weekend nadrabiał opóźnienia nagromadzone w czasie tygodniowej pracy. Gabinet był urządzony w stylu adirondack. Przy ścianie po prawej stronie ażurowe półki. Po lewej dwa duże fotele ze starej skóry, pomiędzy nimi mały brzozowy stolik i stojąca lampa z kutego metalu, zachęcające do odpoczynku. Na środku pokoju, pod lukarną wpuszczającą prostopadłe światło, umieszczony został stół kreślarski w kształcie wielkiego sześcianu z jasnego drewna. Wokół mogło swobodnie usiąść sześć osób. Co pewien czas Philip podnosił głowę i spoglądał w stronę okna drgającego w gwałtownych podmuchach wiatru.

Zanim znowu pogрузzył się w rysunkach, zerknął na

zdjęcie Susan w oszklonej ramce, stojące na jednej z półek. Sporo czasu upłynęło już od jego ślubu. Na środku stołu królował mały stary kuferek zawierający wszystkie jej listy. Był zamknięty na kłódkę, ale kluczyk zawsze leżał na wieczku. Ile to już lat upłynęło od czasu, gdy przestali do siebie pisać? Siedem, osiem, może dziewięć? W kącie pokoju stała drabina prowadząca na niższe piętro, do sypialni, które pogrążały się w półmroku tego ciemnego, kończącego się już dnia. Schody z jasnego drewna naprzeciw głównego wejścia dzieliły parter domu na dwie części. Przez całe popołudnie Mary siedziała przy wielkim kuchennym stole amerykańskiej kuchni i powoli przewracała strony jakiegoś pisma, puszczając wodze myślom. Przez rozsunięte drzwi popatrzyła na Thomasa, ich pięcioletniego synka, pochłoniętego jakąś grą, potem zerknęła na okrągły zegar wiszący nad kuchnią gazową. Była szósta po południu. Mary odłożyła pismo, wstała, okrążyła ladę i zaczęła przygotowywać kolację. Pół godziny później Philip wyszedł ze swego gabinetu i jak co wieczór pomógł jej nakryć do stołu. Jej obaj „mężczyźni” pocałowali ją, po czym usiedli, każdy na swoim miejscu. Thomas był bardziej rozmowny, komentował swoją ostatnią rozgrywkę z istotami pozaziemskimi, które usiłowały opanować ekran telewizyjny.

Pod koniec kolacji Philip chciał ponowić próbę wprowadzenia synka w grę w szachy, ale Thomasowi nie podobało się, że laufer może chodzić tylko po przekątnej, a poza

tym „najzabawniejsze” byłoby posuwać wszystkie figury jednocześnie, żeby zaatakować wieże twierdzy! Próba skończyła się partyjką kart. Później, gdy dziecko będzie już w łóżku, po opowiedzeniu bajki, Philip zejdzie życzyć żonie dobrej nocy i wróci do gabinetu. „Wolę jeszcze popracować, a za to mieć dla was więcej czasu jutro”, powie w odpowiedzi na uśmiech Mary. Wróci do niej „później”, aby złączyć się z nią we śnie i w czułości wzajemnych objęć.

Deszcz przestał padać dopiero o świcie, mokre chodniki lśniły jeszcze w bladości poranka. Thomas wstał i zszedł do salonu. Mary usłyszała skrzypienie schodów. Włożyła płaszcz kąpielowy leżący obok łóżka. Chłopczyk był już na dole, gdy rozległ się dzwonek u drzwi wejściowych. Położył rączkę na klamce, żeby otworzyć.

— Tom, tyle razy ci mówiłam, żebyś nie dotykał drzwi! Dziecko odwróciło się, patrzyło na matkę. Mary podeszła do synka, kazała mu się cofnąć i otworzyła. Przed domem stała wyprostowana jak trzcina kobieta, ubrana w granatowy kostium, którego powaga nie pasowała do nastroju tej jesiennej niedzieli.

Mary uniosła lewą brew—umyślnie stosowała ten chwyt, który wywoływał śmiech jej dziecka i uśmiech męża. Ta mina stała się codziennym sposobem wyrażania zdziwienia.

— Czy to mieszkanie pana Noltona? — spytała nieznajoma.

— Państwa Nolton!

— Muszę rozmawiać z pani mężem, nazywam się...

— W niedzielę, wcześniej niż mleczarz, coś bardziej naturalnego!

Kobieta nie próbowała się już przedstawić ani przeprosić za poranne najście. Bardzo nalegała —jak najszybciej musi porozmawiać z Philipem. Mary chciała się dowiedzieć, jak ma wytłumaczyć fakt budzenia go rano w ten jeden dzień, kiedy mógł dłużej pospać. „Muszę z nim porozmawiać” wydało jej się niewystarczającym wyjaśnieniem, poprosiła więc chłodno, aby gość przyszedł o stosowniejszej porze.

Kobieta ukradkiem spojrzała na samochód zaparkowany przed domem i ponowiła prośbę.

— Wiem, że u was jest jeszcze bardzo wcześnie, ale całą noc byliśmy w podróży, a nasz samolot odlatuje za parę godzin. Nie będziemy mogli czekać.

Mary zwróciła uwagę na auto stojące przed domem. Za kierownicą siedział mężczyzna o mocnej posturze. Z przodu jeszcze jedna kobieta, z twarzą przy szybie. Była za daleko, żeby Mary mogła dostrzec jej rysy, nawet mrużąc oczy. Miała jednak wrażenie, że ich spojrzenia się spotkały. Wystarczyło kilka sekund nieuwagi, aby intruzka weszła do środka. Zaczęła na całe gardło wołać Philipa. Mary natychmiast zatrzasnęła jej drzwi przed nosem.

— Co się dzieje?

Philip stał na górze schodów, Mary drgnęła i się odwróciła.

— Nie mam pojęcia, jakaś wariatka pyta o ciebie —

odpowiedziała zdenerwowana. — Nie chce przyznać, że jest jedną z twoich „byłych”, chyba że to jej koleżanka, która siedzi w samochodzie stojącym przed domem!

— Nie rozumiem nic z tego, co mówisz. Gdzie jest Thomas?
— spytał zachmurzony, schodząc po schodach.

— W Senacie, ma tam dziś przemówienie! Przeszedł, ziewając, obok Mary, pocałował ją w czoło i otworzył drzwi. Kobieta nie poruszyła się ani o centymetr.

— Przepraszam, że obudziłam pana w taki sposób, koniecznie muszę z panem porozmawiać.

— Słucham — odpowiedział oschle.

— Poufnie! — dodała.

— W obecności żony też jest poufnie.

— Mam bardzo dokładne instrukcje.

— W jakiej sprawie?

— Właśnie poufnej.

Philip pytająco spojrział na Mary, ona zrobiła swój ruch brwią, zawołała synka, żeby natychmiast przyszedł na śniadanie, i poszła do kuchni. On wprowadził do salonu damę w kostiumie, która starannie zamknęła zasuwane drzwi, rozpięła żakiet i usiadła na kanapie.

◆◆◆

Philip jeszcze się nie pokazał. Mary sprzątnęła ze stołu po śniadaniu, zerkając jednym okiem na zegar, który pokazywał zbyt długie minuty. Odstawiła miseczkę do zlewu

i postanowiła pójść i przerwać tę niekończącą się rozmowę. Kiedy była przy schodach, otworzyły się drzwi salonu. Pierwszy wyszedł Philip, Mary chciała podejść bliżej, ale dał jej znak, żeby się zatrzymała. Kobieta skinęła głową i wyszła przed dom. On wbiegł na schody, po kilku chwilach zszedł, ubrany w płócienne spodnie i gruby sweter. Minał osłupiałą żonę, nawet na nią nie patrząc. Już na zewnątrz odwrócił się i kazał jej czekać w domu. Nigdy nie słyszała u niego tak władczego tonu.

Przez okienko obok drzwi wejściowych Mary widziała, jak mąż idzie za tą kobietą, która miała zakłócić spokój nie tylko ich niedzielnego poranka.

Druga kobieta wysiadła z samochodu. Philip zatrzymał się i długo na nią patrzył. Uciekła przed jego wzrokiem; otworzyła tylne drzwi auta i wsiadła. On okrążył auto, zajął miejsce obok niej. Zaczął padać drobny deszcz. Mary nie mogła dojrzeć, co dzieje się w środku, ogarnął ją dziwny niepokój.

— Na Boga, co oni wyrabiają!

— Kto? — spytał w odpowiedzi Thomas, nie odrywając oczu od ekranu telewizora.

— Twój ojciec — szepnęła.

Dziecko pochłonięte grą nie zwracało już uwagi na roztargnienie matki. Sądząc po gestykulacji, Philip był wzburzony. Tajemnicza rozmowa trwała w nieskończoność, Mary chciała nawet coś na siebie włożyć i do nich pójść,

ale nagle go ujrzała. Częściowo zasłonięty autem dał jej ręką znak, jakby na do widzenia. Nie dowierzając własnym oczom, Mary tupnęła z niecierpliwości, kiedy zobaczyła swego męża wsiadającego do chryslera.

— Tom, przynieś mi zaraz lornetkę!

Z porywczego tonu matki Thomas wywnioskował, że nie ma miejsca na dyskusję. Nacisnął klawisz „pauza” na pilocie do gry i wbiegł po schodach na górę. Ciężko dysząc, poszperał w skrzyni z zabawkami i wyciągnął z niej żądany przedmiot, a jednocześnie kilka innych niezbędnych akcesoriów, o których matka nie pomyślała. Kilka minut później, w kasku, wojskowej kamizelce i zielonej siatce maskowniczej, z nabojami i kauczukowym nożem przy pasie, z manierką, rewolwerem i walkie-talkie, w całym bojowym rynsztunku stanął za plecami Mary, pozdrawiając ją lewą ręką.

— Jestem gotowy — powiedział, stojąc na baczność. Nie zwróciła najmniejszej uwagi na strój syna, wyrwała

mu z rąk lornetkę. Słabe soczewki i liczne na nich zadrapania nie ułatwiały widzenia. Z trudem rozpoznawała męża, którego zasłaniał inny pasażer. Był pochylony do przodu, tak jakby miał oprzeć głowę o kolana. Niepokój pokonał w końcu cierpliwość — wyszła przed dom, ręce oparła na biodrach. Usłyszała warkot silnika, serce zaczęło jej bić szybciej. Otworzyły się drzwi samochodu, poprzez deszcz ujrzała Philipa; widziała tylko jego głowę, resztę

zasłaniał samochód. Cofając się o krok, znowu zrobił prawą ręką nieśmiały gest, auto powoli odjechało. Mary obserwowała Philipa, stojącego nieruchomo pośrodku pustej ulicy, pozostawionego na pastwę kropel rozpryskujących się na asfalcie. Nie rozumiała tego, co ujrzała.

Wyciągnięta ręka Philipa ścisnęła drobną rączkę, kurczowo uczipioną jego dłoni. Tobolek, który dziewczynka mocno trzymała drugą ręką, chyba nie był zbyt ciężki.



Taką po raz pierwszy zobaczyła ją Mary, z czerwoną torbą, w bladym świetle, gdy nieruchomieje czas. Jej czarne nieuczesane włosy opadały na ramiona, deszcz spływał po mocno śniadej skórze. Chyba nie było jej wygodnie w za ciasnym ubraniu.

Wśród grzmotów burzy, która właśnie nadeszła, wolnym krokiem szli w stronę domu. Kiedy oboje znaleźli się pod daszkiem, Mary chciała natychmiast zasypać męża pytaniami, ale miał opuszczoną głowę — w ten sposób starał się ukryć smutek.

— Przedstawiam ci Lisę, córkę Susan.

Przed drzwiami ich domu mała dziewięcioletnia dziewczynka uważnie przyglądała się Mary.

— Mama umarła.

Mary zrobiła krok do tyłu, żeby wpuścić ich do domu. Gdy wchodzili, Thomas natychmiast stanął na baczność. Mary patrzyła na Philipa.

— Chyba przeoczyłam jakiś epizod, ale ty mi go zaraz streścisz!

Miał ściśnięte gardło, nawet nie usiłował mówić. Podał jej tylko kopertę, którą trzymał w ręce, i nie czekając, poszedł na górę przebrać dziecko. Mary patrzyła, jak idą korytarzem, po czym poszukała odpowiedzi w liście.

*Mój drogi Philipie,
jeśli czytasz te słowa, to znaczy, że ja miałam rację. Przy moim paskudnym charakterze nie potrafiłam ci tego powiedzieć w odpowiednim momencie, ale w końcu cię posłuchałam i postanowiłam mieć to*

dziecko, choć nie wiem, kto jest ojcem. Nie osądzaj mnie, tutejsze życie tak bardzo różni się od tego, co potrafisz sobie wyobrazić, a brutalność każdego dnia wywołuje niekiedy potrzebę orzeźwienia z przypadkowymi mężczyznami. Dla ucieczki przed strapieniem, dla odnalezienia w tym wszystkim siebie samej, dla odpędzenia strachu przed śmiercią, który tak mnie gnębi, tej idiotycznej rozpaczności — musiałam czasami poczuć ciepło ich istnienia, żeby sobie przypomnieć, że ja także żyję. Stykać się ze śmiercią na co dzień to doświadczać głębokiej, zżerającej samotności; to jest jak zaraza. Tysiące razy powtarzałam sobie, że nie sposób wymyślić życia na tym świecie, ale kiedy zaokrąglił mi się brzuch, zaczęłam wierzyć w twoje słowa. Noszenie Lisy pod sercem było jak powietrze w głębi wody, jak elementarna potrzeba życiowa. A jednak, jak widzisz, natura zatriumfowała nad moimi racjami. Czy pamiętasz swoją obietnicę z Newark, że „jeśli coś mi się stanie”, ty będziesz zawsze gotów do pomocy? Drogi Philipie, jeśli czytasz ten list, to znaczy, że przytrafiło mi się coś niemal ostatecznego! Uwierzyłam ci, przyjąłam Lisę, mając pewność, że jeśli dłużej nie dam rady, ty przejmiesz to moje życie. Wybacz, że zrobiłam ci brzydki żart. Nie znam Mary, lecz po tym, co opowiadałeś, sądzę, że jest wspaniałomyślna i pokocha Lisę.

To mała dzika dziewczynka, pierwsze lata jej życia nie były za wesołe. Postaraj się ją oswoić, daj jej tę miłość, której ja już teraz nie mogę jej dać, powierzam ci ją, powiedz jej kiedyś, że matka zawsze była i pozostanie w twojej pamięci, mam nadzieję, kimś bardzo bliskim. Myślę o was, całuję cię, drogi Philipie. Zabieram z sobą najlepsze wspomnienia mojego życia, spojrzenie Lisy i dni naszej młodości.

Susan

Mary zgmiotła list, starając się zamknąć w papierowej kulce ogarniające ją uczucie protestu. Popatrzyła na syna, który cały czas stał na baczność. Zmusiła się do uśmiechu.

— Spocznij! — nakazała mu. Thomas wykonał szybki zwrot i natychmiast odmaszerował.

Siedziała przy kuchennym stole. Jej wzrok przesunął się od okna do listu, który trzymała w zaciśniętej pięści. Philip zszedł z góry bez dziewczynki.

— Zrobiłem jej kąpiel, potem chciała pójść spać, jechali całą noc; nie chce nic jeść, myślę, że nie trzeba jej zmuszać. Położyłem ją w pokoju gościnnym.

Nic nie powiedziała. Wstał, otworzył lodówkę, nalał sobie soku pomarańczowego, starając się poprzez te proste gesty odzyskać opanowanie. Mary nic nie mówiła, wodziła za nim wzrokiem.

— Nie mieliśmy wyboru, nie mogę jej pozostawić na

łasce opieki społecznej, myślę, że otrzymała już swoją porcję niesprawiedliwości i opuszczenia.

— Jest opuszczona? — spytała Mary sarkastycznie.

— Jej matka umarła, nie ma ojca, więc co za różnica?

— A ja myślę, że ty zamierzasz być tym, który zrobi różnicę!

— Z tobą, Mary!

— Dlaczego nie? Spędzam godziny, dni, weekendy, wieczory na czekaniu na ciebie. Jak głupia przerwałam pracę dziennikarską, żeby zajmować się twoim domem i twoim synem. Stałam się przykładną kurą domową twojego życia, dlaczego miałabym przerwać tę serię głupot?

— Uważasz, że twoje życie składa się tylko z poświęceń?

— Nie o tym mowa, dotąd jeszcze sama decydowałam o moim życiu, ale ty chcesz odebrać mi ten ostatni przywilej.

— Chciałem tylko, żebyśmy dzielili tę przygodę.

— Taka jest twoja definicja przygody? Ja błagam cię od dwóch lat, żebyś przeżył ze mną inną przygodę: drugie dziecko, a ty od dwóch lat odpowiadasz, że nie teraz, że nie mamy możliwości, od dwóch długich lat nie chcesz w ogóle wiedzieć, co ja czuję. To, co miało być nasze, z biegiem lat stało się tylko twoje. To ja muszę dzielić twój rozkład zajęć, twoje pragnienia, kłopoty, niepokoje, twoje humory, a teraz jeszcze dziecko innej kobiety, i to jakiej!

Philip nie odpowiadał. Wykręcał sobie palce, kiwając powoli głową i patrząc żonie prosto w oczy. Rysy Mary były ściągnięte, a drobne zmarszczki, które utworzyły się wokół oczu — co ze smutkiem stwierdziła po długich godzinach spędzanych przed lustrem na ich spłycaaniu — zapowiadały nieuchronne nadejście łez złości. Jeszcze zanim łzy popłynęły, przesunęła wierzchem dłoni po powiekach, jakby chciała zapobiec utworzeniu się worków pod oczami, niepotrzebnych, brzydkich.

— Jak do tego doszło?

— Zginęła w górach, w czasie huraganu...

— To mnie nie obchodzi, nie o to pytam. Jak mogłeś dać tak nedorzeczną obietnicę? Jak mogłeś nigdy mi o tym nie powiedzieć? Ciągle przecież słyszałam, że Susan to, Susan tamto... czasami miałam wrażenie, że po otwarciu szafy w łazience stanę z nią twarzą w twarz.

Philip starał się mówić tonem spokojnym i wyważonym. Ta obietnica padła w czasie rozmowy, jaką odbyli przed dziesięcioma laty. Została rzucona „tak sobie” po to, żeby mieć rację w jałowej dyskusji. Nigdy o niej nie wspominał, bo po prostu o tym nie pamiętał, nigdy nie przypuszczał nawet, że taka sytuacja zaistnieje, tak jak nigdy nie pomyślał, że Susan kiedykolwiek będzie miała dziecko. Przez ostatnie lata pisali do siebie coraz rzadziej, a Susan nigdy nawet nie wspomniała o córce. Ale najmniej spodziewał się tego, że Susan zginie.

— I co ja mam powiedzieć?
— Komu?
— Ludziom, moim przyjaciółkom.
— Myślisz, że to jest istota problemu?
— Dla mnie tak, pośród innych problemów, jakie to za sobą pociąga! Ty możesz mieć gdzieś nasze życie towarzyskie, ale ja poświęciłam pięć lat, żeby je zbudować, i to nie dzięki tobie.
— Powiesz im, że nie trzeba chodzić co niedziela do kościoła, jeśli nie ma się na tyle wielkiego serca, aby sprostać takiej sytuacji.
— Ale to nie ty będziesz się nią zajmował; ty nadał będziesz sobie pracował na górze, to moje życie całkiem się zmieni!
— Nie bardziej, niż gdybyśmy mieli drugie dziecko.
— Nie drugie dziecko, na Boga, nasze dziecko! — Mary nagle wstała. — Ja także chcę iść spać! — krzyknęła, wchodząc na schody.
— Przecież jest dziewiąta rano!
— I co z tego? Wszystko dzisiaj jest jakieś nienormalne!
Weszła na piętro, idąc zdecydowanym krokiem, zatrzymała się pośrodku korytarza, po chwili zawróciła z wahaniem i poszła w stronę pokoju, w którym spała Lisa. Cichutko uchyliła drzwi. Dziecko leżące na łóżku zwróciło do niej buzię i patrzyło bez słowa. Mary uśmiechnęła się z zażenowaniem i zamknęła drzwi. Poszła do swojego

pokoju, położyła się na łóżku, patrząc w sufit i zaciskając pięści, by opanować złość. Przyszedł Philip, usiadł obok i wziął ją za rękę.

— Przykro mi, żebyś wiedziała, jak bardzo jest mi przykro.

— Nieprawda, nie jest ci przykro. Nigdy nie mogłeś mieć matki, masz teraz jej córkę! To mnie jest przykro. Nigdy nie chciałam ani jednej, ani drugiej.

— Nie masz prawa teraz mówić czegoś takiego.

— Naprawdę nie rozumiem, dlaczego nie powinnam teraz mówić tego czy owego, Philipie. Od dwóch lat dąsz się, omijasz ten temat, oddalasz się od naszego życia z tysiącem wymówek, słusznych wymówek, bo twoich. Twoja Susan przysłała ci swoją córkę i wszystkie problemy same się rozwiążą, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, z jednym wyjątkiem: ta historia wynikła z twojego życia, nie z mojego.

— Susan nie żyje, Mary, to nie moja wina, możesz całkowicie ignorować mój smutek, ale nie dziecko, na Boga, nie dziecko!

Mary wyprostowała się, jej głos pełen wściekłości zaczął drżeć, gdy krzyknęła:

— Mam gdzieś tę twoją Susan! — Philip wpatrywał się w okno, unikając wzroku żony. — Popatrz na mnie, do cholery! Chciałabym, żebyś miał chociaż tę odwagę!



Do pokoju Lisy dochodziły niewyraźne dźwięki; dziewczynka pod kołdrą przewróciła się na drugi bok i wtuliła głowę w poduszkę. Tak mocno przyciskała twarz, że włosy jakby wtapiały się w poszewkę. Krzyki nie były tak głośne jak grzmoty podczas niektórych nawałnic, ale lęk, jaki wywoływały, był taki sam. Chciałaby móc przestać oddychać, ale wiedziała, że to niemożliwe, bo wszystkie takie próby z ostatnich dwóch tygodni skończyły się niepowodzeniem. Ze ściśniętym żołądkiem przygryzała język coraz mocniej, tak jak nauczyła ją matka: „Kiedy poczujesz smak krwi w ustach, to znaczy, że żyjesz, a kiedy jesteś w niebezpieczeństwie, musisz myśleć tylko o jednym: nie odpuszczać, nie rezygnować, pozostać przy życiu”. Ciepła ciecz spłynęła jej do gardła, Lisa chłonęła to uczucie i jeszcze bardziej się kulila. Krzyki Philipa dochodziły z końca korytarza, przerywane chwilami milczenia. Przy każdym wybuchu złości coraz bardziej chowała głowę w poduszkę, tak jakby potoki słów miały ją porwać, przy każdym głośniejszym krzyku zaciskała powieki tak mocno, aż w oczach migotały jej gwiazdki.

Usłyszała trzaśnięcie drzwiami w pokoju obok i kroki mężczyzny zbiegającego po schodach.

Philip wszedł do salonu, padł na kanapę; oparł łokcie na kolanach, objął rękami głowę. Thomas odczekał parę minut, po czym przerwał milczenie.

— Zagrasz ze mną?

- Nie teraz, kochanie.
- Gdzie są dziewczynki?
- Każda w swoim pokoju.
- Jesteś smutny?

Żadnej odpowiedzi. Siedzący na podłodze chłopiec wzruszył ramionami i powrócił do gry. Świat dorosłych naprawdę jest czasami dziwny. Philip usiadł za nim i przytulił go do siebie.

— Wszystko się ułoży — powiedział przytłumionym głosem. Wziął do ręki jeden z dwóch joysticków. — W co chcesz przegrać?

Na pierwszym zakręcie lamborghini Thomasa zepchnęło toyotę ojca do rowu.

Mary zeszła na dół około południa. Bez słowa poszła do kuchni, otworzyła lodówkę i zaczęła przygotowywać posiłek. Zjedli obiad we trójkę. Lisa w końcu zasnęła. Thomas zdecydował się poruszyć jej temat:

— Ona u nas zostanie? To nie całkiem w porządku, żeby była moją starszą siostrą, przecież ja tu byłem pierwszy!

Mary upuściła salaterkę, którą niosła do stołu. Piorunowała Philipa wzrokiem za to, że nie odpowiedział na pytanie syna. Rozbawiony Thomas popatrzył na sałatę porzucaną po posadzce i wbił zęby w kolbę kukurydzy. Zwrócił się do matki:

— To może być niezłe! — powiedział.

Philip wstał, żeby pozbierać z podłogi kawałki szkła.

— Co może być niezłe? — spytał syna.

— Bardzo chciałem mieć siostrę lub brata, ale nie chcę, żeby w nocy budził mnie płacz dziecka, a pieluchy okropnie śmierdzą! A ta jest już za duża, żeby mi zabierać zabawki... Podobają mi się kolor jej skóry, w szkole będą mi zazdrościć...

— Myślę, że zrozumieliśmy twój punkt widzenia! — podjęła Mary, nie dając mu dokończyć zdania.

Deszcz padał ze zdwojoną siłą, nie było więc mowy o wyjściu na niedzielny spacer. Mary bez słowa przygotowała kanapkę. Na kromce chleba, którą posmarowała majonezem, położyła sałatę, potem plasterk szynki, zawahała się chwilę, zamieniła szynkę na kurczaka, znowu się zawahała, położyła plasterk szynki na kurczaka i wszystko nakryła drugą kromką chleba. Przełożyła kanapkę na talerzyk, owinęła celofanem i postawiła w lodówce.

— Gdyby mała po obudzeniu była głodna, w lodówce jest dla niej kanapka — powiedziała.

— Wychodzisz? — spytał Thomas.

— Idę na całe popołudnie do mojej przyjaciółki Joantie, wrócę na twoją kąpiel — odpowiedziała.

Poszła się przebrać. Wychodząc, pocałowała syna i popatrzyła na Philipa, który stał na schodach. Reszta dnia potoczyła się jak każda jesienna niedziela, długie minuty różniły się od siebie tylko słabnącym światłem dnia. Mary

wróciła około piątej po południu i zajęła się Thomasem. Lisa jeszcze spała, kiedy usiedli do kolacji przy kuchennym stole.



Nie spieszyła się z wyjściem z łazienki, specjalnie czekając, aż Philip położy się do łóżka. W sypialni zgasła światło i wyciągnęła się na drugim brzegu łóżka. Philip poczekał kilka minut i przerwał milczenie.

— Opowiedziałaś wszystko Joannę?

— Tak, wyzaliłam się, jeśli chcesz wiedzieć.

— I co powiedziała?

— A co miała powiedzieć? Że to potworne!

— Tak, to właściwe słowo, to potworne.

— Mówiła o tym, co mnie spotkało, Philipie. A teraz pozwól mi spać.

Philip zostawił na korytarzu zapalone światło, aby Lisa znalazła drogę do toalety, kiedy się obudzi. O trzeciej rano jej oczy otworzyły się jak u śpiącej, postawionej pionowo lalki. Obejrzała pokój pogrążony w mroku, usiłując zrozumieć, gdzie się znajduje. Drzewo pochylające się w stronę okna gwałtownie potrząsało gałęziami, jakby poruszało zbyt długimi ramionami. Liście muskały szyby, wydawało się, że chcą strącić ogromne, ściekające po nich krople. Wstała, wyszła na korytarz i cichutko zeszła na dół. W kuchni otworzyła lodówkę. Wyjęła talerzyk, uniosła

róg celofanu, powąchała kanapkę i wstawiła z powrotem do lodówki.

Z paczki pieczywa testowego wyjęła jedną kromkę, wzięła banana, którego rozgniotła widelcem i posypała ciemnym cukrem. Posmarowała tym kromkę chleba i z dzikim apetytem zjadła. Potem odłożyła wszystko na swoje miejsce, ominęła zmywarkę i zaczęła zmywać talerzyk oraz wszystko, co było w zlewie.

Wychodząc, rzuciła ostatnie spojrzenie na kuchnię, po czym, ciągle po ciemku, wróciła do łóżka.



Upłynęło osiem dni, podczas których Mary poznała w zarysie życie z zupełnie innego świata niż jej świat. Zaraz po urodzeniu Lisa została zgłoszona w konsulacie, więc jej amerykańskiego obywatelstwa nie podawano w wątpliwość. List Susan przekazujący Philipowi wszelkie prawa do małej Lisy, urodzonej 29 stycznia 1979 roku o godzinie ósmej dziesięć w dolinie Sula, w Hondurasie, z matki Susan Jensen, ojca nieznanego, został w końcu zarejestrowany po długiej serii męczących starań. Mimo że koledzy Susan wpadli na doskonały pomysł poświadczenia dokumentu przez notariusza ambasady amerykańskiej, jeszcze zanim przywieźli dziecko do New Jersey, Philip i Lisa spędzili cały poniedziałek na włóczeniu się po labiryncie urzędów. Musieli przemierzać korytarze,

pokonywać schody z białego kamienia, prowadzące do ogromnego holu o ścianach wyłożonych drewnem, podobne do ścian pałacu prezydenckiego, o którym Susan kiedyś opowiadała. Na początku Lisa trochę się bała, bo matka zawsze jej mówiła, że pałace to miejsca niebezpieczne, pełne wojskowych i policjantów. Nigdy nie zabierała Lisy z sobą, kiedy musiała tam iść. Prezydent, który mieszkał w tym pałacu, chyba nie był bardzo ważny, bo tylko dwaj żołnierze stali przy wejściu, gdzie trzeba było zostawiać torby jak na lotnisku. Z nudów oglądała marmurowe płyty na podłodze — doliczyła się co najmniej tysiąca pięciuset ciemnych i pięciuset białych. Nie mogła dokończyć liczenia, bo człowiek za ladą w końcu wskazał Philipowi, dokąd ma pójść, tym razem innymi schodami, z czerwonym i czarnym dywanem. Błądzili od jednego biura do drugiego, żeby zebrać kolorowe papiery, a potem znowu stać w kolejce przed różnymi okienkami. „To taka gra planszowa, ogromna, wymyślona tylko dla dorosłych”, ale ich smutne miny świadczą o tym, że ci, którzy wymyślili tę rozrywkę, chyba niezbyt dobrze się bawili. Philip wypełniał różne druki, urzędnik lub urzędniczka siedzący za szybą stemplowali je i dawali mu nowy kwestionariusz do wypełnienia i oddania w innym pokoju. Szli więc innym korytarzem, czasami tym samym, tylko w przeciwnym kierunku, tym, który miał trzydzieści jeden wiszących lamp na suficie, tym, który miał białe i czarne płyty na podłodze, najdłuż-

szym i najszerszym, potem wchodzili po schodach, szukali ważnej osoby, która kierowała ich do następnego biura. Philip ciągle podawał jej rękę, ale Lisa upierała się, żeby iść kilka kroków dalej, obok niego lub przed nim. Nie lubiła być trzymana, matka nigdy czegoś takiego nie robiła. Po powrocie do samochodu Philip wyglądał na zadowolonego. Wygrał. Odjechali z ostatnią różową kartką, która czyniła go jej prawnym opiekunem. Trzeba będzie przyjechać tu za sześć miesięcy do sędziego, który wyda definitywną decyzję o adopcji. Lisa przysięgła sobie, że wtedy zapyta, co znaczą słowa „opiekun” i „dziecko adoptowane”, ale to „później, nie teraz”. W domu Mary ciągle jeszcze miała minę kogoś, komu się sprzeciwno. Całkowicie zignorowała ich dokument. Dlatego miała taką minę, że nic nie wygrała, ale to niesprawiedliwe, bo przecież nie poszła z nimi grać, myślała dziewczynka.

Wtorek poświęcono na zapisanie Lisy do szkoły. Nie wyobrażała sobie, że istnieją takie duże szkoły. Susan opowiadała jej o uniwersytecie... Pomyślała, że może Philip nie wie, ile ona ma lat. Na dziedzińcu podłoga lekko się ugiwała pod stopami. W rogu były kolorowe drabinki, mała karuzela i dwie zjeżdżalnie, w które uporczywie się wpatrywała. Kiedy szli w głąb dziedzińca, rozległ się dźwięk dzwonka. Był zupełnie niepodobny do tego, który kazał szukać schronienia, kiedy nadchodzi huragan. To był cichy dzwoneczek, prawie niesłyszalny, który głupio chciał zrobić

na niej wrażenie, brzęcząc najgłośniejszym, jak potrafił. Daremny trud, Lisa słyszała już dzwonki o wiele silniejsze. Kiedy dzwon w osadzie bił na mszę albo wołał ludzi na plac, jej ciało przenikały wibracje, a serce waliło nie wiadomo dlaczego. Kiedy matka napominała ją, aby nauczyła się opanowywać strach, odpowiadała, że to unoszący się w powietrzu piasek wywołuje w jej oczach łzy. Dzwonek zamilkł, chmara dzieci wypadła na dziedziniec. Może jednak było jakieś niebezpieczeństwo.

Parter budynku składał się z krytego boiska, gdzie uczniowie chowali się przed deszczem; w jej kraju nie można było pójść do szkoły, kiedy padał deszcz. Głównymi schodami weszli na pierwsze piętro. Tam, w długim korytarzu były drzwi prowadzące do klas z jednakowymi ławkami. Lisa zastanawiała się, skąd oni wzięli tyle ławek! Musiała poczekać przed żółtymi drzwiami, podczas gdy Philip rozmawiał z dyrektorką w gabinecie. Potem Lisa została jej przedstawiona. Była to wysoka kobieta, o białych włosach uczesanych w kok. Jej szeroki uśmiech nie maskował autorytetu. Było późne przedpołudnie, musieli już iść. Philip zatrzymał się przy ogrodzeniu, ukląkł, by zrównać się wzrostem z dziewczynką.

— Liso, musisz odpowiadać, kiedy ludzie do ciebie mówią. Od dwóch dni właściwie nie słyszałem twojego głosu.

Dziecko wzruszyło ramionami i bardziej wtuliło głowę w ramiona.

W McDonalddie, dokąd Philip zabrał ją na obiad, była urzeczona piktogramami reklamowymi wiszącymi nad kasami. Kiedy doszli do kontuaru, Philip spytał, co by zjadła, ale Lisa odwróciła głowę, wcale niezainteresowana jedzeniem. Tylko duża czerwona zjeżdżalnia na zewnątrz przykuwała jej uwagę. Philip powtórzył pytanie, ale dziewczynka nadal milczała, ze wzrokiem utkwionym w okno. Schylił się i palcem odwrócił ku sobie jej twarz.

— Chciałbym, żebyś tam poszła, ale pada deszcz.

— No i co z tego? — odpowiedziała.

— Zmokniesz.

— W moim kraju pada bez przerwy, deszcze są o wiele większe i gdybyśmy mieli nie robić tego, co chcemy, ze strachu przed zmoknięciem, w końcu byśmy umarli. To nie w ten sposób deszcz zabija, nic nie rozumiesz, nie wiesz, co to jest deszcz, a ja wiem!

Kasjerka poprosiła, aby stanęli z boku, jeśli nic nie zamawiają, bo inni klienci się niecierpliwią. Lisa znowu odwróciła głowę, patrząc na zjeżdżalnię, jak więzień, który poprzez kraty w oknie swej celi wypatruje linii urojonego horyzontu.

— Jak zjadę z góry, to może wyląduję znowu w domu. Tak jest w moich snach, jestem pewna, że jeśli będę dużo o tym myślała, to może się uda!

Philip przeprosił kelnerkę, wziął za rękę Lisę i wyszli na zewnątrz. Deszcz padał ze zdwojoną siłą, na parkingu tworzyły się ogromne kałuże. Szedł zdecydowanym krokiem, wchodząc w każdą z nich, chwilami woda wlewała mu się do butów. Przy drabinie wziął Lisę na ręce i postawił na trzecim szczeblu zjeżdżalni.

— To byłoby śmieszne, gdybym ci powiedział, że masz uważać, tam u siebie chyba nigdy się nie przewracałaś.

— Przewracałam się!

Weszła po szczeblach, nie zwracając najmniejszej uwagi na gwałtowne podmuchy wiatru. Widział, że jest szczęśliwa, że żyje chwilą, jak zwierzątko, które powraca do swego naturalnego środowiska.

Na dole, przy czerwonej zjeżdżalni o barwie zamazanej przez ciemność nieba, przemoczony mężczyzna z otwartymi ramionami czekał na dziewczynkę, która zjeżdżała z zamkniętymi oczami, bo chciała, by jej sen stał się rzeczywistością. I za każdym razem ją łapał, przytulając do siebie, a potem ponownie stawiał na trzecim szczeblu.

Spróbowała trzy razy, potem wzruszyła ramionami i wzięła go za rękę.

— Nie udało się — powiedziała — możemy wracać!

— Chcesz teraz zjeść?

Potrząsnęła głową i pociągnęła go w stronę samochodu. Wsiadła do tyłu i powiedziała mu do ucha:

— Mimo wszystko było fajnie!

Ulewa nadal trwała. Kiedy przyjechali do domu, Mary siedziała w salonie. Podniosła się szybkim ruchem i stanęła, zagradzając wejście na schody.

— Nigdzie nie wejdziecie w tym stanie. W zeszłym tygodniu oczyściłam wykładziny i nie mam zamiaru znowu tego robić, a poza tym musielibyście nasiąknąć jakimś detergentem, żeby to było skuteczne! Proszę zdjąć buty, potem się rozebrać. Idę po ręczniki.

Philip ściągnął koszulę, pomógł Lisie zrobić to samo. Ona stwierdziła, że to zupełnie głupie kłaść wszędzie dywany, jeśli potem nie można po nich chodzić. U niej jest o wiele lepiej, podłogę zbito z desek, można tam robić, co się chce, potem przeciera się ścierką i wszystko jest znowu czyste. Mary wycierała włosy Philipa, a on suszył włosy Lisy. Mary spytała, czy może umyli samochód w myjni, zostawiając otwarty dach, po czym kazała iść na górę się przebrać. Pogoda przeszkodziła im w ponownym wyjściu, więc dziecko spędziło popołudnie na zwiedzaniu domu.



Weszła po schodach i poszła aż do pracowni Philipa. Otworzyła drzwi, stanęła przed nim. Wśliznęła się za stół, skąd patrzyła, jak pogrubia kontury szkicu; potem oglądała pokój. Jej wzrok zatrzymał się na fotografii Susan, na którą długo patrzyła. Nigdy nie widziała matki tak młodej

i nie dostrzegała podobieństwa, jakie zarysowało się z czasem.

— Myślisz, że kiedyś będą starsza niż ona? Philip uniósł głowę znad rysunku.

— Na tym zdjęciu miała dwadzieścia lat, w przeddzień jej wyjazdu wziąłem ją do parku. Byłem jej najbliższym przyjacielem, chyba wiesz. Kiedy miałem tyle lat co ty, dałem jej medalik, który zawsze nosiła na szyi, jak się przyjrzysz, to go zobaczysz. Nie mieliśmy przed sobą żadnych tajemnic.

Lisa popatrzyła na niego hardo.

— Wiedziałaś, że się urodziłam?

I wyszła bez słowa. Philip jeszcze przez kilka chwil siedział ze wzrokiem utkwionym we framugę drzwi, po czym przeniósł spojrzenie na kuferek, który zawierał listy Susan. Położył rękę na wieczku, zawahał się chwilę i zrezygnował z otwarcia go. Uśmiechnął się smutno do zdjęcia stojącego na półce, po czym powrócił do szkicu.

Lisa poszła do łazienki i otworzyła szafkę, w której były kosmetyki Mary. Wzięła flakonik perfum, nacisnęła rozpylacz i powąchała opary wetiwerii. Skrzywiła się, odstawiła flakon i wyszła. Następną wizytę złożyła w pokoju Thomasa, tam nie było nic ciekawego. Kufer zawierał tylko chłopięce zabawki. Strzelba zawieszona na ścianie przestraszyła ją. Czyżby tu też byli żołnierze, którzy podpalają

domy i zabijają ich mieszkańców? Jakie niebezpieczeństwa czyhają w mieście, w którym nie ma poniszczonych ogrodzeń, w którym mury nie noszą żadnych śladów kul?



Mary kończyła przygotowania do kolacji. Usiedli przy kuchennym stole. Thomas, któremu nałożono najpierw, kreślił widelcem dwupasmową drogą w puree na talerzu. Z kulek groszku uformował konwój, który jechał odnogą do wyimaginowanego garażu pod plasterkiem szynki. Po kolei zielone ciężarówki metodycznie omijały korniszona podtrzymującego sklepienie; największa trudność polegała na tym, by ominąć szpinakowy las, miejsce wszelkich niebezpieczeństw. Na podkładce pod talerz Philip szkicował węglem twarz Mary, Lisa na swojej szkicowała rysującego Philipa.



W środę Philip zabrał Lisę na zakupy do supermarketu. Nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziała. Na niewielkiej przestrzeni znajdowało się więcej jedzenia niż w całej jej osadzie.

Wszystkie wyjścia do miasta w ciągu tygodnia były pretekstem do odkrywania dziwów tego świata, który opisywała jej niekiedy mama jako „swój wcześniejszy świat”; podekscytowana Lisa, niekiedy zazdrosna i przestraszona,

zastanawiała się, w jaki sposób przenieść skrawki tego świata tym, których spotka po powrocie do domu, na pełnych kurzu uliczkach, tym, których tak bardzo jej brak. Przed zaśnięciem widziała uspokajające sceny: wąska ziemna uliczka, która oddzielała jej dom od hospicjum zbudowanego przez mamę, serdeczne spojrzenia wieśniaków pozdrawiających ją zawsze, gdy przechodziła. Elektryk Manuel, który nigdy nie chciał wziąć od mamy pieniędzy. Pamięta głos nauczycielki, señory Cázales — przyjeżdżała raz na tydzień, lekcje odbywały się w magazynie żywności. Zawsze przywoziła zdjęcia niesamowitych zwierząt. W końcu wpadła w ramiona Enrique, mężczyzny z wózkiem, przewoźnika, jak wszyscy go nazywali.

We śnie Lisa słyszała stukot kopyt jego osiołka na wyschniętej ziemi, szła za nim aż do fermy, potem przechodziła przez pola rzepaku, którego wysokie żółte łodygi chroniły przed palącym słońcem, w końcu dotarła do kościoła. Drzwi się nie domykały od czasu, gdy deszcz wypaczył futrynę. Podeszła blisko ołtarza. Wieśniacy ze wszystkich stron patrzyli na nią z uśmiechem. W pierwszym rzędzie siedziała matka. Objęła ją i mocno przytuliła. Lisa poczuła zapach jej ciała, potu zmieszanego z mydłem. Powoli ciemniało, tak jakby dzień chciał się szybciej zakończyć, niebo nagle spochmurniało. Osiołek, otoczony aureolą opalizującego blasku, wszedł do kościoła i z dostojną, nieco przygnębioną miną popatrzył na zgromadzo-

nych. Nagle rozpętała się burza, wprawiając w rezonans mury opactwa. Słysząc było głuchy pomruk wody przewalającej się w górach, wieśniacy uklękli z opuszczonymi głowami, składając ręce do jeszcze żarliwszej modlitwy. Nie mogła odwrócić głowy, tak jakby ciężar powietrza powstrzymywał jej ruchy. Oba skrzydła drzwi się rozpadły, potok wody wdarł się do nawy. Osiołek został porwany, rozpaczliwie usiłował utrzymać nozdrza ponad wodą, w końcu wydał ostatni ryk i zatonął. Kiedy otworzyła oczy, Philip stał obok i trzymał ją za rękę. Głaskał jej włosy, szeptem wypowiadał łagodne upomnienia, jakimi ucisza się zwykle dzieci, a przecież tylko krzyk może uwolnić je od strachu. Ale czy jakikolwiek dorosły pamięta te zmory?

Gwałtownie usiadła na łóżku i otarła czoło, na którym perliły się kropelki potu.

— Dlaczego mama nie wróciła tu ze mną? Po co te wszystkie koszmary, jeśli ona wcale się nie budzi, tak jak ja?

Philip chciał wziąć ją w ramiona, ale ona odsunęła jego rękę.

— Z czasem to minie — powiedział. — Zobaczysz, za jakiś czas wszystko będzie lepiej.

Został przy niej, aż zasnęła. Po powrocie do sypialni nie zapalał światła, żeby nie obudzić Mary. Po omacku poszukał łóżka, wśliznął się pod kołdrę.

— Co robiłeś?

- Przestań, Mary!
— Co ja takiego powiedziałam?
— No właśnie, nic!



Sobota była łudząco podobna do poprzedniej, ulewny deszcz znowu walił o szyby. Philip zamknął się w pracowni. W salonie Thomas dokonywał zagłady kilku istot pozaziemskich w kształcie połówek dyni, które właśnie wędrowały po ekranie telewizyjnym. W kuchni Mary przewracała strony jakiegoś ilustrowanego pisma. Spojrzała na schody, których stopnie były niewidoczne w mroku panującym na piętrze; przez rozsuwane drzwi salonu widziała plecy synka pochylonego nad grą. Popatrzyła na Lisę, która rysowała, siedząc naprzeciw niej. Odwróciła twarz w stronę okna i poczuła się osaczona melancholią nieba w to ponure milczące popołudnie. Lisa uniosła głowę i dostrzegła łzy smutku na policzkach Mary. Patrzyła na nią przez kilka chwil, a potem nagła złość wykrzywiła jej dziecięcą buzię. Zeskoczyła z krzesła i zdecydowanym krokiem poszła otworzyć lodówkę. Wyjęła jajka, butelkę mleka, zamaszystym ruchem zamknęła drzwi. Wzięła miskę, ubiła tę mieszankę z energią, która zadziwiła Mary. Dodała — w ten sam sposób, bez najmniejszego wahania — cukier, mąkę i inne składniki, które zdejmowała po kolei z półki.

- Co robisz?

Dziewczynka patrzyła Mary prosto w oczy, jej górna warga drżała.

— W moim kraju też pada deszcz, ale nie taki jak tutaj, prawdziwy, pada przez tyle dni, że nawet nie można ich policzyć. U nas deszcz jest tak gwałtowny, że zawsze w końcu znajduje drogę, żeby się dostać pod dach, i cieknie w domu. Deszcz jest inteligentny, mama tak mówiła, ty tego nie wiesz, ale on chce ciągle jeszcze więcej, jeszcze więcej.

Złość małej rosła z każdym słowem. Lisa zapaliła gaz i rozgrzała patelnię. Mówiła dalej, po chwili przerwy wywołanej krótkim spazmem.

— I ten deszcz chce pójść jeszcze dalej. Jeżeli nie uważasz, to w końcu osiąga swój cel, wślizguje się do twojej głowy, żeby cię utopić, a kiedy mu się to uda, ucieka oczami, żeby pójść utopić kogoś innego. Nie kłam, widziałam w twoich oczach deszcz, nie udało ci się zatrzymać go w sobie, za późno, pozwoliłaś mu wejść i przegrałaś!

Kontynuując swój wściekły monolog, wlała ciasto na patelnię i patrzyła, jak się przyrumienia na ogniu.

— Taki deszcz jest niebezpieczny, bo zabiera z twojej głowy kawałki mózgu, aż w końcu poddajesz się i umierasz. Wiem, że tak jest, w moim kraju widziałam ludzi, którzy umarli, bo się poddali, a potem Enrique wiezie ich swoim wózkiem. Mama zna pewną tajemnicę, żeby nas uchronić przed deszczem, żeby nam nie zrobił krzywdy...

Ze wszystkich sił, zebranych w jeden nagły gest, podrzuciła zawartość patelni. Złoty naleśnik zakręcił się w kółko, powoli wzleciał w powietrze, aż przylepił się do sufitu, tuż nad Lisą, która wskazywała go palcem. Z ręką naprężoną jak bliska rozerwania cięciwa łuku, krzyknęła do Mary:

— To jest tajemnica mamy, ona robiła słońca pod dachem. Popatrz — powiedziała, wskazując z przejęciem naleśnik przylepiony do sufitu — popatrz tylko! Widzisz to słońce?

Nie czekając na odpowiedź, przygotowała następny naleśnik, który natychmiast wylądował obok pierwszego. Mary nie wiedziała, jak zareagować. Przy każdym kolejnym wzlatującym naleśniku dziewczynka podnosiła palec i krzyczała:

— Widzisz te słońca? Teraz już nie musisz płakać! Zwabiony zapachem Thomas wsunął przez drzwi czubek

nosa. Znieruchomiały przypatrywał się scenie, najpierw Lisie, która w swym zdenerwowaniu przywodziła mu na myśl postać z komiksu, potem matce. Był zawiedziony, bo nie dostrzegł żadnego naleśnika.

— Nic dla mnie nie zostawiłyście?

Lisa drwiąco zanurzyła palec w słodkim cieście, po czym go oblizwała. Rzuciła szybkie spojrzenie na sufit nad jego głową.

— Za dwie sekundy będzie i dla ciebie! Poczekaj!

Podskoczył, kiedy naleśnik spadł mu na ramię. Popatrzył na sufit i wybuchnął takim śmiechem, jakby cały świat go łaskotał. Lisa poczuła, że jej wściekłość powoli odpływa; odstawiła patelnię i się uśmiechnęła. Bardzo chciała opanować śmiech, ale nie mogła. Wybuchy śmiechu dwojga dzieci wypełniły kuchnię, po chwili i Mary do nich dołączyła. Philip wszedł do kuchni — zaskoczyło go to nieoczekiwane widowisko.

Poczuł słodki zapach, zaczął się rozglądać.

— Smażyliście naleśniki, a dla mnie nic nie zostało?

— Zostało, zostało — odrzekła zażawiona ze śmiechu Mary.
— Poczekaj!

Lisa, oparta o lodówkę, śmiała się na całe gardło. Thomas, zadyszany i jęczący, położył się na podłodze.

Mary usłyszała śmiech Philipa. Jej spojrzenie wędrowało od syna do męża, potem w stronę Lisy i z powrotem. Obserwowała łączące całą trójkę wzajemne porozumienie, niespodziewane, w którym nie miała udziału. Uświadomiła sobie w pełni radosny ton, jaki zapanował w domu, zaskoczyła ją czułość uśmiechu na wargach Philipa, kiedy patrzył na Lisę. Wyraz twarzy dziewczynki był łudzaco podobny do wyrazu twarzy kobiety z fotografii stojącej na półce w gabinecie męża. Z wyjątkiem śniadej cery Lisa była portretem matki. Mary wymieniła spojrzenia z Philipem i w jednej chwili zrozumiała...

Dziewczynka, która „żeby przegonić deszcz z oczu”,

wymyślała słońca na suficie, przybyła do jej domu, a ona jej nie chce. A to dlatego, że mała nosi w sobie wszystkie racje i niedorzeczności duszy innej kobiety, która od zawsze budziła tak silne emocje mężczyzny, kochanego przez Mary.

Philip także na nią popatrzył, jego uśmiech nabrał tkliwości. Wyszedł z kuchni, poszedł do garażu, skąd przyniósł drabinę, rozstawił ją i wszedł na stopnie. Stojąc na najwyższym, zdjął z sufitu naleśnik.

— Może mi ktoś podać talerz? Nie damy rady wszyscy jeść tu na górze, bo mamy tylko jedną drabinę. Nie wiem jak wy, ale ja zaczynam być głodny.

Kolacja zakończyła się przyjacielską wymianą zdań ojca z synem oraz nieco chaotyczną rozmową Mary i Lisy.

Po obejrzeniu kolejnego odcinka *Murphy Brown* poszli na górę. W korytarzu prowadzącym do łazienek Mary poprosiła Lisę, aby umyła zęby. Kiedy już się położy do łóżka, Mary przyjdzie się z nią popieścić. Nastąpiła chwila milczenia, Mary poczuła, że Lisa znieruchomiała. Z tyłu usłyszała pytanie dziewczynki:

— Co to znaczy „popieścić”?

Mary odwróciła się, aby spojrzeć jej w twarz, starając się ukryć zmieszanie, ale głos jej zadrżał:

— Jak to co to znaczy „pieścić”? Lisa oparła ręce na biodrach.

— No tak, co to znaczy „pieścić”?

— Liso, powinnaś to wiedzieć! Przyjdą do ciebie i pocałują cię na dobranoc, zanim zaśniesz.

— A dlaczego mnie pocałujesz? Dzisiaj nie zrobiłam nic dobrego!

Mary popatrzyła na stojące nieruchomo dziecko; pewność siebie Lisy czyniła ją tak silną, a zarazem kruchą, jak małe zwierzątko, które nadyma się i jeży, żeby zastraszyć drapieżnika. Podeszła do dziewczynki i zaprowadziła ją do umywalki. Podczas gdy Lisa myła zęby, Mary usiadła na brzegu wanny i patrzyła na jej odbicie w lustrze.

— Nie szoruj za mocno. Zauważyłam, że w nocy krwawią ci dziąsła. Pójdziemy do dentysty.

— Po co chodzić do lekarza, jeśli nie jest się chorym? Lisa starannie wytarła usta, po czym powiesiła ręcznik

na kaloryferze. Mary podała jej rękę, dziewczynka to zignorowała i wyszła z łazienki. Mary udała się za nią do pokoju, poczekała, aż Lisa położy się do łóżka, usiadła obok, pogłaskała ją po włosach, pochyliła się i lekko pocałowała ją w czoło.

— Śpij, pojutrze zaczniesz chodzić do szkoły, musisz być w pełni sił.

Lisa nie odpowiedziała. Jeszcze długo po zamknięciu drzwi leżała z szeroko otwartymi oczami, patrząc w ciemność.

Pierwszy rok szkolny Lisy zaczął się od milczenia osoby dojrzałej, uwięzionej jeszcze na długo w dziecięcym ciele. Nikt nie słyszał jej głosu, może tylko nauczyciele, kiedy

zadawali jej pytania, a to było rzadkością, bo niewielu z nich interesowało się dziewczynką, w przekonaniu, że i tak będzie powtarzała klasę. W domu także niewiele mówiła, odpowiadała kiwnięciem głowy albo gardłowym burczeniem. Chciała wydawać się mniejsza od mrówek, które hodowała w futrynie okna. Całe wieczory spędzała w swoim pokoju, gdzie prawie bez przerwy robiła jedną, jedyną rzecz: gromadziła obrazy ze swego życia „wcześniejszego”, obrazy tworzące długi ciąg wspomnień — nic nadziei, po której się przechadzała. Z tego świata, jej świata, dochodził do niej chrzęst żwiru pod kołami jeepa, zapowiadający powrót Susan; z głębi pamięci wyłaniał się upajający zapach wilgotnej ziemi zmieszany z zapachem sosnowych igieł, czasami też, jak za dotknięciem różdżki, głos matki dochodzący z daleka w szumie drzew.

Często wieczorem głos Mary sprowadzał ją na ziemię, do tego obcego świata, a towarzyszyło mu, jako jedyne usprawiedliwienie, spojrzenie w stronę zegara, który, wybijając minuty, w końcu pokaże upływ lat.



Nadeszła pora świąt Bożego Narodzenia, udekorowane girlandami dachy odcinały się w mroku nocy. W samochodzie, którym wraz z Mary wracały z ostatnich zakupów w Nowym Jorku, Lisa nie omieszkała wyrazić swojej opinii.

— Powinno się wysłać co najmniej połowę tych żarówek, które niczemu nie służą, do mojego kraju, wtedy we wszystkich domach paliłoby się światło.

— Twój kraj — odpowiedziała Mary — jest tutaj, gdzie mieszkamy, ta mała uliczka w Montclair, gdzie wszystkie rodziny mają już światło. Nie ma nic złego w tym, że się wygodnie żyje. Przestań wreszcie myśleć o tym wszystkim, czego brakuje tam, skąd przyjechałaś, i nie mów, że twój dom jest tam, nie jesteś przecież obywatelką Hondurasu, o ile wiem, jesteś Amerykanką, twój kraj jest tutaj.

— Po dojściu do pełnoletności będę miała prawo wybrać sobie obywatelstwo!

— Są ludzie, którzy narażają życie, żeby tu zamieszkać, powinnaś się cieszyć.

— Dlatego że nie mają prawa wybierać!

Przez następne miesiące Philip starał się odbudować życie rodzinne. Praca zajmowała go coraz bardziej, ale wykorzystywał każdą wolną minutę, aby stworzyć atmosferę odprężenia i zabawy. I tak wielkanocna podróż do Disneyworldu pomimo — prawie codziennych — sprzeczek pomiędzy Lisą i Mary pozostawiła pierwsze dobre wspomnienie. Z czasem zaczęło mu się wydawać, że pod ich dachem utworzyły się dwie pary: Lisa i on z jednej strony, jego żona i syn z drugiej.



Na początku lata 1989 roku zabrał Lisę na drugi koniec stanu Nowy Jork. Odbyli długą, milczącą podróż, na której końcu strażnik obozowiska dla wędkarzy towarzyszył im w drodze do ich niewielkiej chaty. Kilkakrotnie rzucił w stronę Lisy porozumiewawcze spojrzenie, ale dziewczynka udała, że niczego nie zauważyła. Wybrzeże po drugiej stronie jeziora należało już do Kanady. Po zmierzchu światła Toronto tworzyły pomarańczową aureolę blasku, który odbijał się w chmurach. Po kolacji usiedli na werandzie, tuż nad spokojną taflą jeziora. Lisa przerwała milczenie:

— Do czego potrzebne jest dzieciństwo?

— Dlaczego o to pytasz?

— A dlaczego dorośli zawsze odpowiadają pytaniem, kiedy nie potrafią odpowiedzieć na zadane im pytanie? Idę spać!

Wstała, ale Philip złapał ją za rękę i zmusił do pozostania.

— Dlatego że w ten sposób można zyskać na czasie! Myślisz, że to łatwe pytanie?

— To nie jest odpowiedź!

— Jest tyle różnych rodzajów dzieciństwa, że bardzo trudno to sprecyzować, daj mi trochę czasu i sama się zastanów, jaka jest twoja definicja.

— To ja zadałam ci pytanie.

- Całe moje dzieciństwo spędziłem z twoją matką.

— Nie o to pytałam.

— Chcesz, żebym ci opowiadał o jej dzieciństwie! Trochę się w nim dusiła, jak wszystkie dzieci, którym życie kazało zbyt szybko dojrzeć. Tak jak ty była więźniem pozorów i tej cholernej klepsydry, której ziarenka nie opadają wystarczająco szybko. Spędzała dni na oczekiwaniu jutra, cały czas marzyła o starości.

— Była nieszczęśliwa?

— Była porywcza. Niecierpliwość zabija dzieciństwo.

— No to jak to jest?

— No więc dzieciństwo, bo o to pytasz, staje się nieznośnie długim torem przeszkód, tak jak teraz dla ciebie, prawda?

— To dlaczego nie można być od razu dorosłym?

— Bo dzieciństwo także ma swoje zalety. Służy nam do budowania fundamentów naszych marzeń, naszego życia. Dzięki pamięci dzieciństwa będziesz znajdować siłę, opanowywać złość, podtrzymywać uczucia i często też poszerzać margines strachu i własnych ograniczeń.

— Nie lubię już swojego dzieciństwa.

— Wiem, Liso, i obiecuję ci, że zrobię wszystko, żeby ci je umilić, będzie jednak kilka ścisłych reguł.

Z samego rana siedzieli już na końcu pomostu. Philip, uzbrojony w cierpliwość, błagał Lisę, kiedy po raz czwarty plątała żyłkę w kołowrotku, żeby przynajmniej udawała, że jest zadowolona; przypominał, że sama chciała łowić

ryby w czasie tej wycieczki we dwoje. Sucho, jakby ze zgrzytem, wypowiedziała dwa słowa: „W morzu!” i dodała: „Nie w jeziorze!”. Luźno puściła żyłkę na wodę i obserwowała niewielkie fale zbiegające się wokół podpór pomostu.

— Opowiedz mi o tamtym kraju! — poprosił Philip.

— Co mam opowiedzieć?

— Opowiedz, jak tam żyłaś.

Chwilę milczała, po czym cicho odpowiedziała:

— Z mamą. — I zamilkła.

Philip przygryzł wewnętrzną stronę policzka. Odstawił wędkę, usiadł obok Lisy, objął ją ramieniem.

— Moje pytanie nie było zbyt inteligentne, przepraszam cię, Liso.

— Chciałaś, żebym ci opowiadała o niej! Chcesz wiedzieć, czy mówiła o tobie? Nigdy! Nigdy mi o tobie nie mówiła!

— Dlaczego jesteś taka nieprzyjemna?

— Chciałabym wrócić do domu! Nie za bardzo was kocham!

— Daj nam trochę czasu, tylko troszeczkę czasu...

— Mama mówi, że miłość przychodzi natychmiast albo nie przychodzi wcale.

— Twoja mama ze swymi kategorycznymi opiniami była bardzo samotna!

Następnego dnia Lisa złapała coś tak wielkiego, że

o mało nie upadła do przodu na pomost. Philip, podekscytowany, asekurował ją obiema rękami. Po zacieklej walce wyciągnęli na brzeg ogromny bukiet wodorostów. Philip przyglądał mu się z troską i po chwili zauważył, że w policzkach Lisy zarysowują się dołeczki. I zaraz na pomoście rozległ się wybuch dźwięcznego śmiechu — takie są zalety dzieciństwa.

Czasami Lisę nawiedzały koszmarne sny. Brał ją wówczas w ramiona i kołysał; często wtedy myślał o koszmarach, jakie będą ją nawiedzały w dorosłym życiu. Niektóre rany dzieciństwa się nie goją, w miarę dorastania czasem o nich zapominamy, ale później powracają.

Pod koniec tygodnia wrócili do domu. Thomas ucieszył się na ich widok, dosłownie nie odstępował ich na krok. Kiedy Lisa zaszywała się w swym pokoju, przychodził do niej i siadał na podłodze przy oknie; wiedział dobrze, że warunkiem jego obecności w pokoju jest milczenie. Od czasu do czasu spoglądała na niego z rozczeniem, ale zaraz potem na nowo pogrążała się w myślach. Kiedy była w dobrym humorze, pozwalała mu wejść do siebie do łóżka i opowiadała historie z innego świata, gdzie ludzie boją się nawałnic, a wiatr unosi pył pomieszany z sosnowym igliwem.



Minęło lato. Lisa powtarzała klasę, rozpoczęcie roku szkolnego było początkiem zagmatwanego okresu wieku

młodzieńczego. Mało albo wcale nie przebywała z koleżankami, jak twierdziła, za dużo od niej młodszymi. Prawie bez przerwy pogrążona w książkach, które sama sobie wybierała, nie cierpiała z powodu samotności.

Pewnego grudniowego dnia Thomas usłyszał, jak jedna z koleżanek nazwała jego siostrę „wstrętną cudzoziemką”; natychmiast kopnął dziewczynkę w nogę. Nastąpił szaleńczy pościg po korytarzach, w końcu — złapany za nogi — Thomas upadł, rozcinając sobie górną wargę. Krew wypełniła mu usta. Podbiegła Lisa; kiedy zobaczyła go w takim stanie na podłodze, mocno schwyciła za włosy tę, która ją obraziła, i posłała ją pod ścianę jednym ciosem pięści o niekontrolowanej sile. Dziewczynka okręciła się i upadła, z nosa pociekła jej krew. Thomas wstał. Był przerażony, nie poznawał Lisy. Tymczasem ona wykrzykiwała jakieś groźby po hiszpańsku, ściskając gardło swej ofiary. Thomas rzucił się na nią, błagając, żeby puściła tamtą dziewczynę. Twarz dygotała Lisie ze złości; w końcu zwolniła uścisk, wymierzyła ostatniego kopniaka i wyszła, nie oglądając się za siebie. Na piętnaście dni została relegowana ze szkoły, w domu zakazano jej wychodzenia z pokoju. Drzwi były zamknięte, Lisa nie wpuszczała Thomasa, nawet kiedy przynosił owoce. Tym razem Mary — po raz pierwszy — zaprowadziła w domu porządek. Wykorzystując swe dziennikarskie umiejętności, wydobyła z syna relację o całym zdarzeniu. Następnego dnia Mary umówiła się z dyrek-

torem liceum, zażądała natychmiastowego przyjęcia pasierbicy z powrotem do szkoły i przeprosin dziewczynki, która ją znieważyla. Lisa w milczeniu wróciła do szkoły. Nikt już jej nie obrażał, Thomas zaś przez wiele dni obnosił się dumnie ze swą spuchniętą i zsiniałą wargą.



W końcu stycznia Lisa obchodziła jedenaste urodziny. Jedynie dwie koleżanki z klasy przyjęły zaproszenie na urodzinowy podwieczorek urządony przez Mary. Wieczorem rodzina zjadła na kolację resztki ledwie napoczętego poczęstunku. Lisa została w swoim pokoju. Mary sprzątnęła kuchnię, zdjęła girlandy w salonie, a potem zaniósła małej coś do zjedzenia. Siedząc przy łóżku, tłumaczyła, że Lisa powinna bardziej się udzielać w szkole, a wtedy zyska wielu przyjaciół.



Pierwsze dni wiosny zwabiły słońce, jednak powietrze z rana było jeszcze mroźne. Późnym popołudniem Joannę i Mary od godziny już siedziały w salonie przy herbacie, kiedy Lisa wróciła ze szkoły. Trzasnęła drzwiami wejściowymi, ledwie mruknęła „dobry wieczór” i poszła na górę. Stanowczy głos Mary zatrzymał ją na szóstym stopniu schodów. Odwróciła się, ukazując poplamione spodnie i twarz umazaną błotem. Jej buty też nie wyglądały lepiej.

— Kąpiesz się w kałużach, że prawie co dzień wracasz w takim stanie? Mam kupić pralnię, żeby sprostać twoim zabawom? — spytała Mary z wściekłością.

— Właśnie idę się przebrać — odpowiedziała Lisa ze zniecierpliwieniem.

— Mówię ci to po raz ostatni! — krzyknęła Mary, kiedy Lisa zniknęła za zakrętem schodów. — I zaraz zejdziesz zrobić sobie kanapkę. Mam już dość tego twojego ciągłego niejedzenia! Słyszałaś?

Z głębi korytarza doleciało obojętne „nie”, a zaraz potem trzaśnięcie drzwiami. Mary wróciła i usiadła obok przyjaciółki, głęboko wzdychając. Joannę, ubrana jak spod igły, olśniewająca w swym beżowym kostiumie, delikatnie przeciągnęła ręką po włosach, aby sprawdzić, czy żaden kosmyk nie odstaje, po czym uśmiechnęła się życzliwie.

— Na co dzień to chyba nie jest takie proste, żal mi ciebie — powiedziała.

— Tak, a kiedy skończę z nią, przychodzi kolej na Thomasa, który bez przerwy ją naśladowuje.

— Z nią jest ci chyba wyjątkowo trudno.

— Dlaczego?

— Dobrze wiesz, co chcę powiedzieć, my wszystkie w mieście wiemy, jesteśmy pełne podziwu.

— O czym ty mówisz, Joannę?

— Dziecko w tym wieku jest zawsze trudne dla matki, a Lisa w dodatku pochodzi z innego kraju, nie jest taka jak

inne dzieci. Wyrównać te różnice, oswoić ją, tak jak ty to robisz, to naprawdę coś zdumiewająco wspaniałomyślnego ze strony macochy.

Słowa Joannę zadźwięczały w umyśle Mary, jakby dostała młotkiem w głowę.

— To znaczy, że moje stosunki z Lisą są przedmiotem rozmów towarzyskich?

— Rozmawiamy o tym, oczywiście, przecież to niebanalna historia. To dla nas frajda! Wybacz mi tę uwagę, to nie było miłe z mojej strony. Nie, chcę powiedzieć, że ci współczujemy, to wszystko.

Irytacja, która ogarnęła Mary przy pierwszej wypowiedzi Joannę, teraz przekształciła się w głuchą złość. Nastąpił wybuch. Zbliżyła twarz do twarzy Joannę i powiedziała, parodiując jej ton:

— A gdzie wy mi tak bardzo współczujecie, kochanie? U fryzjera? W poczekalni u ginekologa albo dietetyka, a może na kanapce u psychoanalityka? Albo w czasie masażu, podczas klepania? Powiedz mi, naprawdę chcę to wiedzieć, w jakich chwilach nudzicie się aż do tego stopnia, że mi tak bardzo współczujecie? Wiedziałam, że wasze życie jest nudne jak flaki z olejem, że czas nic tu nie zmieni, ale żeby aż tak?

Joannę odchyliła się na oparcie kanapy.

— Nie denerwuj się tak, Mary, to śmieszne, przecież w tym, co powiedziałam, nie było nic złośliwego, wszystko

pojmujesz na opak, chciałam tylko wyrazić życzliwość, jaką dla ciebie mamy.

Mary wstała i chwyciła Joannę za ramię, zmuszając ją także do podniesienia się z miejsca.

— Wiesz, Joannę, twoja życzliwość też mnie cholernie nudzi; nie będę zresztą ukrywać, wszystkie okropnie mnie nudzicie, a ty, przewodnicząca waszego klubu niedopieszczonych, najbardziej. Posłuchaj uważnie, dam ci teraz lekcję słownictwa. Jeśli wyteżysz ten swój ptasi mózdzek i skupisz się na tym, co powiem, może uda ci się powtórzyć to bez błędu swoim przyjaciółczkom. Oswaja się zwierzę, a dziecko się wychowuje! Co prawda, kiedy widzę te twoje przyjaciółki na ulicy, zdaję sobie sprawę, że trudno ci uchwycić różnicę, ale mimo wszystko spróbuj, a zobaczysz, że nie będzie ci tak nudno. A teraz wynoś się z mojego domu, bo za dwie minuty wywalę cię stąd kopniakiem.

— Chyba całkiem postradałaś zmysły?

— Tak! — krzyknęła Mary. — Dlatego właśnie jestem zamężna od dłuższego czasu i wychowuję dwoje dzieci, a w dodatku jestem szczęśliwa. Wynoś się! Precz!

Gwałtownie zamknęła drzwi za Joannę, która pobiegła alejką. Dla zaczerpnięcia oddechu i rozproszenia zaczynającej się migreny Mary oparła czoło o ścianę. Zaczynała się już otrząsać z gniewu, gdy nagle drgnęła, słysząc skrzypnięcie schodów; odwróciła się.

Lisa, ubrana w nieskazitelnie czysty dres, weszła do

kuchni, z której wyłoniła się po kilku minutach z talerzem w ręku. Między cztery kromki chleba tostowego posmarowanego majonezem włożyła szynkę i kawałki kurczaka. Kanapka była tak gruba, że — aby się nie rozleciała — przekłuła ją pałeczką od Chińczyka, który dostarczał jedzenie do domu, gdy Mary nie miała ochoty gotować. Pośrodku schodów, tam gdzie stała przed chwilą, słuchając Mary, Lisa odwróciła się i z szerokim, pełnym dumy uśmiechem powiedziała:

— Teraz to jestem głodna!

Wróciła do swojego pokoju.



W lipcu wszyscy czworo wyjechali na wakacje w Góry Skaliste. Góry, w których Lisa odnajdywała coś w rodzaju brakującej jej wolności, przybliżyły ją do Thomasa. Wspinając się, wdrapywała na drzewa, obserwowowała zwierzęta czy łapała różne owady, nie dając się uządlić, robiła to aż do zupełnego wyczerpania, wzbudzając wielki podziw chłopca, który każdego dnia coraz bardziej widział w niej swoją starszą siostrę. Mary, choć nie przyznawała się do tego przed samą sobą, cierpiała z powodu coraz większego porozumienia łączącego dzieci — ograniczało to czas, jaki zwykle spędzała z synem. Wcześniej rano Lisa wciągała go w dzień pełen przygód. Ona odgrywała rolę szefa obozowiska Korpusu Pokoju, a chłopiec udawał ofiary huraganu.

Od owego wieczoru, gdy w czasie burzy uspokajał ją prawie przez całą noc i zachował w tajemnicy nerwowe drgawki, jakie nią wstrząsały, został mianowany adiutantem. Następnego dnia o świcie, kiedy ziemia była jeszcze nasiąknięta rosą, Lisa przemieszała ją z igliwem i głęboko wciągnęła nosem zapach. W czasie śniadania wręczyła tę mieszaninę Philipowi, z dumą obwieszczając, ku oburzeniu Mary, że w jej kraju pachnie podobnie, ale jeszcze ładniej.

Miesiąc upłynął bardzo szybko; po powrocie na przedmieście Nowego Jorku dzieci czuły się jak uwięzione. Początek roku szkolnego upływał w monotonii coraz krótszych dni, gdy jesienne czerwienie nie kompensują już szarości nieba, które rozjaśni się dopiero w nadziei na powrót lata.



Na Gwiazdkę Lisa dostała w prezencie neseser z przyborami do malowania, zawierający ołówki, węgle, pędzle i tubki z gwaszem. Natychmiast zaczęła malować ogromny fresk na papierze przypiętym pinezkami do ściany w swoim pokoju.

Obraz, który świadczył o talencie plastycznym, przedstawiał jej osadę. Namalowała główny plac z dominującym nad nim kościółkiem, uliczkę prowadzącą do szkoły, wielki magazyn z otwartą bramą, z jeepem zaparkowanym od frontu. Na pierwszym planie, przed starym domem na

skraju stromego brzegu, stali Manuel, señora Cázales i osiołek.

— To nasza osada w górach. Mama jest w domu — dodała.

Mary zmusiła się do obejrzenia „dzieła” i natychmiast powiedziała, czując irytację w spojrzeniu Philipa:

— To jest bardzo dobre, przy odrobinie szczęścia za dwadzieścia lat ja także znajdę się na obrazie, wtedy rzecz będzie trudniejsza, pokażą się zmarszczki, ale ty będziesz miała więcej doświadczenia w malowaniu. Jestem pewna, że jak zechcesz, to ci się uda... Mamy jeszcze czas.



16 stycznia 1991 roku, o godzinie dziewiętnastej czternaście, serce Ameryki zaczęło bić w rytm pocisków spadających na Bagdad. Zgodnie z ultimatum, które upłynęło poprzedniego dnia o północy, Stany Zjednoczone wspólnie z głównymi siłami świata zachodniego znalazły się w stanie wojny z Irakiem, mającej na celu oswobodzenie Kuwejtu. Dwa dni później linie lotnicze Eastern Airlines zamknęły swe podwoje. Żaden ich pasażer nie poleci już do Miami ani do jakiegokolwiek innego tranzytowego portu lotniczego. Sto godzin po rozpoczęciu działań wojennych sprzymierzone armie zakończyły starcia. Stu czterdziestu jeden żołnierzy amerykańskich, osiemnastu brytyjskich, dziesięciu egipskich, ośmiu z emiratów i dwóch francuskich

poległo na polu walki, wojna technologiczna zabiła sto tysięcy irańskich wojskowych i cywilów. W końcu kwietnia Lisa wycięła z „New York Timesa” artykuł, którego nauczyła się prawie na pamięć, a potem wkleiła do dużego albumu. Pisano tam o cyklonie, który zaatakował wybrzeża Bangladeszu, zabijając dwadzieścia pięć tysięcy osób. Pod koniec wiosny Lisę przywiózł do domu samochód policyjny, bo została złapana na malowaniu flagi na pniu drzewa za dworcem. Philip prosił, aby nie wysyłano doniesienia do sędziego, udowodnił policjantom — z encyklopedią w ręku — że była to flaga Hondurasu, a nie irańska. Lisa na cały weekend powędrowała do swego pokoju, a Mary na cały miesiąc zabrała malarski neseser.

Rok 1991 pysznił się rozkwitającymi właśnie demokratycznymi nadziejami: 17 czerwca w Afryce Południowej zniesiono zasadę apartheidu, 15 czerwca wybrano Borysa Jelcyna na prezydenta Federacji Rosyjskiej, co było podzwonnym dla ZSRR. W listopadzie walki zapoczątkowane przez siedemset jugosłowiańskich pojazdów pancernych, które otoczyły Vukovar, Osijek i Vinkovci, zapowiedziały wybuch innej wojny, mającej nękać serce starej Europy.



Rok 1992 zaczął się srogą zimą. Za kilka tygodni Lisa miała obchodzić trzynaste urodziny. Ze wzgórz Montclair można było oglądać Nowy Jork w szarobiałej

szacie. Philip zgasił światło w swoim gabinecie i poszedł do sypialni. Położył się obok śpiącej już żony, nieśmiało pogłaskał ją po plecach, po czym odwrócił się na drugi bok.

— Brakuje mi twojego spojrzenia — powiedziała w ciemności. Przez chwilę milczała, wreszcie zdobyła się na szczerłość w tę styczniową noc. — Widzę przecież, jak ci błyszczą oczy, kiedy patrzysz na Lisę. Gdybym tylko mogła otrzymać choć cząstkę tego blasku. Od śmierci Susan twój wzrok przygasa, gdy na mnie patrzysz, coś w tobie umarło, coś, czego nie potrafię ożywić.

— Nie, mylisz się, robię, co mogę, to nie zawsze jest łatwe, a ja nie jestem doskonała.

— Nie mogę ci pomóc, Philipie, bo drzwi są zamknięte. Czy przeszłość bardziej się dla ciebie liczy niż teraźniejszość i przyszłość? Jak to łatwo poddać się rezygnacji z powodu tęsknoty, co za wspaniałe bierne cierpienie, godna podziwu powolna śmierć, ale mimo wszystko śmierć. W pierwszych dniach naszej znajomości opowiadałeś mi swoje sny, marzenia, myślałam, że mnie wzywasz do siebie, zjawiłam się, a ty pozostałeś więźniem swojej wyobraźni; ja natomiast miałam wrażenie, jakby ktoś wypędził mnie z mojego własnego życia. Nikomu cię nie zabrałam, Philipie, kiedy cię spotkałam, byłeś sam, pamiętasz?

— Dlaczego mi to mówisz?

- Dlatego że odchodzisz ode mnie i nie ja jestem tego przyczyną.

- Dlaczego nie chcesz się zbliżyć do Lisy?

— Bo do tego trzeba dwojga, a ona także sobie tego nie życzy. Dla ciebie to nic trudnego, miejsce ojca było wolne.

— Ale przecież w jej sercu jest tyle miejsca.

— I ty to mówisz? Ty, który nie potrafiłeś, pomimo całej mojej miłości, zrobić mi trochę miejsca w swoim sercu?

— Tak bardzo cię ranię?

— O wiele bardziej, Philipie. Nie ma gorszej samotności niż ta, którą przeżywa się we dwoje. Chciałam odejść, mimo że cię kocham. Co za okropna niespójność, jak to urąga życiu! Ale kocham cię, więc ciągle tu jestem, a ty mnie nie dostrzegasz, widzisz tylko siebie, swój ból, swoje wątpliwości. I nie jesteś nawet miły, a jednak cię kocham.

— Chciałaś mnie opuścić?

— Myślę o tym każdego ranka, od pierwszych chwil naszych wspólnych dni, kiedy patrzę, jak pijesz kawę w milczeniu swego azylu, jak przywdziewasz tę swoją samotność, jak zmywasz zapach mojej skóry wodą, która leci za długo, a ja wiem, jak daleko od nas jesteś, czy to pod prysznicem, czy też kiedy rzucasz się w stronę dzwoniącego telefonu, jakbyś widział w nim kolejne okienko, przez które można uciec jeszcze dalej. A ja ciągle trwam,

dźwigając ten cały ocean szczęścia, o którym tak marzyłam, w którym mieliśmy się nurzać.

— Po prostu zagubiłem się trochę — bronił się nieśmiało.

— Nie wyciągasz wniosków z żadnej lekcji, Philipie. Obserwuję cię, kiedy myślisz o upływie czasu, kiedy dotykasz palcami zmarszczek na twarzy. Od pierwszego dnia wiedziałam, że będę cię także kochać, gdy się zestarzejesz, wiedziałam, że chcę z tobą spędzić całe życie; myśl o nieskończonych latach u twego boku dawała mi szczęście, bo po raz pierwszy nie bałam się wieczności ani upływającego czasu. Kiedy wchodziłeś we mnie, czułam twą siłę i jednocześnie słabość, uwielbiałam to połączenie. Ale nie mogę sama wymyślać naszego życia, nikt tego nie potrafi. Życia się nie wymyśla, kochany, trzeba mieć odwagę żyć. Wyjadę na kilka dni. Jeśli zdam się na ciebie, będę zgubiona.

Philip ujął ręce Mary i ucałował je.

— Wraz z nią umarło moje dzieciństwo; nie potrafię się z nim pożegnać.

— Susan jest tylko pretekstem, twoje dzieciństwo także. Możesz w nieskończoność przedłużać tę część twojego życia, każdy może. Szukamy ideału, przywołujemy go, czatujemy na niego, a kiedy się pojawia, obawiamy się go, odczuwamy strach, żernie staniemy na wysokości naszych własnych marzeń, strach przed włączeniem ich w rzeczywistość, za którą stajemy się odpowiedzialni.

Bardzo łatwo jest zrezygnować z dorosłości, zapomnieć o błędach, o pomyłki oskarżać przeznaczenie, które usprawiedliwia nasze lenistwo. Gdybyś wiedział, jak bardzo czuję się zmęczona. Miałam odwagę, Philipie, kochać cię w tym twoim życiu, które było tak bardzo powikłane, jak mówiłeś na początku. Czym powikłane? Twoją udręką, twoimi nierozwiązanymi sprawami? A co, myślałeś, że ty jeden masz na to monopol?

— Jesteś mną zmęczona?

— Cały ten czas spędziłam na słuchaniu ciebie, podczas gdy ty słuchałeś siebie samego, ale myśl, że mogę cię uszczęśliwić, przepełniała mnie radością; nie przejmowałam się sprawami przyziemnymi. Nie bałam się ani twojej szczoteczki do zębów w mojej szklance, ani dźwięków, jakie wydajesz przez sen, ani zmiętej twarzy rano; moje marzenie kazało mi nie zwracać na to uwagi. Ja także musiałam nauczyć się walczyć z chwilami samotności, z pokusami. Ale czy ty to dostrzegałeś? Usiłowałam przyznać ci rację, że twój świat niekiedy kręci się w drugą stronę, ale czy chcesz, czy nie, kręci się w jedną, jedyną stronę, i czy chcesz, czy nie, ta ziemia będzie cię niosła na swoich barkach i będziesz się kręcił tak jak ona.

— Ale co się stało, że mówisz mi to wszystko?

— No właśnie nic. Wystarczyło, że patrzyłam, jak każdej nocy coraz bardziej się ode mnie oddalasz, że ogląda-

łam twoje plecy, wiedząc już, że zasnąłeś, czułam twoje ręce leniwie przesuwane się po moim ciele. Mój Boże, jakże nienawidziłam tych twoich „dziękuję”, kiedy całowałam cię w szyję. Dlaczego dzisiaj wieczorem nie pracowałeś dłużej? Bardzo bym chciała jeszcze się powstrzymać i nic nie mówić.

— Ale właśnie próbujesz mi powiedzieć, że już mnie nie kochasz.

Mary wstała z łóżka, przed wyjściem z pokoju jeszcze się odwróciła, żeby na niego popatrzeć. Widział jej postać znikającą w mroku korytarza. Począł kilka minut i poszedł za nią. Siedziała na górze schodów i wpatrywała się w drzwi wejściowe na dole.

Ukląkł za nią i niezręcznie objął ją ramionami.

— Chciałam powiedzieć ci coś wręcz przeciwnego — rzekła. Zeszła po schodach i zamknęła za sobą drzwi salonu.



Trudny jest poranek po nocy, która wywołała słowa, jakich człowiek nie chciałby słyszeć, mimo że się ich domyślał. Otulona skórzanym płaszczem Mary walczy na progu domu z przejmującym porannym zimnem. Dziecięce głosy na schodach są coraz bliżej, Mary krzyczy, że czeka w samochodzie, żeby się pospieszyli, bo znowu się spóźnią. Podchodzi Philip, głaszcze ją po szyi.

— Może nie okazuję ci tego tak, jak byś chciała, ale kocham cię naprawdę, Mary.

— Nie teraz, nie przy dzieciach, jeszcze za wcześnie, żeby smażyć naleśniki...

Całuje ją w usta. Na górnym podeście Thomas zaczyna śpiewać na całe gardło:

— Zakochani, zakochani, zakochani!

Lisa trąca go w ramię i mówi tonem autorytatywnym, ale i aroganckim:

— Słuchaj no, Thomas, kiedyś przecież skończysz siedem lat, chyba nie będziesz taki przez całe życie!

Nie czeka na odpowiedź, zbiega po schodach. Wychodząc, bierze klucze z rąk Mary i krzyczy już przed domem:

— To ja na was czekam w samochodzie! — I dodaje cicho, strojąc miny: — Zakochani!

Mary przeszła alejkę, włożyła niewielką walizkę do bagażnika białego samochodu i usiadła za kierownicą.

— Wyjeżdżasz? — spytał Thomas.

— Jadę na kilka dni do mojej siostry do Los Angeles, tata się wami zajmie.

◆◆◆

Mary zostawiła samochód na parkingu i poszła w kierunku dworca lotniczego. Był świeżo odremontowany, lśniący farbą. Jej samolot odlatywał dopiero za trzy godziny, odprawa jeszcze się nie zaczęła. Weszła do baru, usiadła na

wysokim stołku przy kontuarze. Stamtąd obserwowała pasy startowe. Barman o hiszpańskim akcencie podał jej kawę z mlekiem. W ciszy opustoszałej sali oczami wyobraźni przeglądała obrazy z przeszłości: chwilę pierwszego przypadkowego spotkania w mroku sali kinowej, nieoczekiwane słowa wypowiedziane na ulicy, odurzające zmieszanie, niewyraźne uczucia, kiedy każdy wraca do swojego życia po wymianie numerów telefonu. Oczekiwanie podsycające nadzieję, szczegóły przypominające człowieka, który na razie pozostaje nieznany, wzruszenie wywołane pierwszym telefonem, sprawiającym, że następny dzień jest tak bardzo inny, a potem znowu milczenie i niekończący się czas punktowania myśli, których się nie chce odgadywać. Pośrodku tłumu jedno spojrzenie na Times Square w noworoczny wieczór, brama otwierająca się na lodowaty poranek opustoszałej dzielnicy SoHo i znowu oczekiwanie. Intymność wieczorów, które kończyły się za szybą Fanellego, stare drewniane schody, których każdy kolejny stopień jest jakby wyższy niż poprzedni, godziny spędzane przy milczącym telefonie. W tym pochodzie—wspomnienie wszystkiego, co następowało pierwszy raz: bukiet czerwonych róż pozostawionych na klatce schodowej, wstydlive uściski, skrępowanie, które nadaje tak wielkie znaczenie niezdarnym gestom, efemeryczna noc z ciągłym budzeniem się z obawy, aby nie przeszkadzać drugiej osobie, i to ciało, niemogące odnaleźć odpowiedniej pozycji do snu, czy ręka, którą nie wiadomo jak ułożyć.

A kiedy już przyznamy się przed sobą, że miłość zajmuje w naszym życiu miejsce, jakiego się nie spodziewaliśmy, nadchodzą pierwsze obawy: że druga osoba rano odejdzie, że nie zadzwoni, a także strach przed zwykłym przyznaniem się, że kochanie to zależność — nawet u najbardziej opornych. Pierwsze chwile życia we dwoje: coraz częstsze wspólne śniadania, pierwsze weekendy, niedzielne wieczory, gdy druga osoba jednak zostaje i w ten sposób porzuca swe dotychczasowe samotnicze nawyki. Bezwstydne fanfaronady, gdy snuje się plany, śledząc spojrzenie partnera w gorączkowym oczekiwaniu na uśmiech czy chwilę milczenia. W końcu prawdziwe życie we dwoje, jak długo oczekiwane wyzwolenie. Mary widzi go u wejścia do kościoła w owym uroczystym stroju, który symbolizuje niepowtarzalność tej chwili. Dlaczego nie poszli do ślubu w zwykłych ubraniach, przecież to sobie obiecali? Swobodnie ubrani byli wtedy, gdy zabrał ją do Montclair obejrzeć dom, w którym teraz mieszkają. Tutaj, w intymnym nastroju łazienki, zmieniający kolor pasek papieru odmienił barwy ich życia; poświata i zapach pewnego popołudnia, gdy malowali ściany w przyszłym pokoju dziecka, które rosło w jej brzuchu. Jego spojrzenie, wymykające się czasem we wspomnienia dla niej niedostępne, miłość, jaką chciała mu dawać, aby z powrotem go sprowadzić do siebie. Drgnęła, gdy kelner wyrwał ją z zamyślenia.

— Może podać jeszcze jedną kawę? Przepraszam, nie chciałem pani przestraszyć.

— Nie, dziękuję — odpowiedziała. — Zaraz mam Samolot.

Zapłaciła i wyszła z baru. Przy okienkach TWA zauważyła rząd kabin telefonicznych, wsunęła w otwór monetę dwudziestopięciocentową i wykręciła numer. Philip odebrał zaraz po pierwszym sygnale.

— Gdzie jesteś?

— Na lotnisku.

— O której masz samolot?

Pytanie zostało zadane głosem smutnym i łagodnym. Odczekała kilka sekund, zanim odpowiedziała.

— Masz dzisiaj czas na kolację? Zadzwoń po opiekunkę do dzieci i zamów stolik u Fanellego, a ja zamienię tydzień w słońcu na jeden dzień zakupów. Ubierzesz się w dzinsy i ten sweter z okrągłym wycięciem, niebieski, tak wyglądasz najbardziej seksownie. Będę czekać na rogu Mercer i Prince.

Odłożyła słuchawkę. Z uśmiechem poszła w kierunku parkingu.

Spędziła dzień na pielęgnowaniu urody. Fryzura, manicure, pedicure, kosmetyczka, wszystko co trzeba. Wyciągnęła z torebki bilet samolotowy, za który dostanie zwrot pieniędzy, sprawdziła cenę i obiecała sobie, dla spokoju sumienia, że nie przekroczy figurującej w lewym rogu

sumy. Kupiła płaszcz, bawełnianą bluzkę, a dla Thomasa sweter.

W restauracji Fanellego nalegała, żeby usiąść w pierwszej sali. Przez cały czas kolacji Philip był bardzo troskliwy. Walcząc z lodowatym wiatrem, szli później brukowanymi ulicami swej dawnej dzielnicy i nie zdając sobie sprawy, znaleźli się pod domem, w którym kiedyś mieszkali.

— Musimy wracać — powiedziała. — Jest już późna pora dla opiekunki.

— Zamówiłem ją na całą noc, jutro odprowadzi dzieci do szkoły, a my idziemy do hotelu: zarezerwowałem dla nas pokój.

W intymności zmiętej pościeli, zanim zmorzył ich sen, mocno przytuliła się do Philipa i objęła go obiema rękami.

— Cieszę się, że nie pojechałam do Los Angeles.

— Ja też się cieszę — odpowiedział. — Mary, zrozumiałem, co mi wczoraj powiedziałaś, ale ja także mam do ciebie prośbę. Chciałbym, żebyś się postarała zaprzyjaźnić z Lisą.



Upłynęło pięć pór roku, Mary się starała. Philip rano odwoził dzieci do szkoły, Mary przyjeżdżała po nie wieczorem. Thomas nie opuszczał ani na krok starszej siostry, której był bardzo oddany. W bibliotece w Montclair w śro-

dowe popołudnia cały swój wolny czas poświęcał na wyszukiwanie dla niej wszystkiego, co dotyczy Hondurasu. Robił fotokopie artykułów prasowych, które wklejała do swojego dużego zeszytu. Pomiędzy artykułami umieszczała rysunki, niekiedy szkicowane węglem, czasem czarną kredką. Lisa chodziła z Thomasem na mecze baseballu, siadała na stopniach i kiedy chłopiec miał piłkę, wszyscy dziwili się, że Lisa potrafi tak głośno dopingować. W sierpniu wyjechali na letni obóz. Philip z Mary wynajęli w Hampton niewielką willę nad wodą. Na zimowe wakacje wysłali dzieci na zimowisko, a sami jak para zakochanych ukryli się w domku nad brzegiem zamrożonego jeziora w Adirondack. Podział na dwie pary rozpadał się powoli, ale z czasem tworzył się nowy: rodzice z jednej strony, dzieci z drugiej. Lisa także się zmieniała; z tygodnia na tydzień przestawała być dziewczynką i zaczynała nabierać wyglądu młodej panienki.



Czternaste urodziny obchodziła w końcu stycznia roku 1993. Osiem przyjaciółek z klasy przyszło na zabawę. Jej cera stawała się coraz ciemniejsza, a w oczach coraz wyraźniej było widać niezależność i silny charakter. Mary chwilami czuła się skrępowana rozkwitem urody Lisy, szczególnie gdy szły razem ulicą. Pełne pożądania spojrzenia młodych ludzi, a także tych starszych, przypominały

jej o upływie czasu, odczuwała coś w rodzaju zazdrości, z czym nie chciała się pogodzić. Arogancja i niegrzeczne odpowiedzi Lisy były często pretekstem do kłótni; wtedy Lisa zamykała się w swoim pokoju, gdzie mógł przebywać tylko jej brat, i zagłębiała się w lekturze tajemnego zeszytu, schowanego zwykle pod materacem. Niewiele uwagi poświęcała nauce, zadowalała się minimum, żeby tylko osiągnąć średnie oceny. Ku zaniepokojeniu Philipa nie kupowała płyt ani komiksów, nie malowała się i nigdy nie chodziła do kina. Całe kieszonkowe oszczędzała, wkładała je do niebieskiego pluszowego królika pełniącego funkcję skarbonki, bo na grzbiecie miał ukryty mały zamek błyskawiczny. Wydawało się, że Lisa nigdy się nie nudzi, nawet wtedy gdy przez długi czas siedzi ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń. Żyła w swoim własnym świecie, a tylko sporadycznie z tymi, którzy ją otaczali. Im więcej czasu upływało, tym bardziej oddalała się jej wymarzona gwiazda.

Nadejście lata zapowiadało koniec roku szkolnego. Dobiegał kresu piękny czerwiec, jutro będzie święto: szkolny piknik. Od trzech dni Philip, Mary i Thomas brali udział w przygotowaniach.

Thomas ostatni usiadł do śniadania. Lisa nie chciała nic jeść, Mary musiała w pośpiechu posprzątać kuchnię. Placki owocowe zawinięte w celofan zostały płasko rozłożone w bagażniku. Krótkimi dźwiękami klaksonu Philip zwoływał towarzystwo do samochodu. Silnik już był włączony, gdy zapięto ostatni pas bezpieczeństwa. Dojazd do szkoły zajmował zaledwie dziesięć minut, Mary nie rozumiała więc powodu takiego zniecierpliwienia. W drodze Philip ciągle spoglądał w lusterko wsteczne. Jego rozdrażnienie było tak wyraźne, że Mary musiała go spytać, o co chodzi; z trudem powstrzymując irytację, zwrócił się do Lisy:

— Od dwóch dni wszyscy się szarpiemy, żeby przygotować twoją szkolną uroczystość, a ty jedna zachowujesz się tak, jakbyś miała to wszystko gdzieś.

Lisa, zatopiona w obserwowaniu przez okno obłoków, nie raczyła mu odpowiedzieć.

— Słusznie robisz, że milczysz — mówił dalej Philip. — Rzeczywiście nie ma czym się chwalić z twoimi wynikami. Mam nadzieję, że w przyszłym roku bardziej się zaangażujesz w naukę, bo jeśli nie, wiele zawodów będzie dla ciebie niedostępnych.

— Do tego zawodu, który chcę wykonywać, moje stopnie w zupełności wystarczą!

— A to dopiero nowina, nareszcie czegoś chcesz, nie traćmy nadziei! Słyszycie? Nareszcie jakieś pragnienie!

— Co wam się obojgu stało? — wtrąciła Mary. — Uspokoicie się wreszcie?

— Dziękuję za wsparcie. No więc co to za fantastyczna praca, gdzie czekają na ciebie z otwartymi rękami, praca, do której wystarczą bardzo średnie wyniki w nauce? Drzę z niecierpliwości, żeby się dowiedzieć!

Szeptem odpowiedziała, że kiedy będzie pełnoletnia, wstąpi do Korpusu Pokoju i wróci do Hondurasu, żeby robić tam to samo, co robiła jej matka. Mary, która poczuła skurcz w żołądku, odwróciła twarz do okna, żeby nie zdradzić swego poruszenia. Samochód z piskiem opon stanął na poboczu. Thomas wbił się w siedzenie, kurczowo trzymając klamrę pasa bezpieczeństwa. Philip odwrócił się, kipiąc ze złości:

— Sama wpadłaś na ten pomysł? Cóż za dowód ogromnego przywiązania do nas. Myślisz zapewne, że na tym polega prawdziwa szlachetność? Wydaje ci się, że ucieczka przed własnym życiem to rodzaj odwagi? A widzisz, do czego to prowadzi? Podoba ci się taki model życia? Gdzie są świadkowie tego szczęścia, których za sobą zostawiła? Nigdy tam nie pojedziesz, słyszysz? Mogę ci wytłumaczyć, co się dzieje, kiedy człowiek rezygnuje z własnego życia...

Mary ścisnęła męża za rękę.

— Przestań! Nie masz prawa jej tego mówić! Nie rozmawiasz z Susan, zdajesz sobie z tego sprawę?

Philip wysiadł z samochodu, trzaskając drzwiami. Mary odwróciła się do Lisy i pogłaskała ją po twarzy — jej oczy były zaczerwienione od łez strachu; Mary pocieszała ją cichym, szczerym głosem.

— Jestem z ciebie dumna. To, co chcesz robić w życiu, będzie wymagało ogromnej odwagi. Już teraz jesteś podobna do matki, masz na pewno powody, żeby tego chcieć; to była wspaniała kobieta. — Po krótkiej chwili milczenia dodała: — Masz dużo szczęścia. Chciałabym móc tak podziwiać swoich rodziców, marzyć, żeby być taka jak oni.

Mary trąbiła klaksonem, aż Philip znowu usiadł za kierownicą. Kazała mu natychmiast ruszać, jej ton nie dopuszczał najmniejszej dyskusji. Znowu oparła twarz o szybę, w jej spojrzeniu był smutek.

W szkole Philip nie brał udziału w żadnych zabawach, nie chciał usiąść, kiedy rozdawano świadectwa, w czasie poczęstunku nie wypowiedział ani słowa, tak jak i przez resztę popołudnia. Na Lisę nawet nie spojrzał, odtrącił jej rękę wyciągniętą do zgody pod koniec uroczystości. Mary usiłowała go rozśmieszyć swoim unoszeniem brwi, ale na próżno. Uważała, że zachowuje się dziecinnie. Zwróciła na to uwagę Thomasa i przez resztę czasu zajmowała się Lisą, bo wiedziała, że ten dzień jest dla niej zmarnowany. W drodze powrotnej nastrój wyraźnie kontrastował z atmosferą zabawy, która się właśnie skończyła.

Po powrocie do domu Philip natychmiast poszedł na górę i zamknął się w swoim gabinecie. Mary zjadła kolację z dziećmi w raczej dusznej atmosferze. Po wysłaniu ich do łóżek poszła się położyć. Ciężko wzdychając, naciągnęła kołdrę na ramiona. Rano, kiedy otworzyła oczy, ujrzała puste łóżko. Na kuchennym stole znalazła kartkę z paroma słowami. Philip pojechał pracować do biura, wróci późnym wieczorem, niech na niego nie czekają.

Zrobiła śniadanie i zaczęła się przygotowywać do spędzenia tego przedziwnego weekendu. Po południu poszła na zakupy, zostawiając dzieci przed telewizorem.

W supermarkecie ogarnęło ją poczucie ogromnej samotności; nie dała się jednak opanować emocjom, błyskawicznie podsumowała swoje życie: ci, których kocha, są zdrowi, ma dach nad głową i męża, który prawie nigdy nie wpada

w złość, nie powinna się pogrążyć w tym wstrętnym niedzielnym przygnębieniu.

Zdała sobie sprawę, że mówi sama do siebie, kiedy starsza kobieta, przechodząc obok, spytała, czego szuka. Mary odpowiedziała z uśmiechem: „Czegoś, z czego można zrobić naleśniki”. Popchnęła wózek, kierując się w stronę półek z cukrem i mąką. Wróciła do domu około szóstej, obładowana, bo swoje sercowe rany często koła szaleństwem zakupów. Położyła pakunki na kuchennym stole i zwróciła się do Thomasa, grającego w telewizyjną grę w salonie.

— Byliście grzeczni?

Chłopiec przytaknął ruchem głowy. Mary zaczęła odwijać kupione produkty.

— Lisa jest w swoim pokoju? — spytała. t Zajęty grą Thomas nie odpowiedział.

— Zadałam ci pytanie, może zauważyłeś?

— Nie, poszła z tobą!

— Jak to poszła ze mną?

— Wyszła dwie godziny temu, a przedtem powiedziała: „Idę do mamy”!

Mary upuściła owoce, które trzymała w rękach, i schwyciła syna za ramiona.

— Jak powiedziała?

— Mamo, to boli! Tak jak mówiłem, wyszła, mówiąc, że idzie do ciebie.

Jego głos zdradzał zaniepokojenie. Mary zwolniła uścisk. -
Wzięła z sobą torbę?

- Szczerze mówiąc, nie widziałem. Co się stało, mamó?

— Graj, graj, zaraz wracam!

W ogromnym pośpiechu wbiegła na schody, weszła do pokoju Lisy i poszukała skarbonki-królika, która zwykle stała na półce z jasnego drewna. Teraz pusta leżała na stole. Przygryzając dolną wargę, Mary pobiegła do swego pokoju, padła na łóżko, chwyciła telefon i wykręciła numer biura Philipa. Nie odpowiadał. Przypomniała sobie, że jest weekend, nerwowo wybrała numer bezpośredni; odebrał po czwartym dzwonku.

— Musisz natychmiast wrócić do domu, Lisa uciekła, dzwonię na komisariat.

◆◆◆

Philip zaparkował za samochodem policji z Montclair. Alejkę do domu pokonał biegiem. W środku ujrzał Mary siedzącą na kanapie w salonie, obok sierżanta Millera, który coś notował.

Policjant spytał Philipa, czy jest ojcem dziewczynki. Philip spojrział na Mary i skinął głową. Detektyw poprosił go, żeby włączył się do rozmowy. Przez dłuższy czas wypytywał, co ich zdaniem mogło być przyczyną ucieczki. Czy miała chłopca, czy może niedawno z nim zerwała,

czy były w jej wcześniejszym zachowaniu jakieś oznaki zapowiadające taki postępek?

Philip, oburzony, zerwał się z miejsca. Nie odnajdą jego córki, bawiąc się w pytania i odpowiedzi, nie schowała się w salonie, już i tak stracili sporo czasu. Oświadczył, że przynajmniej jedna osoba pójdzie jej szukać, i wyszedł, trzaskając drzwiami. Policjant był zupełnie zbity z tropu. Mary wyjaśniła mu szczególną sytuację Lisy i powiedziała, że poprzedniego dnia mąż pokłócił się z Lisą, że była to pierwsza sprzeczka od chwili, gdy dziecko pojawiło się w ich życiu. Nie wspomniała o tym, co powiedziała Lisie w samochodzie. Uważała, że były to słowa uspokajające, i wątpiła, aby miały być przyczyną ucieczki dziewczynki.

Inspektor schował notes i pożegnał się, prosząc Mary, żeby wstąpiła do niego do biura. Starał się ją pocieszyć: w najgorszym razie dziewczynka zostanie na noc poza domem i wróci nad ranem; ucieczki przeważnie się tak kończą.

Nadchodziła długa noc. Philip powrócił z niczym, miał zdławiony głos; zastał żonę siedzącą przy stole w kuchni. Wziął ją za rękę, szepcząc coś o niepokoju. Położył głowę na jej ramieniu, potem pocałował ją i poszedł do swego pokoju na górze. Śledziła go wzrokiem. Ona także udała się na górę, weszła bez pukania.

— Dobrze wiem, że nie potrafisz zapanować nad sytuacją, i rozumiem to. Niemniej jedno z nas musi coś przedsięwziąć. Zostaniesz w domu, zrobisz kolację dla Thomasa

i będziesz odbierał telefony. Jeśli cokolwiek się wyjaśni, natychmiast zadzwonisz do mnie pod numer samochodowy; pojadę sprawdzić, czego się dowiedzieli.

Nie zostawiła mu czasu na sprzeciw; przez lukarnę gabinetu widział Mary biegnącą alejką, a po chwili znikający za zakrętem samochód.

Wyraz twarzy Millera nie wróżył niczego dobrego; usiadła naprzeciw niego i kiedy zapalił, poczuła gwałtowną ochotę na papierosa. Kilka policyjnych patroli skontrolowało różne miejsca w mieście, gdzie zwykle zbierają się młodzi ludzie, przesłuchano kilkoro przyjaciół Lisy. Teraz policja przypuszcza, że dziewczynka wsiadła do pociągu albo autobusu, żeby pojechać na Manhattan. Inspektor Miller wysłał już faks do centrali Port Authority w Nowym Jorku, która przekaże zawiadomienie o ucieczce do wszystkich komisariatów w mieście.

— A co potem? — spytała.

— Proszę pani, każdy z inspektorów ma na biurku średnio czterdzieści podobnych doniesień. Większość młodych ludzi wraca do domu po trzech lub czterech dniach, trzeba być cierpliwym. Będziemy dalej szukać w Montclair, ale Nowy Jork leży poza naszą jurysdykcją i nie mamy prawa tam interweniować.

— Nie obchodzą mnie wasze administracyjne podziały. Kto osobiście jest odpowiedzialny za odnalezienie mojej córki?

Miller rozumiał jej niepokój, ale nic więcej nie mógł zrobić. Rozmowa była skończona, Mary nie mogła podnieść się z krzesła. Po kilkusekundowym wahaniu Miller otworzył szufladę, wyjął wizytówkę i podał ją Mary.

— Proszę jutro pójść do mojego kolegi, jest detektywem na Midtown South Squad, uprzedzę go telefonicznie.

— A może zadzwoniłby pan do niego teraz?

Miller popatrzył jej w oczy i wybrał numer. Automatyczna sekretarka zarejestrowała połączenie. Już chciał odłożyć słuchawkę, ale Mary nalegała, więc nagrał wiadomość, podając powód swego telefonu. Mary gorąco podziękowała i wyszła z komisariatu.

Pojechała na sam szczyt wzgórz Montclair, skąd widać było Nowy Jork aż po horyzont. Gdzieś pośród milionów migoczących świateł czternastoletnia dziewczynka błąkała się w niepewności nocy. Mary przekręciła kluczyk w stacyjce i wjechała na autostradę prowadzącą do Nowego Jorku.

Na głównym dworcu autobusowym całemu personelowi pokazywała zdjęcie Lisy, które nosiła w portfelu. Nikt nie rozpoznał dziewczynki. Przypomniała sobie o centrum kopiowania, gdzie oprawiała swoją pracę doktorską, kiedy jeszcze mieszkała w mieście. Było otwarte przez całą noc. Natychmiast tam pojechała. Dwudziestoletnia studentka o kręconych włosach dyżurowała w opustoszałym biurze. Mary wyjaśniła, co ją tu sprowadza; dziewczyna pełna współczucia zrobiła jej kawę i zasiadła przy klawiaturze

komputera. Wybrała dział „Osoby zaginione”, wpisała wszystkie dane, jakie podała jej Mary. Kiedy tekst był już wydrukowany, pomogła przykleić zdjęcie, po czym skopiowała ogłoszenie w stu egzemplarzach. Mary wyszła na ulicę, a studentka powiesiła jedną z kartek w witrynie.

Jeździła od dzielnicy do dzielnicy, przemieszczając się z niewielką prędkością. Za każdym razem gdy mijała patrol policyjny, zatrzymywała go, aby dać policjantom kartkę, i prosiła o wyjątkową czujność. O siódmej rano stawiała się w siódmym komisariacie, umundurowanemu policjantowi na portierni podała wizytówkę, którą dostała od Millera. Wziął kartonik; będzie musiała cierpliwie poczekać albo niech przyjdzie trochę później, bo porucznik zaczyna służbę dopiero o ósmej. Usiadła na ławce i chętnie przyjęła kubek kawy, który jej zaproponowano pół godziny później.

Oficer policji kryminalnej zaparkował samochód na parkingu i wszedł drzwiami od tyłu budynku. Miał około pięćdziesięciu lat, jego gęste włosy zaczynały już siwieć. Po wejściu do gabinetu powiesił marynarkę na oparciu krzesła, broń włożył do szuflady. Na telefonie mrugało światelko automatycznej sekretarki, przycisnął więc klawisz, mrużąc coś z niezadowoleniem. Pierwsza wiadomość pochodziła od właściciela mieszkania, które policjant wynajmował: żądał zapłaty, groził, że zawiadomi jego przełożonego. Druga od matki, jak co dzień skarżące się na pacjentkę z sąsiedniego łóżka w szpitalu, trzecia i jedyna

ożywiająca jego ponure spojrzenie była od dawnej przyjaciółki, która przeprowadziła się do San Francisco zaraz po ich rozstaniu, a może nie chciał z nią pojechać i dlatego zerwali? Czwarta i ostatnia pochodziła od jednego z bliskich znajomych, inspektora Millera z policji w Montclair. Po odsłuchaniu taśmy zszedł na parter po kawę z automatu: od kilku miesięcy nie było już Nathalii, która mu ją przynosiła wraz z kawą dla siebie. Mary drzemała. Poklepał ją po ramieniu. Otworzyła oczy i ujrzała przed sobą mężczyznę o dość ponurej twarzy, pokrytej kilkudniowym zarostem.

— Jestem porucznik George Pilguez, zapowiedziano mi pani przyjście. Widzę, że nie traciła pani czasu, proszę pójść za mną. — Mary wzięła do ręki kubek z kawą. — Może pani to zostawić tutaj, zaraz napijemy się gorącej kawy.

Pilguez długo przyglądał się kobiecie, która usiadła naprzeciw niego. Dostrzegł zmęczenie na jej twarzy. Nie starała mu się przypodobać, co od razu go ujęło. Wysłuchał jej opowieści, po czym obrócił się wraz z fotelem. Zdjął z szafki około trzydziestu kartonowych teczek i po prostu rzucił na biurko.

— To są nieletni, którzy uciekli tylko w zeszłym tygodniu. Niech mi pani wytłumaczy, dlaczego tę smarkulę miałbym traktować inaczej niż pozostałych?

— Bo ta smarkula to moja córka! — powiedziała pewnym głosem.

Odchylił fotel do tyłu i w końcu na jego usta wypełzło coś na kształt uśmiechu.

— Jestem w dobrym humorze. Rozdam to ogłoszenie wszystkim patrolom i zadzwonią do innych posterunków w mieście. Proszę wracać do domu. Jak będzie jakaś wiadomość, zatelefonuję do pani.

— Zostaję w mieście, ja też jej szukam.

— Pani jest tak zmęczona, że powinienem odebrać pani prawo jazdy; pójdziemy na prawdziwą kawę, tylko proszę nie dyskutować, byłbym winien nieudzielenia pomocy osobie narażonej na niebezpieczeństwo. Proszę iść za mną.

Wyszli z komisariatu i usiedli w barze na rogu ulicy. Mary opowiedziała mu historię dziewczynki, która opuściła Honduras, aby pojawić się w jej życiu pewnej deszczowej niedzieli. Kiedy skończyła, zamówili jajka sadzone.

— A pani mąż?...

— Wydaje mi się, że wydarzenia go przerosły, dręczy go poczucie winy z powodu sprzeczki, którą mieli w samochodzie.

— Tak, jeśli nie można krzyczeć na dzieciaki, to po co je mieć?

Popatrzyła na niego zbita z tropu.

— Chciałem panią trochę rozbawić.

— A co pana wprowadziło w taki dobry humor?

— A prawda, powiedziałem to pani w biurze, uważnie Pani słucha.

- Z zawodu jestem dziennikarką!
- Pracującą?
- Nie, dwoje dzieciaków, jak pan mówi, w życiu trzeba umieć wybierać. Nie odpowiedział pan na moje pytanie.
- Właśnie zaczynam sobie uświadamiać, jak bardzo nie mogę już wytrzymać w tym mieście.
- I to wprawia pana w dobry humor?
- Nie, to mi odpowiada. Czasami przyznaję się sam przed sobą, że brakuje mi kogoś bardziej, niż się tego spodziewałem.
- W dalszym ciągu nie widzę powodu do radości!
- A ja widzę. Być może uda mi się podjąć decyzję, zanim będzie za późno.
- Jaką decyzję?
- O przeniesieniu służbowym!
- Tam, gdzie jest ta przyjaciółka, której panu tak brakuje?
- Zdawało mi się, że pani już nie wykonuje swojego zawodu?
- Niech pan odnajdzie Lisę. Ja też nie wyobrażałam sobie, że będzie mi jej brakować aż do tego stopnia.
- Proszę przyjść do mnie dziś wieczorem, jeśli będzie się pani jeszcze trzymać na nogach. I niech pani uważa za kierownicą.
- Mary wstała i chciała zapłacić, ale on szybkim ruchem zabrał rachunek; podając jej drugą rękę, dał do zrozumienia,

żeby już poszła. Podziękowała i wyszła z baru. Przez cały dzień jeździła po ulicach. Mijając budynek „New York Timesa”, poczuła coś w rodzaju ukłucia w sercu. Odruchowo pojechała aż do SoHo i zatrzymała się pod oknami swojego dawnego mieszkania. Dzielnica ciągle się zmieniała. W szybie wystawy sklepowej Mary zobaczyła swe odbicie i zrobiła niezadowoloną minę. Dlatego to wszystko wydaje mi się tak odległe, pomyślała. Telefon do Philipa potwierdził, że w Montclair nie dzieje się nic nowego. Wzięła głęboki oddech, by dodać sobie odwagi, wypła drugą kawę u Fanellego i skierowała się do dzielnicy latynoamerykańskiej.

Popołudnie dobiegało końca, Lisy nie było już od dwudziestu czterech godzin; Mary czuła w piersi rosnący niepokój. Do napięcia dołączyło zmęczenie. Zatrzymała się, oszołomiona, na środku przejścia dla pieszych, mijając matkę z córką, która była mniej więcej w wieku Lisy. Kobieta popatrzyła na nią poważnie i poszła swoją drogą. Mary przeniknęła falą smutku. Wczesnym wieczorem, jadąc w stronę budynku policji, z auta zatelefonowała do porucznika Pilguezza.

Zaproponował jej spotkanie w tym samym barze. Przyszła pierwsza. Wewnątrz jej wzrok musiał się przyzwyczaić do mroku. Do automatu stojącego obok toalet wrzuciła wszystkie drobne, jakie miała w torebce, i kupiła paczkę winstonów.

Usiadła przy kontuarze, zapaliła papierosa od ognia podanego przez barmana i głęboko zaciągnęła się dymem. Natychmiast poczuła silny zawrót głowy, zaczęła kaszleć, zachwiała się na wysokim stołku.

Zaniepokojony barman spytał, czy dobrze się czuje. Zaskoczył go urywany, nerwowy śmiech, wydobywający się z jej ochrypłego gardła.

Porucznik Pilguez otworzył drzwi, usiedli razem przy stoliku. Zamówił piwo, po krótkim wahaniu ona zrobiła to samo.

— Prawie cały dzień spędziłem nad sprawą pani córki; chyba nie ma patrolu w Nowym Jorku, który by o niej nie wiedział. Pojechałem do dzielnicy portorykańskiej, rozmawiałem ze wszystkimi moimi informatorami, nigdzie nie ma najmniejszego śladu pani małej. Z jednej strony to raczej dobra wiadomość, bo to znaczy, że nie wpadła w łapy jakichś złoczyńców; jeśli coś takiego by się zdarzyło, natychmiast by mnie uprzedzono. Lisa jest objęta moją ochroną, co w pewnych środowiskach więcej znaczy, niż gdyby chodził z nią agent.

— Nie wiem, jak mam panu dziękować — wyszeptała Mary.

— No to niech pani nie dziękuje! Proszę posłuchać: teraz musi pani wrócić do domu, bo w końcu pani nie wytrzyma, i co to będzie, kiedy odnajdziemy małą. Na razie może nam pani pomagać.

Pilguez przypomniał jej, że drogi młodości są całkiem inne niż drogi ludzi dorosłych. Lisa być może uciekła pod wpływem impulsu, ale najprawdopodobniej nie przypadkiem. Zapewne kierowała się jakąś logiką, swoją własną logiką. Pajęczyna, która mogłaby do niej doprowadzić, została utkana z nitek jej pamięci, więc trzeba szukać we wspomnieniach, odnaleźć te, które mają dla niej szczególne znaczenie. Czy może w czasie jakiegoś spaceru w parku zauważyła na przykład choćby drzewo, które przypomniało jej tamten kraj? Jeśli tak, prawdopodobnie siedzi i czeka pod tym drzewem.

— Wyjeżdżała w Góry Skaliste — rzekła Mary.

Czy jej matka w dzieciństwie miała jakieś ulubione miejsce? Mary pomyślała o wzgórzach Montclair, skąd widać było miasto, ale przecież Lisa już tam bywała.

— Proszę tam jechać! — odpowiedział Pilguez.

Czy pamiętała o fladze Hondurasu, takiej małej? Może tam siedzi i przygląda się jej. Namalowała tę flagę na pniu drzewa. Czy jest jakieś miejsce, które byłoby dla niej czymś w rodzaju pomostu pomiędzy tym, co jest tutaj, a tym, co było przedtem? Mary przypomniała sobie odrapaną czerwoną zjeżdżalnię, o której opowiadał Philip, ale to było tak dawno, w pierwszych dniach po przyjeździe Lisy.

— Na pani miejscu natychmiast pojechałbym tam, najpewniej gdzieś tam siedzi. — Pilguez zmienił ton. — Tylko

niech pani nie pędzi za szybko w tym stanie... i proszę do mnie zadzwonić, a potem pojechać do domu i odpocząć.

Mary wstała, podziękowała mu i zanim wyszła z za stołu, położyła rękę na ramieniu szorstkiego gliny.

— Wierzy pan w trop zjeżdżalni?

— Nie należy wykluczać odrobiny szczęścia! Niech pani jedzie!

Odsunęła niepokojącą hipotezę pociągu, bo ten środek lokomocji był zbyt drogi jak na króliczka Lisy. Mary wróciła na dworzec autobusowy i tym razem poprosiła o spotkanie z szefem. Jedna z pracownic poznała ją, zaproponowała, by poczekała na ławce. Oczekiwanie ciągnęło się w nieskończoność. Wreszcie przysadzisty mężczyzna poprosił ją do biura. Pomieszczenie miało kolor morskiej wody, a człowiek o przyspieszonym oddechu był miły i gotów przyjść jej z pomocą.

Pokazała mu zdjęcie Lisy, chciała się dowiedzieć, czy możliwe jest dotarcie autokarem do Ameryki Środkowej. „Nasze południowe linie kończą się na Meksyku”, odpowiedział, wierzchem rękawa ocierając pot z twarzy. Od chwili zniknięcia dziecka odjechały trzy autokary. Ciężko podnosząc się z miejsca, popatrzył na zegarek i na dużej mapie wiszącej na ścianie wskazał palcem obecne pozycje autokarów. Wziął z półki gruby spis telefonów przedsiębiorstwa, żeby zadzwonić do stacji pośrednich i spytać, gdzie będą następny postój i dłuższa przerwa na obiad. Poprosiła, żeby kierowcy natychmiast skontaktowali się

z nowojorskim dworcem. Mimo że był to dla niego widoczny wysiłek, odprowadził ją aż przed budynek. Kiedy podziękowała, wyraźnie wzruszona, odchodząc, dodał, że ani przez chwilę nie wierzy, by dziewczynka wsiadła do autokaru niezauważona przez kierowców; powiedział też, że nigdy nie udałooby jej się przekroczyć granicy!

Żeby nie zasnąć w czasie jazdy, Mary otworzyła okno — senność od razu jej minęła. O godzinie pół do dziewiątej parking McDonalda był jeszcze wypełniony, ale stara zjeżdżalnia spokojnie tkwiła w bezruchu. Mary przebiegła wszystkie alejki, wykrzykując imię Lisy, ale bez rezultatu. Żaden z pracowników, któremu pokazała zdjęcie Lisy, nie widział wcześniej dziewczynki. Mary pojechała w stronę górnej części miasta, skręciła na drogę gruntową i zatrzymała się tuż przed barierą zakazującą dalszej jazdy. Poszła więc pieszo, wspięła się aż na szczyt wzgórza. W bladym świetle kończącego się dnia wykrzykiwała imię Lisy, lecz nie odpowiadało nawet echo. Miała ochotę położyć się na gołej ziemi. Kiedy zapadły ciemności, poczuła, że jest już na granicy wyczerpania, i postanowiła wracać.

Thomas siedział w salonie na podłodze; rzuciła mu jakieś czułe słówko i natychmiast poszła na górę do swego pokoju. Idąc po schodach, zdała sobie sprawę, że na parterze panuje cisza. Rzuciła okiem za siebie i zobaczyła czarny ekran. Thomas wpatrywał się w zgaszony telewizor. Zeszła ze schodów, uklękła obok niego i wzięła go pod ramię.

— Nie za bardzo się tobą teraz zajmujemy, malutki.
— Myślisz, że wróci? — zapytał.
— Nie myślę, jestem tego pewna.
— Wyjechała z powodu tej kłótni z tatą?
— Nie, to raczej z mojego powodu. Chyba nie ułatwiałam jej życia.

— Kochasz ją?
— Oczywiście, jak możesz o to pytać?
— Bo nigdy tego nie mówisz. Mary w milczeniu przyjęła cios.

— Nie siedź tak, idź i przygotuj nam dwie kanapki, ja pójdę się przebrać i zaraz zejść; zjemy razem. Może wiesz, gdzie jest tata?

— Pojechał na komisariat, wróci za godzinę.

— To zrób trzy kanapki... nie, cztery!

Znowu weszła po schodach, opierając się o poręcz, i poszła do gabinetu Philipa.

Pokój był pogrążony w półmroku, poruszyła lampę stojącą na biurku. Wystarczyło dotknąć końcem palca jej metalowej części, aby się zapaliła.



Podeszła do półki, wzięła małą ramkę, zbliżyła ją do oczu. Na zdjęciu była Susan z promiennym uśmiechem, który należał już do przeszłości. Mary zaczęła do niej mówić przytłumionym głosem:

— Potrzebuję cię. Widzisz, stoję jak idiotka pośrodku tego pokoju i nigdy nie czułam się tak samotna. Przyszłam prosić cię o pomoc. Bo stamtąd, gdzie teraz jesteś, na pewno ją widzisz. Nie mogę wszystkiego robić sama. Wiem, co sobie pomyślisz, ale nie trzeba było mi jej przysyłać, jeśli nie chciałaś, żebym się do niej tak przywiązała. Proszę cię tylko o przyznanie mi prawa do dalszego kochania jej. Pomóż mi, bez obaw, przecież zawsze będziesz jej matką, przysięgam ci to. Daj mi jakiś znak, maleńki, byle jaki znak, choćby ruch palca. Możesz chyba to zrobić, tak czy nie?

Powstrzymywane dotąd łzy spłynęły jej po policzkach. Siedziała w fotelu męża, przy piersi trzymała zdjęcie Susan, czoło oparła o biurko. Kiedy podniosła głowę, jej zamyślony wzrok padł na mały drewniany kuferek stojący na środku; kluczyk leżał obok. Zerwała się z miejsca i zbiegła po schodach.

Już przy drzwiach wyjściowych powiedziała do Thomasa:

— Nie wychodź z domu, zjedz kanapkę przy telewizji, a kiedy tata wróci, powiedz mu, że zadzwonię później, i nikomu nie otwieraj, słyszałeś?

— Chciałbym wiedzieć, co się dzieje.

— Później, kochanie, teraz naprawdę nie mam czasu, zrób, co ci powiedziałam, obiecuję, że nadrobimy stracony czas.

Pobiegła do samochodu, gorączkowo wsunęła kluczyk do stacyjki; silnik zaczął pracować. Jechała szybko, wyprzedzając wszystko, co znajdowało się przed nią, czasem z prawej strony, czasem z lewej, wywołując wycie klaksonów z tyłu za sobą, czym się w ogóle nie przejmowała. Czuła, jak wali jej serce, stopniowo przyspieszała; o mało nie wypadła z szosy, udało jej się jednak utrzymać na linii 47 zjazdu z autostrady. Dziesięć minut później zostawiła samochód przy chodniku. Nie odpowiedziała policjantowi, który coś do niej mówił, i wbiegła do budynku. Zdyszana wpadła na kręte schody. Przy końcu korytarza zatrzymała się przed drzwiami, przez okrągłe okienko ogarnęła wzrokiem salę, złapała oddech, po czym powoli otworzyła drzwi.



W głębi baru pierwszego terminalu na lotnisku w Newark czternastoletnia dziewczynka siedziała sama przy stoliku i patrzyła przez szybę na pasy startowe.

Mary powoli przeszła obok rzędu stolików i usiadła naprzeciw. Lisa poczuła jej obecność, ale nadal patrzyła na samoloty. Mary bez słowa położyła dłoń na jej ręce; pozwoliła jej milczeć. Nie odwracając się, Lisa spytała:

— Mama wyjechała właśnie stąd?

— Tak — wyszeptała Mary — stąd. Popatrz na mnie przez chwilę, muszę ci coś ważnego powiedzieć.

Lisa powoli odwróciła głowę i spojrzała Mary prosto w oczy.
— Kiedy zobaczyłam cię po raz pierwszy w za małym, zmokniętym ubraniu, z torbą i piłką, nie wyobrażałam sobie, że taka mała dziewczynka zajmie tak wiele miejsca w moim sercu. Chyba nigdy przedtem tak bardzo się nie bałam, aż do dzisiaj. Chciałabym, żebyśmy sobie coś przyrzekły. To będzie nasza tajemnica. Nie próbuj więcej zniknąć, za to w dzień rozdania świadectw dojrzałości, kiedy będziesz już miała dziewiętnaście lat, jeśli „tam” będzie ciągle twoim domem, jeśli nadal będziesz chciała tam pojechać, ja sama odwiozę cię na lotnisko, obiecuję ci. Byłaś tutaj przez cały ten czas i nikt nie zwrócił na ciebie uwagi?

Twarz Lisy się rozluźniła, na wargi wypełził nieśmiały uśmiech.

— Nie. Wracamy? — spytała cicho.

Podniosły się z miejsc, Mary zostawiła na stoliku kilka dolarów, po czym wyszły z baru. Przy samochodzie rzuciła za siebie mandat, który znalazła za wycieraczką. Lisa spytała:

— Kim jesteś dla mnie?

Mary wahała się przez chwilę, w końcu odpowiedziała:

— Jestem twoim paradoksem.

— Co to jest „paradoks”?

— Dzisiaj wieczorem, kiedy będziesz już w łóżku, wytłumaczę ci to. Teraz trochę się boję swoich oczu, a ty nie masz z czego zrobić naleśników w samochodzie!

Mary na samochodowym telefonie wykręciła numer domu. Philip natychmiast odebrał.

— Jest ze mną, wracamy do domu, Kocham cię. Zadzwoiła do inspektora policji, który za kilka dni miał

wypełnić podanie o służbowe przeniesienie do policji kryminalnej w San Francisco; miasto jest przepiękne, jak mówią, wiedział o tym od niejkiej Nathalii, która tam już pracuje.

Kiedy wrócili do domu, Thomas rzucił się do Lisy, ona go objęła, a dorośli dołączyli do nich z talerzem owoców. Lisa nie była głodna, tylko zmęczona i chciała położyć się spać.



W pokoju Lisy Mary usiadła na brzegu łóżka i głaskała dziewczynkę po włosach. Pocałowała ją w czoło, a kiedy chciała już wyjść, usłyszała, po raz drugi tego dnia, pytanie:

— Co to jest „paradoks”?

Trzymając rękę na klamce, Mary uśmiechnęła się z czułością.

— Paradoksem jest to, że nigdy nie będę twoją matką, ale ty zawsze będziesz moją córką. Teraz śpij już, wszystko dobrze.

Tego lata nie było obozu dla dzieci. Philip, Mary, Lisa i Thomas wynajęli ten sam dom w Hampton. Letnie wakacje wszystkich do siebie zbliżyły. Wycieczkom żaglówką czy grillowaniu towarzyszyły śmiech i radość, które nareszcie rozkwitły w ich życiu rodzinnym.

Od początku roku szkolnego całkiem zmieniła się postawa Lisy w szkole, o czym wyraźnie świadczył wykaz stopni na koniec pierwszego semestru. Thomas oddalił się nieco od siostry, dojrzewanie chwilowo ich od siebie odsunęło.

Na Boże Narodzenie Mary wyjaśniła Lisie, że to, co jej się właśnie przytrafiło, jest rzeczą zupełnie normalną, że ta krew wcale nie jest wyrazem walki jej organizmu z jakimś lękiem. Po prostu staje się kobietą, zwykłą rzeczą.

W styczniu Mary zorganizowała wielkie przyjęcie z oka-

zji szesnastych urodzin Lisy i tym razem przyszła cała klasa. Następnej wiosny zaczęła podejrzewać flirt w życiu Lisy, zrobiła jej więc drobiazgowy wykład na temat wszystkich osobliwości kobiecej natury. Szczegóły fizjologiczne niespecjalnie Lisę ciekawiły, ale nadstawiała uszu, gdy była mowa o barwach uczuć. Sztuka uwodzenia tak ją fascynowała, że stała się tematem wielu długich rozmów. Po raz pierwszy to Lisa zaczynała rozmowy. Spragniona wyjaśnień zabiegała o towarzystwo Mary, która — zadowolona z pretekstu — oszczędnie sączyła odpowiedzi.

Sądząc po chandrze, jaka ogarniała dziewczynę na myśl o zbliżających się wakacjach, Mary domyślała się, że w sercu Lisy dojrzewa miłość. Letnie miesiące są naprawdę wstrętne dla młodej zakochanej osoby, a obietnica listów nie wypełnia pustki, którą odczuwa się po raz pierwszy w życiu.

Odebrała Lisę ze szkoły, bo chciała z nią spędzić środowe popołudnie na Manhattanie. Przy stoliku w niewielkim ogródku na tyłach bistro Picasso, w dzielnicy Village, jadły sałatkę urozmaiconą kawałkami grillowanego fileta z kurczaka.

— Już ci go brak, mimo że jeszcze się nie rozstaliście, prawda? — spytała Mary.

— Przeżywałaś coś takiego?

— Strasznie dawno temu.

— Dlaczego to tak boli?

— Dlatego że kochać to znaczy przede wszystkim podejmować ryzyko. Oddawać się komuś, otwierać przed kimś serce to rzecz niebezpieczna. Może wywołać nieopisane cierpienie, takie jak właśnie odczuwasz. I może wręcz przybrać formę obsesji.

— Cały czas o tym myślę!

— Nie ma żadnego lekarstwa na ten rodzaj bólu serca. Przy tej okazji zrozumiałam, że mieliśmy błędne pojęcie o względności czasu. Jeden dzień, gdy brakuje drugiej osoby, może być o wiele dłuższy niż cały rok, ale to jest także największa przyjemność. Trzeba się oswoić z tym uczuciem.

— Tak bardzo się boję go stracić, boję się, że spotka inną dziewczynę. Wyjeżdża na letni obóz do Kanady.

— Taka rzecz może się zdarzyć, rozumiem twoje obawy. To wstrętne, ale w tym wieku chłopcy są dość niestali w uczuciach.

— A potem?

— Niektórzy się temperują, rzadko, ale to się zdarza!

— Gdyby mnie zdradził, nie podniosłabym się z tego.

— Podniosłabyś się, przetestowałam to już za ciebie! Wiem, że w twoim wieku, choć trudno w to uwierzyć, łatwiej się podnieść, mimo wszystko!

— Co trzeba robić, żeby się zakochali?

— Z chłopcami wszystko polega na powściągliwości, dystansie, tajemniczości. Wariują od tego!

- Zauważyłam to!
- Jak to zauważyłaś?
- Powściągliwość jest u mnie cechą wrodzoną.
- Musisz dbać o swoją reputację, to bardzo ważne na później, to kwestia równowagi.
- Nie rozumiem!
- Twój tata zabiłby mnie chyba, gdyby usłyszał, że opowiadam ci takie rzeczy, ale ty jesteś bardzo dojrzała jak na swój wiek.
- No to mów! — poprosiła Lisa, tupiąc z niecierpliwości.
- Jeśli będziesz unikać towarzystwa chłopców, powiedzą, że jesteś święta Zyta, i nie będą cię szanować. Jeśli będziesz się z nimi zadawać zbyt często, potraktują cię jak łatwą zdobycz, odpowiednio cię ocenią, co też nie jest dobre.
- To też zauważyłam! Moja przyjaciółka Jenny chyba straciła równowagę!
- A jak jest z tobą?
- Siedzę na linie, ale jakoś się trzymam.
- Liso, w momencie gdy te sprawy nabiorą jeszcze większego znaczenia w twoim życiu, będziesz mi mogła zadawać wszystkie pytania, jakie ci przyjdą do głowy. Po to jestem. v
- A tobie kto wytłumaczył, kiedy byłaś w moim wieku?

— Nikt, i w takich okolicznościach o wiele trudniej nie dostać zawrotu głowy.

— W jakim wieku miałaś pierwszego chłopaka?

— Na pewno nie w twoim, ale to były inne czasy.

— Mimo wszystko trochę mnie to przeraża.

— Poczekaj jeszcze trochę, a zobaczysz, jak można zmieniać zdanie!

Po obiedzie kontynuowały tę poufną rozmowę na ulicach Village, grzebiąc w stoiskach modnych butików, gdzie wchodziły w poszukiwaniu kreacji, którą Lisa mogłaby „zastrzelić” owego młodego człowieka.

— Wiesz — rzekła Mary — mówi się, że w miłości nie liczą się pozory, ale w dziedzinie uwodzenia odgrywają jednak ogromną rolę! Chodzi o to, żeby znaleźć swój *look*.

Kiedy sprzedawczyni w sklepie Banana Republic powiedziała Lisie, niezdecydowanej na kupno czarnych wąskich spodni, że przy jej sylwetce może nosić wszystko, i kiedy później, gdy Lisa była w przymierzalni, ta sama sprzedawczyni powiedziała Mary, że jej córka jest przepiękna, uczucie, jakie ją ogarnęło, nie było podobne do zazdrości, lecz raczej graniczyło z dumą.

Po wyjściu ze sklepu z rękami pełnymi paczek Lisa pocałowała Mary i wyszeptała jej do ucha, że on nazywa się Stephen.

No, Stephen — odpowiedziała Mary głośno — nie

zaznasz spokoju, będziesz czekał całe wakacje, już my się o to postaramy!



Przez całe lato, które znowu wszyscy razem spędzili w Hampton, Lisa dwa razy w tygodniu potajemnie pisała do owego Stephena. W listach były zapewnienia, że dużo o nim myśli, ale też że jest tu pełno „fajnych chłopaków”, że spędza „fantastyczne wakacje i uprawia różne sporty”. Ma nadzieję, że on dobrze się bawi na wakacyjnym obozie, dodała też, że te dwa słowa wydają się „antagonistyczne”. „Trochę słownika na pewno nie zaszkodzi”, odpowiedziała Mary Lisie, która spytała, czy „antagonistyczny” nie brzmi zbyt pompatycznie.

W nowym roku szkolnym Lisa spotkała się ze Stephenem w klasie i w życiu.



W listopadzie Mary znowu ogarnęła chandra, dowiedziała się, że Stephen wyjeżdża tym razem z rodziną na kurs narciarski do Kolorado. Bez uprzedzenia, podczas kolacji następnego wieczoru, powiedziała, że byłoby świetnie, gdyby Lisa nauczyła się wreszcie dobrze jeździć na nartach. Zaproszenie Cindy, siostry Stephena, do spędzenia z nimi ferii pojawiło się w samą porę. Philip uważał, że nie do pomyślenia jest rozdzielenie rodziny na Boże Naro-

dzenie, ale Mary obstawała przy swoim, wyjazd miał nastąpić już dwudziestego siódmego. W Wigilię zatelefonują do siebie, trzeba wreszcie trochę wydorosnąć, prawda?

Uniesienie lewej brwi chyba przesądziło sprawę.

Dostali tylko jedną widokówkę, na dzień przed powrotem Lisy; Mary ciągle musiała tłumaczyć Philipowi, że powinni się z tego cieszyć — gdyby Lisa pisała co dzień, to byłby prawdziwy powód do niepokoju.

Tak więc spędzili sylwestra we troje; Mary, zdecydowana — wobec innych — wziąć na siebie odpowiedzialność za tę rozłąkę, przygotowała wspaniałą kolację. Jednak myśl o pustym krześle przy stole dręczyła ją przez cały wieczór. Nieobecność stukiała w owe małe otwarte drzwi, o których mówiła Lisie pewnego letniego popołudnia.

Dziewczyna wróciła opalona, szczęśliwa i nagrodzona dwoma brązowymi medalami, które zdobyła na stoku narciarskim. Mary ujrzała wreszcie słynnego Stephena na grupowej fotografii, a później w pokoju Lisy, gdy ta zasypiała, przytulając zrobione polaroidem zdjęcie, na którym oboje się uśmiechali.

Przez następne dwa miesiące Mary coraz częściej myślała o powrocie do swej dziennikarskiej przeszłości. Zaczęła od redagowania kroniki „tak tylko dla przyjemności”, z czystej ciekawości poszła na obiad z nowym redaktorem

naczelnym „Montclair Times”, którego znała jeszcze ze studiów. Ku jej wielkiemu zaskoczeniu zaproponował, aby coś dla nich napisała. Będzie zapewne potrzebowała trochę czasu, żeby „rozruszać” pióro, ale może sama wybrać temat. Zanim się rozstali, obiecał, że w miarę możliwości jej pomoże, jeśli naprawdę chciałyby powrócić do zawodu. Dlaczego nie? — zastanawiała się, wracając do domu.



Tego majowego dnia Philip siedział przy stole w swym gabinecie i przez okno obserwował słońce chylące się już ku zachodowi. Mary, gdy tylko wróciła z biblioteki miejskiej, przyszła przeszkodzić mu w pracy.

Kiedy weszła, podniósł wzrok i uśmiechnął się do niej, czekając, aż coś powie.

— Myślisz, że można zaznać szczęścia w wieku czterdziestu lat?

— Można w każdym razie mieć tego świadomość.

— Czy wszystko może się zmienić tak późno w życiu, czy człowiek może się jeszcze zmienić?

— Można zaakceptować dojrzałość i przeżywać życie, zamiast z nim walczyć.

— Po raz pierwszy mam wrażenie, że naprawdę jesteś przy mnie, Philipie, i to sprania, że czuję się szczęśliwa.

Wiosną roku 1995 Mary była pewna, że w domu zapanowało szczęście, i to na długo.

Sprzątała pokój Lisy, a ponieważ było już ciepło, postanowiła odwrócić materac na letnią stronę. W ten sposób znalazła duży zeszyt z czarną okładką. Po chwili wahania usiadła przy biurku i zaczęła go kartkować. Na pierwszej stronie była flaga Hondurasu, namalowana akwarelą. Przy każdej kolejnej stronie Mary czuła coraz silniejsze ściskanie w gardle. Wszelkie opublikowane w prasie artykuły na temat cyklonów, nękających naszą planetę przez ostatnie lata, były wycięte i wklejone do tego tajemnego albumu, wszystko, co mniej lub bardziej dotyczyło Hondurasu, według dat. Było to coś w rodzaju dziennika pokładowego marynarza, który po opuszczeniu swego kraju nocami marzy o dniach, gdy wróci do domu i opowie bliskim o swojej niezwykłej podróży.

Mary zamknęła zeszyt i odłożyła go na miejsce. Przez następne dni zachowywała w tajemnicy to odkrycie i chociaż rodzina dostrzegła, że jej nastrój się zmienił, nikt nie rozumiał, jak to się dzieje, że serce może zwiędnąć w kilka sekund.



Po raz czwarty od początku lata, nie zdając sobie z tego sprawy, zapytała Philipa, jak sobie wyobraża dziewiętnaste urodziny Lisy. Kiedy z rozbawieniem odpowiedział, że na myślenie o tym mają jeszcze pełne dwa lata, zirytowała się, mówiąc, że czas bardzo szybko płynie i niekiedy człowiek sobie tego nawet nie uświadamia.

Tego ranka po śniadaniu, kiedy Lisa odprowadzała Thomasa na boisko baseballu, Mary znowu poruszyła temat.

— Co ci się stało, Mary? — spytał Philip.

— Nic, jestem po prostu trochę zmęczona.

— Ty nigdy nie jesteś zmęczona. Jest coś, o czym mi nie mówisz?

— To chyba wiek, wcześniej czy później pojawia się zmęczenie.

— Za trzydzieści czy czterdzieści lat twoje słowa będą krzyczącą prawdą, ale teraz są zupełnie nie na miejscu. Mów, o co chodzi.

— Chodź ze mną, coś ci pokażę!

Zaprowadziła go do pokoju Lisy, wsunęła rękę pod materac. Teraz i on skrupulatnie przeglądał kartki albumu.

— Doskonale zredagowane, ma świetne wyczucie grafiki, jestem z niej dumny, to duży talent. Myślisz, że moja praca ma na nią jakiś wpływ?

Mary zacisnęła zęby, żeby powstrzymać napływające do oczu łzy wściekłości.

— To wszystko, co masz do powiedzenia? Całe strony na temat huraganów, Hondurasu, a ty widzisz tylko umiejętności plastyczne!

— Spokojnie, dlaczego od razu się wściekasz?

— Nie widzisz, że ona myśli tylko o tym, że jej umysł jest przesłonięty tamtym cholernym krajem i tymi piep-

rzonymi burzami! Zdawało mi się, że zaszczepiłam w niej coś innego, myślałam, że odkryliśmy przed nią uroki innego życia. To bardzo szybko minie, niecałe trzy lata.

— Ale o czym ty właściwie mówisz?

Mary nie odpowiadała. Philip wziął ją za rękę i zmusił, żeby usiadła mu na kolanach. Objął ją, mówił głosem łagodnym i wyważonym. Szlochając, oparła głowę na jego ramieniu.

— Kochanie, gdyby zamordowano ci matkę, zabito wszystkie postaci wypełniające twoje dzieciństwo, a zrobiłby to ten sam zabójca, czy nie byłabyś opętana takim morderczym serialem?

— Nie widzę związku.

— Huragany to są właśnie mordercy, którzy nawiedzają ją nocą. Któż bardziej niż ty zna potrzebę poszukiwania, czytania, wyliczania, dla lepszego zrozumienia? Tak właśnie usprawiedliwiałaś swe postępowanie, kiedy byłaś studentką i nie mogłaś iść ze mną na kolację, bo pisałaś artykuły. Cyklony zabiły jej dzieciństwo, dlatego robi ich spis, wycina i wkleja do albumu.

— Mówisz tak, żeby mnie uspokoić?

— Nie możesz zrezygnować, Mary, nie teraz, ona cię potrzebuje. Lisa zmieniła twoje życie. Wiedziałaś o tym od chwili, w której pojawiła się na naszej alejce, ale nie chciałaś dopuścić do siebie tej myśli. Walczyłaś z tym

uczuciem i nawet jeśli czułaś, że szczęście nadejdzie, ono zakłócało twój ustalony porządek, więc je odrzucałaś. Oswoiłaś się w końcu, wobec tylu oczywistości otworzyłaś dla niej serce i dzień po dniu odkrywałaś, jak bardzo kochasz tę małą dziewczynkę. Wiem, że na początku nie było łatwo, że pochłaniało to dużo energii.

— O czym ty mówisz?

— O twojej cierpliwości i pokorze. Bo pokorą jest także wiara w swoje własne życie.

Zamknął duży zeszyt, rzucił go na łóżko, popatrzył Mary prosto w oczy i zaczął rozpinąć jej sweterek. Ona wreszcie się uśmiechnęła, gdy jego ręka dotknęła jej obnażonych piersi.

— Nie w pokoju Lisy!

— Zdawało mi się, że już jest prawie pełnoletnia? Z powodu tego albumu dręczyła cię myśl ojej dziewiętnastych urodzinach?

— Nie, głupku — powiedziała — po prostu obawiałam się, że tego dnia garmazzeria będzie zamknięta!

Później podzieliła się z nim myślą, jakiej nigdy by u siebie nie podejrzewała.

— Wydaje mi się, że zrozumiałam, co czułaś, kiedy Susan uciekła; niemoc w połączeniu z siłą uczucia to coś strasznego.

Następnego dnia rano w bibliotece, do której zwykle chodziła pracować, Mary napisała list. Zakleiła kopertę

i napisała piórem: „National Hurricane Center, Public Affair, 11691 S.W. 117th Street, Miami, 33199 Florida”. Dwa dni później adresat listu przeczytał:

Montclair, Nowy Jork, 10 lipca 1995 Do dyrektora działu zagranicznego Centrum Badania Huraganów

Jestem dziennikarką, w najbliższej przyszłości mam zamiar opublikować w „Montclair Times ” artykuł na temat huraganów i działalności pańskiego ośrodka, ale zwracam się do pana z prośbą o spotkanie w sprawie najzupełniej prywatnej. Aby wyjaśnić powód napisania tego listu, muszę dokładniej opisać szczególnie kontekst całej sprawy. [...]

Pięciostronicowy list podpisany był: Mary Nolton. Odpowiedź nadeszła dziesięć dni później:

Szanowna Pani,

z wielką uwagą przeczytałem pani list. W maju otrzymaliśmy nowe budynki leżące na terenie kampusu międzynarodowego Uniwersytetu Florydy, myślę więc, że możemy przyjąć panią, wraz z córką Lisą, już we wrześniu. Biorąc pod uwagę szczególnie charakter pani prośby, byłoby wskazane, żebyśmy wcześnie-

niej omówili przebieg pani pobytu u nas, może pani telefonować do mnie do biura. Proszę przyjąć wyrazy szacunku
P. Hebert

dyrektor Centrum Badań Huraganów

W następnym tygodniu Mary zaprosiła na obiad naczelnego redaktora „Montclair Times”. Po rozstaniu z nim przed budynkiem redakcji poszła do biura podróży i kupiła bilet do Miami; samolot odlatywał następnego dnia o godzinie szóstej trzydzieści pięć, zadzwoniła więc do biura pana Heberta, aby potwierdzić, że przyjedzie do niego w południe. Przy odrobinie szczęścia i skutecznym działaniu może uda jej się wrócić wieczorem.



O świcie cichutko zeszła po schodach, starając się nikogo nie obudzić. W kuchni wypiła kawę, obserwując wstający dzień, potem dokładnie zamknęła za sobą drzwi. Na autostradzie prowadzącej do Newark powietrze wpadające przez otwarte okno było już letnie. Mary włączyła radio i zdziwiła się, że sama do siebie śpiewa.

O godzinie jedenastej koła samolotu dotknęły ziemi na międzynarodowym lotnisku w Miami. Nie miała bagażu, więc od razu wyszła z terminalu. Wynajęła samochód, rozłożyła mapę na przednim siedzeniu i pojechała w kierun-

ku Virginia Gardens. Skręciła w lewo, na drogę szybkiego ruchu numer 826, potem w prawo, na Flagami West Miami, i znowu w lewo w Sto Siedemnastą Aleję. Otrzymałe wskazówki okazały się dobre, po lewej stronie zobaczyła budynek NHC. Przy wjeździe na kampus pokazała się strażnikowi, ustawiła samochód na parkingu i poszła alejką wzdłuż parku. Betonowy budynek NHC był pomalowany na biało, przypominał współczesny wystylizowany bunkier.



— O to właśnie nam chodziło, droga pani! Oczywiście, kiedy pracuje się w Miami, marzyłoby się raczej o fasadzie z ogromnymi balkonami, żeby móc korzystać z urody krajobrazu. Ale biorąc pod uwagę to, co obserwujemy i co już wiemy, wolimy, żeby budynek był odporny na huragany, pomimo pewnych defektów architektonicznych. To nasz wybór, którego konsekwencje świadomie ponosimy.

— Huragan to naprawdę coś tak przerażającego?

— W takim stopniu jak Hiroszima albo Nagasaki.

Profesor Hebert wyszedł po nią do głównego holu, zaprowadził do biura, które mieściło się w przeciwległym skrzydle. Zostawiła tam swoje rzeczy, po czym poprosił, by udała się za nim: chciał jej coś pokazać, zanim przejdą do rozmowy. Brak okien robił wrażenie, jakby przechadzała się korytarzami okrętu wojennego. Pomyślała, czy aby nie

przesadzili. Herbert otworzył drzwi do sali wystawowej. Białe ściany po lewej stronie zawieszono były zdjęciami robionymi z samolotów rozpoznawczych NHC. Fotografie huraganów ukazywały masy chmur — przerażające i majestatyczne — które zwijały się wokół własnej osi, ukazując w samym środku skrawek błękitnego nieba, nazywany niekiedy „okiem diabła”.

— Huragan oglądany z góry wydaje się nawet piękny, prawda? — Słowa Herberta zadźwięczały w wielkiej pustej sali. Nagle modulacja jego głosu się zmieniła, mówił teraz poważnie, prawie uroczyście. — Ściana z prawej strony sprowadza nas na ziemię, jeśli można tak powiedzieć, zdjęcia pokazują, co wydarzyło się na dole. Każdemu z nas przypominają wagę naszej misji. Proszę wpatrywać się w te fotografie jak najdłużej, wtedy zrozumie pani, o czym mówimy. Każda świadczy o morderczej, niszczycielskiej mocy tych potworów. Setki zabitych, tysiące, niekiedy jeszcze więcej, całe regiony zdevastowane, unicestwione, zrujnowane ludzkie życie.

Mary podeszła bliżej do jednej z fotografii.

— Ten, na który pani patrzy, nazywa się Fifi. Dziwne imię dla mordercy na taką skalę. W roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym uderzył w Honduras, pustosząc prawie cały kraj, zostawiając za sobą niewyobrażalną rozpacz i setki tysięcy osób bez dachu nad głową. Proszę spróbować na chwilę przywołać koszmarne obrazy dziesięciu tysięcy trupów dzieci, kobiet i mężczyzn. Małe zdjęcia,

którymi otoczyliśmy te duże, są tylko świadectwem tego, co pani tu nakreśliłam. Starannie je wyselekcjonowaliśmy, ale i tak trudno je oglądać.

Mary nic nie mówiąc, przeszła kilka metrów; Hebert wskazał palcem inną ścianę.

— Teraz ogląda pani rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt dziewięć. Allison, Barry, Chantal, Dean, Erin, Felix, Gabrielle, Karen, Jerry, Iris to kilku morderców z tamtego roku, a nie należy też zapominać o Hugonie, który swoje wiatry rozpędzał do stu trzydziestu węzłów, pustosząc Charleston i znaczną część Karoliny Południowej. W liście wspomina pani prawdopodobnie o Gilbertcie; szalał przez trzynaście dni w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym, rozpętał wiatr o szybkości ponad stu sześćdziesięciu pięciu węzłów, a ulewy poprzedzające jego nadejście były mordercze; nie mamy danych liczbowych dotyczących Hondurasu, sprawdziłem. Proszę pani, nie chciałbym się wtrącać w nie swoje sprawy, ale czy jest pani pewna, że córka powinna obejrzeć te obrazy?

— Ten Gilbert, a może któryś z jego kuzynów, zabił jej prawdziwą matkę. Lisa w największej tajemnicy pielęgnuje obsesyjną fascynację huraganami.

— Z tego właśnie powodu to miejsce będzie dla niej nie do zniesienia.

— Niewiedza rodzi strach. Dla zwalczania moich upiorów postanowiłam zostać dziennikarką. Lisa odczuwa po-

trzebę zrozumienia, ale nie wie, gdzie szukać, więc chcę jej pomóc; będę przy niej, żeby wspólnie przeżyć te chwile, choćby nawet miały się okazać bardzo przykre.

— Chyba nie podzielam pani punktu widzenia.

— Potrzebuję pana, profesorze Hebert. Dziewczynka nie potrafi wydorosnąć. Coraz rzadziej słyszy się jej głos, do tego stopnia, że gdy wreszcie decyduje się mówić, wszyscy nadstawiają ucha. Z biegiem czasu coraz bardziej zamyka się w milczeniu strachu. Drży przy każdej burzy, boi się deszczu. Kiedy pan ją zobaczy, przekona się pan, że jest jednak odważna, dumna, mogąc ukrywać przed nami strach, którego nigdy się nie pozbyła. Nie ma tygodnia, żebym nie musiała biec do jej pokoju w nocy, by pomóc jej się uporać z koszmarnymi snami. Jest wtedy cała spocona, pogrążona w tak niespokojnym śnie, że nawet nie udaje mi się jej obudzić. Zdarza jej się niekiedy przygryzać język aż do krwi w walce z tym strachem. Nikt o tym nie wie, nawet ona sama, że poznałam tę dręczącą ją tajemnicę. Musi dowiedzieć się o waszym istnieniu, o tym, że nie lekceważymy tych potworów, które zabrały jej bliskich, że obserwujecie je, osaczacie, że uruchomiono środki dla zabezpieczania ludzi przed tą morderczą siłą natury. Chcę, żeby mogła patrzeć na niebo i przekonać się kiedyś, że chmury bywają piękne, chcę, żeby w nocy miała piękne sny.

Profesor Hebert z uśmiechem poprosił Mary, aby poszła za nim. Otworzył drzwi sali wystawowej i odwrócił się do niej:

— Nie powiem, żeby nasze środki były znaczne, ale jednak są. Proszę pójść ze mną, pokażę pani resztę ośrodka, a potem zastanowimy się wspólnie, co możemy zrobić.

Mary zatelefonowała do Philipa. Wyszła za późno z NHC, nie mogła więc wrócić do domu wieczorem. Przez okno pokoju hotelowego w Miami Beach dochodziły do niej odgłosy nocnego życia.

— Nie jesteś za bardzo zmęczona? — spytał.

— Nie, mnóstwo się dowiedziałam. Dzieci zjadły kolację?

— Już dawno, teraz we trójkę rozmawialiśmy w pokoju Lisy. Odebrałem telefon w naszej sypialni. A ty jesteś już po kolacji?

— Nie, pójdę teraz.

— Nie podoba mi się, że jesteś w tym mieście beze mnie. Pełno tam typów o posągowej muskulaturze.

— Tutaj posągi są bardzo ruchliwe, a ja jeszcze nie weszłam do żadnego baru! Brak mi ciebie.

— Mnie też cię brak, ogromnie. Masz taki słaby głos.

— To był przedziwny dzień. Do jutra. Kocham cię.

◆◆◆

W każdym budynku mieszczące się na parterze restauracje i bary wychodzące na Ocean Drive, aleję biegnącą wzdłuż morskiego brzegu, buchały wściekłą muzyką,

w której rytm ciała kołysały się do późna w nocy. Co kilka kilometrów stały tablice informacyjne: „Punkt zborny — transport do schronu w razie alarmu huraganowego”. Mary odleciała pierwszym samolotem następnego dnia rano.



Wieczorem 11 września 1995 roku zadzwonił telefon. Hebert radził przygotować się na jutrzejszy ranek, zadzwoni, zanim Lisa wyjdzie do szkoły, żeby potwierdzić rozwój tego, co na razie było tylko przewidywaniem. Szybko się rozłączył, miał dużo pracy. O siódmej rano Mary usłyszała jego głos w słuchawce: „Proszę przylecieć pierwszym samolotem. Sądzymy, że dziś wieczorem odbędzie się chrzest. Przy wejściu czekają na was przepustki, wyjdę do was, gdy tylko przyjedziecie”. Mary weszła do pokoju Lisy, która już się ubierała, otworzyła szafę i zaczęła pakować niewielką walizkę.

— Co robisz? — zdziwiła się Lisa.

— Opuścisz lekcje w tym tygodniu, ale przygotujesz być może najlepszy referat w całej historii szkoły.

— O czym ty mówisz?

— Teraz nie ma czasu, leć do kuchni i zrób sobie kanapkę, za godzinę mamy samolot, w drodze wyjaśnię ci, dokąd lecimy.

Gdy pędziły autostradą, Lisa zapytała, dokąd jadą i jakie są powody tej niespodziewanej podróży. Mary odpowie-

działa, że przy tej prędkości nie może robić dwóch rzeczy naraz. Będą miały czas porozmawiać w czasie lotu.

Biegły przez lotniskowy hol w stronę wejścia do samolotu. Mary ciągnęła Lisę za rękę, szybciej, szybciej. Kiedy mijaly obok schody prowadzące do baru na piętrze, Lisa powtórzyła pytanie:

— Dokąd tak pędzimy?

— Za szybko, na drugą stronę! — odpowiedziała Mary. — Idź za mną i mi zaufaj!

Lisa przez okienko patrzyła na morze chmur, które muskały skrzydła samolotu. Zaczęło się podchodzenie do lądowania na międzynarodowym lotnisku w Miami. Mary przez cały lot udawała, że śpi, Lisa ciągle nie rozumiała, co się dzieje i dlaczego trzeba biec po wyjściu z samolotu. Porwały dwie walizki z ruchomej taśmy i wskoczyły do taksówki, która teraz już jechała Flagami West.

— Nie pamiętam, gdzie się znajduje NHC — powiedział szofer.

— Skręci pan w lewo, w Sto Siedemnastą, wjazd będzie dwa kilometry dalej — poinformowała go Mary.

— Co to jest NHC? Byłaś tu już? — ciągle pytała Lisa.

— Może!

Bardzo przejęta plakietką z nazwiskiem, którą dostała na portierni, Lisa czekała w holu wraz z Mary, gdy nadszedł profesor Hebert.

— Dzień dobry, ty chyba jesteś Lisa, miło mi, że mogę cię powitać w Centrum Badania Huraganów. Jesteśmy jednym z trzech działów organizacji rządowej, która nazywa się Centrum Prognoz Tropikalnych. Naszą misją jest ratowanie ludzi i ochrona ich dóbr poprzez analizowanie wszystkich niebezpiecznych zjawisk meteorologicznych, które rozwijają się w tropikach; badamy je i dajemy wskazówki albo ogłaszamy alarm, kiedy jest rzeczywisty powód. Dane, które zbieramy, są przeznaczone dla naszego kraju, ale także dla całej wspólnoty międzynarodowej. Później zwiedzimy Centrum; informacje z godziny dwunastej, przekazane przez nasze samoloty rozpoznawcze, potwierdzają, że nie przybyłyście tu na próżno. Za kilka chwil zobaczycie, czym jest, oficjalnie, od czternastu godzin, piętnasty w tym roku niż tropikalny na Atlantyku. Przewidujemy, że może się stać nawałnicą jeszcze przed końcem dnia, a jutro nawet huraganem.

Mówiąc przez cały czas, prowadził ich do końca długiego korytarza. Popchnął wahadłowe drzwi prowadzące do sali przypominającej wieżę kontrolną dużego lotniska. Pośrodku bateria drukarek bez wytchnienia wyrzucała z siebie zwoje papieru; jeden z mężczyzn je przecinał i rozdawał innym. Wszyscy byli okropnie zajęci. Hebert poprosił, aby podeszły do radaru. Sam, pracujący tam operator, nie spuszczał oka z ekranu, przenosząc na papier dane ukazujące się w lewym górnym rogu. Szerokie pasmo poruszało

się wokół tarczy; kiedy było na południowym wschodzie, wskazał palcem pomarańczową plamę, odcinającą się wyraźnie na zielonym tle. Lisa usiadła na przygotowanym dla niej krześle. Meteorolog wyjaśnił jej, jak interpretować liczby przesuwane się przed oczami. Pierwsze oznaczały datę narodzin niżu, cyfra obok litery M to liczba dni, jakie upłynęły od tej chwili, a liczba w kratce opisanej „SNBR” to numer rejestracyjny zjawiska.

— Co oznacza słowo „XING”? — spytała Lisa.

— To skrót słowa „*crossing*”, a zero figurujące obok oznacza, że niż na razie nie przekroczył amerykańskich granic. Gdyby była tu inna cyfra, znaczyłoby to, że wnika na nasze terytorium.

— A cyfra po trzech S?

— To nasza oficjalna klasyfikacja. Siłę trzęsień ziemi mierzy się w skali Richtera, a huraganów, od roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego dziewiątego, w skali Saffira-Simpsona. Jeśli w najbliższych godzinach cyfra jeden pokaże się przed SSS, to znaczy, że niż tropikalny przekształci się w minimalny huragan.

— A jeśli to będzie cyfra pięć?

— Od trójki nazywa się to już klęską — odpowiedział Sam.

Przez cały czas zwiedzania Centrum Mary nie spuszczała oka z córki. W długim korytarzu prowadzącym do sali operatorów Lisa wzięła Mary za rękę i wyszeptała:

— To nieprawdopodobne.

Kolację zjadły w stołówce Centrum. Lisa chciała wrócić przed ekrany, popatrzeć, jak „niemowlę” się rozwija. Cały zespół zgromadził się wokół Heberta, który zaczął mówić, kiedy weszły do sali.

— Panowie, jest godzina dziesięć minut po północy czasu uniwersalnego, czyli dziewiętnasta dziesięć czasu lokalnego w Miami. Po odczytaniu informacji, właśnie dostarczonych przez samoloty US Air Force, klasyfikujemy oficjalnie niż numer piętnaście jako burzę tropikalną; jej obecna pozycja to jedenaście stopni osiem minut szerokości geograficznej północnej i pięćdziesiąt dwa stopnie siedem minut długości geograficznej zachodniej, ciśnienie tysiąc cztery hektopaskale, wiatry wieją tam już z prędkością ponad trzydziestu pięciu węzłów. Proszę o natychmiastowe nadanie komunikatu o wzmożonej czujności.

Hebert zwrócił się do Lisy, wskazując plamę, teraz już czerwoną, która odcinała się coraz wyraźniej na dużym ekranie wtopionym w najszerszą ścianę.

— Liso, byłaś obecna przy niezwykłym chrzcie, przedstawiam ci Marilyn. Możesz asystować przy wszystkich operacjach, jakie teraz nastąpią, będziemy śledzić Marilyn aż do jej śmierci, której życzyłbym sobie jak najszybciej. Przygotowaliśmy dla was pokój, wraz z mamą możecie tam odpoczywać, kiedy poczujecie zmęczenie.

Nieco później udały się do owego pomieszczenia, które

miało im służyć za mieszkanie przez następne dni. Lisa nie wypowiedziała ani słowa; bez przerwy rzucała pytające spojrzenia w stronę Mary, która się uśmiechała do niej.



Nazajutrz, 13 września 1995 roku, Lisa przyszła do dużej sali po śniadaniu i usiadła obok Sama. Miała wrażenie, że mężczyźni i kobiety pracujący tutaj odnoszą się do niej, jakby była członkiem ich zespołu. Wiele razy proszono ją, aby zbierała, a potem rozdawała raporty wychodzące z drukarek; po pewnym czasie musiała nawet czytać na głos komunikaty, a meteorolodzy zapisywali liczby, które podawała. Po obiedzie dostrzegła zaniepokojenie na ich twarzach.

— Co się dzieje? — spytała Sama.

— Popatrz na liczby na ekranie: wiatry wieją teraz z prędkością sześćdziesięciu węzłów, ale najgorsza rzecz w tej chwili to ciśnienie, niedobry znak.

— Nie rozumiem.

— Niż się pogłębia, a im bardziej nawałnica schodzi w dół, tym staje się gwałtowniejsza; możliwe, że za kilka godzin nie będziemy już mówić „ona”, lecz „on”!

O godzinie siedemnastej czterdzieści pięć Sam zatelefonował do Heberta i poprosił, aby profesor natychmiast przyszedł. Hebert wszedł szybkim krokiem i od razu skierował się w stronę ekranu. Lisa odsunęła swoje krzesło na bok, aby mógł podejść bliżej.

— Co mówią samoloty? — spytał. Jakiś głos odpowiedział z głębi sali:

— Wykryli tworzenie się ściany oka. i

— Obecna pozycja to trzynaście stopni szerokości geograficznej północnej i pięćdziesiąt siedem stopni siedem minut długości geograficznej zachodniej, posuwa się na północny zachód, w stronę Wysp Świętych, zahaczy o Antyle Francuskie, jej ciśnienie spada jeszcze bardziej, wynosi teraz dziewięćset osiemdziesiąt osiem hektopaskali, prędkość wiatru przekracza sześćdziesiąt pięć węzłów — dodał meteorolog siedzący przy terminalu komputera.

Kiedy Hebert podszedł do drukarek, Lisa dostrzegła, że na ekranie radaru Sama ukazuje się mrugająca cyfra 1, zaraz po trzech literach S. Była godzina osiemnasta, Marilyn stawała się właśnie huraganem pierwszej kategorii.

Siedząc na krześle, Mary zapisywała całe strony notatek, ale ciągle kątem oka obserwowała córkę. Chwilami odkładała pióro i z niepokojem patrzyła na coraz bardziej poważną twarz Lisy. W dużej sali tylko aparatura zakłócała milczenie, które stawało się ciężkie jak burzowe chmury.

Kiedy Lisa miała w nocy zły sen, Mary położyła się w jej łóżku i przytuliła ją. Wytarła spocone czoło, ukołysała ją, głaszcząc po włosach, aż twarz Lisy się wypogodziła. Błagała niebiosa, aby nie zsyłały czegoś wręcz przeciwnego niż to, czego się spodziewała, przywożąc Lisę tutaj. Nie mogła zasnąć, czuwała więc nad nią do samego rana.

Zaraz po obudzeniu Lisa wróciła do dużej sali, nie chciała iść z Mary do stołówki. Natychmiast podbiegła do Sama. Była godzina siódma czterdzieści pięć w Miami, dwunasta czterdzieści pięć czasu uniwersalnego.

— Co się z nim teraz dzieje? — spytała pewnym głosem.

— Jest wściekły, zbliża się do Martyniki, przenosi się na północny zachód, ciśnienie ciągle spada.

— Zauważyłam — powiedziała sucho — że ciągle ma kategorię jeden.

— Ale moim zdaniem już niedługo.

Przyszedł Hebert. Przywitał się z Lisą, po czym odwrócił krzesło w stronę dużego ekranu.

— Zaraz dostaniemy przez satelitę zdjęcia filmowe z samolotów US Air Force. Jeśli nie chcesz ich oglądać, możesz wyjść.

— Chcę zostać!

W sali rozległ się głos pilota.

— US Air Force dziewięć osiem pięć do centrum dowodzenia NHC.

— Słyszemy was, UAF dziewięć osiem pięć — odpowiedział Hebert do stojącego przed nim mikrofonu.

— Właśnie przelecieliśmy nad środkiem oka cyklonu, jego średnica wynosi dwadzieścia pięć mil, zaraz prześlemy zdjęcia.

Ekran się rozjaśnił, widać było pierwsze obrazy. Lisa wstrzymała oddech. Dziewczynka, która tak bardzo bała

się tego potwora na ziemi, po raz pierwszy w życiu zobaczyła go od strony nieba. Obracał się majestatycznie; władczy, nieodparcie potężny, związał wokół swego oka imponujący biały tren. Przez głośniki słychać było oddech kapitana samolotu. Lisa zacisnęła palce na poręczach fotela. Weszła Mary z filiżanką ciepłej czekolady. Uniosła głowę i szeroko otworzyła oczy poruszona tym, co zobaczyła.

— Mój Boże — powiedziała cicho.

— To raczej diabła ma pani przed oczami — odrzekł Hebert. Lisa rzuciła się w jego stronę i złapała go mocno za rękę. Mary szybko podeszła, starając się ją uspokoić.

— Zniszczycie go? — krzyknęła Lisa.

— Nie mamy takiej możliwości.

— A dlaczego samoloty nie rzucą mu w oko bomby, przecież trzeba go rozwalić, dopóki jest nad morzem!

Uwolnił się z jej uścisku i wziął ją za ramiona.

— To by nic nie dało, Liso, nie dysponujemy taką siłą, która mogłaby go zatrzymać. Kiedyś to nam się uda, obiecuję ci, dlatego właśnie pracujemy tu bez wytchnienia. Kieruję tym ośrodkiem od trzydziestu pięciu lat, całe życie poświęciłem pogoni za tymi mordercami. W ciągu ostatnich dziesięciu lat zrobiliśmy duże postępy. Teraz musisz się uspokoić, potrzebuję cię, a żebyś była skuteczna, powinnaś zachować zimną krew. Będiesz mi pomagać, uprzedzimy ludzi o nadejściu huraganu, trzeba to zrobić na tyle

wcześniej, żeby wszyscy zdążyli *znaleźć* bezpieczne schronienie.

Pilot zakomunikował, że zaraz zbliży się do samego oka. Hebert posadził Lisę obok siebie, wziął do ręki mikrofon i powiedział:

— Bądźcie ostrożni.

Zdjęcia filmowe, chwilami przerywane, były coraz bardziej przejmujące. Kamery filmowały nieprawdopodobny zwał chmur o średnicy prawie trzydziestu pięciu kilometrów, którego ściany unosiły się na przestrzeni kilkuset metrów. Parę minut później ciszę przerwał głos, mówiący, że samolot wraca do bazy. Ekran natychmiast zgasł. Była jedenasta rano. Sam przyniósł właśnie kolejny wykaz, Hebert od razu go przeczytał. Odłożył kartkę i wziął za rękę Lisę, drugą ręką nacisnął guzik mikrofonu.

— Mówi dyrektor NHC, ogłaszam alert. Huragan Marilyn, którego obecna pozycja to czternaście stopni dwie minuty szerokości geograficznej północnej i pięćdziesiąt osiem stopni osiem minut długości geograficznej zachodniej, kieruje się w stronę amerykańskich Wysp Dziewiczych. W godzinach wieczornych dotrze do Martyniki i Gwadelupy. Natychmiast należy przedsięwziąć wszelkie kroki zmierzające do ewakuacji ludzi w bezpieczne miejsca. Statki, bez względu na tonaż, pływające w okolicach Antyli Francuskich, powinny natychmiast zawinąć do najbliższego portu. Prędkość wiatru dochodzi do siedemdziesięciu węzłów.

Odwrócił się do Sama i poprosił go, aby porównał ich dane z danymi zespołów CDO z Martyniki. Potem posadził Lisę przy nadajniku, dużymi literami napisał komunikat alarmowy i pokazał jej, jak zmieniać częstotliwość fal pokręteł.

— Liso, chciałbym, żebyś nadała ten komunikat na wszystkich częstotliwościach radiowych według tej listy; kiedy skończysz, zaczniesz od początku i tak dalej. W ten sposób nie pozwolimy mu wyrządzić szkód i uratujemy ludzkie życie. Kiedy będziesz zmęczona, zastąpi cię mama, zrozumiałaś?

— Tak — odpowiedziała zdecydowanie Lisa. Resztę dnia spędziła na ciągłym powtarzaniu komunikatu

alarmowego. Mary siedząca obok niej przekręcała gałkę radia; za każdym razem, gdy Lisa wysyłała komunikat w eter, czuła się jakby uwolniona od złej siły, wiedziała, że wreszcie bierze odwet na huraganach.

Wczesnym wieczorem Marilyn przeszła nad Martyniką i Gwadelupą. Kiedy po trzech S ukazała się cyfra 3, Lisa nie chciała zrobić przerwy i przyspieszyła nadawanie komunikatów. Mary ani na chwilę od niej nie odeszła; zastąpiła ją tylko na kilka minut, gdy Lisa musiała wyjść.

Mary odwróciła się do Heberta; miała oczy zaczerwienione ze zmęczenia.

— To bardzo męczące, nie macie jakiegoś systemu, który mógłby nadawać komunikaty automatycznie? — spytała Sama.

— Oczywiście, że mamy! — odpowiedział profesor z uśmiechem.

Trzydzieści jeden godzin po pierwszym alarmie huragan przeszedł nad wyspami St Croix i St Thomas, 16 września skierował się w stronę Puerto Rico. Przy każdym jego ruchu Lisa zmieniała częstotliwość radiową, uprzedzając o niebezpieczeństwie coraz bardziej odległe rejony, w coraz szybszym tempie. 17 września zanotowano największy niż, dziewięćset czterdzieści dziewięć hektopaskali, wiatry wiały wtedy z prędkością ponad stu węzłów, a huragan powrócił nad Atlantyk. Pod koniec dnia wiatry, które osiągnęły prędkość stu dwudziestu jeden węzłów, osłabły, kiedy ciśnienie wzrosło o dwadzieścia hektopaskali. Dziesięć godzin później ściana oka rozproszyła się nad oceanem. Marilyn zgasła w nocy z 21 na 22 września.



Po powrocie do Newark Lisa dowiedziała się, że huragan pociągnął za sobą tylko osiem ofiar, pięć na St Thomas, jedną na St Croix, jedną na St John i jedną w Puerto Rico. Po wygłoszeniu referatu w szkole przedstawiła propozycję, którą nauczyciel geografii natychmiast zaakceptował. Co rano wszyscy uczniowie jej klasy stali w milczeniu minutę... przez osiem kolejnych dni.

Co kwartał Lisa otrzymywała biuletyn informacyjny NHC. Zawsze było przy nim słówko od Heberta, który w lipcu przechodził na emeryturę. Regularnie korespondowała z Samem; zeszłej zimy przyjechał nawet ich odwiedzić. W czasie swego pobytu powiedział, że meteorolodzy z Centrum stale pytają, co u niej słyhać. Na wiosnę 1996 roku Mary opublikowała obszerny artykuł o huraganach w „Montclair Times”, słynny magazyn „National Geographic” zaproponował jej natychmiast napisanie pracy szerzej ujmującej temat — ukazała się w październiku.

Pracowała nad nią przez całe lato, wspomagana przez Lisę, która zajmowała się wyszukiwaniem wszelkich informacji, opracowywaniem syntez.

Prawie codziennie jeździły na Manhattan, po obiedzie na tarasie restauracji Picasso udawały się do Biblioteki

Narodowej przy Piątej Alei. Thomas ze swym najlepszym przyjacielem wyjechał na letni obóz do Kanady, Philip poświęcił się pracom remontowym w niewielkim mieszkaniu, które kupili w East Village jako lokatę kapitału, a może — nie przyznając się przed sobą — dla Lisy, gdyby kiedyś zechciała studiować na Uniwersytecie Nowojorskim. Mary zyskała uznanie za szkic opublikowany w „National Geographic”, zaproponowano jej więc na początku 1997 roku dwie kolumny tygodniowo w specjalistycznej rubryce w niedzielnym wydaniu „Montclair Times”. Lisa poszła w jej ślady i zaczęła pisywać w miesięczniku licealnym. Stopniowo oddalała się od tematów meteorologicznych.



Na początku następnego roku Lisa obchodziła dziewiętnaste urodziny, a Thomas piętnaste — 21 marca. Czerwiec obfitował w wydarzenia. Przygotowania do promocji usprawiedliwiły dwudniową pogoń za ciuchami po ulicach Village. Stephen przyszedł po Lisę do domu; gdy Philip zaczął dawać im rady, Mary piorunującym spojrzeniem poprosiła go, żeby nie starzał się przedwcześnie. Po raz pierwszy Lisa wróciła o świcie. W tym miesiącu miała też ukończyć naukę w liceum, a potem — już z dyplomem w kieszeni — wstąpić na uniwersytet. Stała się młodą uroczą kobietą, jej usta były teraz bardziej wydatne, uśmiech bardziej natural-

ny. Długie włosy opadały na śniade ramiona; promieniała urodą i raczej trudno jej było zachować „równowagę”. Z dziewczynki, która pojawiła się pewnego deszczowego dnia, pozostało już tylko spojrzenie, jakiś blask w głębi oczu, żywy, a zarazem niepokojący. W miarę jak zbliżał się dzień rozdania świadectw dojrzałości, Mary była coraz bardziej niespokojna. Wspomnienie obietnicy, którą dała Lisie w dzień jej powrotu przed pięcioma laty, przy stoliku w barze na lotnisku, często trapiło ją nocami, chociaż zachowanie córki nie wskazywało na to, że trzeba będzie dotrzymać słowa.



Thomas ostatni przyszedł do kuchni na śniadanie. Lisa zjadła już naleśniki, Mary musiała w pośpiechu posprzątać kuchnię. Philip trąbił, krótko naciskając klakson, żeby wszyscy wsiedli wreszcie do samochodu. Silnik był już włączony, kiedy ostatni pas został zapięty. Do liceum jechało się zaledwie dziesięć minut, Mary nie widziała więc powodu do aż takiego zniecierpliwienia. Podczas drogi Philip rzucał spojrzenia w lusterko, Lisa w odpowiedzi także na niego zerkiała. Mary próbowała skupić się na programie uroczystości, ale zrezygnowała, bo kiedy czytała w samochodzie, robiło jej się niedobrze. Zaparkowali i poszli się przywitać z nauczycielami. Philip był bardzo zdenerwowany. Zanim Lisa odeszła do swoich koleżanek,

Mary uspokoiła ją, że zawsze taki jest przed każdą choć trochę oficjalną uroczystością. Philip nalegał, aby Thomas i Mary usiedli na ławkach ustawionych przed estradą, na której odbędzie się rozdanie świadectw. Mary swoim zwyczajem uniosła brew, stukając palcem w zegarek. Uroczystość zaczyna się za godzinę, nie ma powodu do niepokoju, na razie pójdzie pospacerować po parku.

Kiedy wróciła, Philip siedział już w pierwszym rzędzie; na miejscach obok, które dla nich zajął, położył swe buty. Mary usiadła i zwróciła mu mokasyny.

— Masz wręcz nadmierną wyobraźnię, kiedy trzeba zająć miejsca! Jesteś pewien, że się dobrze czujesz?

— Takie uroczystości po prostu działają mi na nerwy.

— Dostanie dyplom! Philipie! Denerwować trzeba się było przedtem, kiedy wystawiano oceny!

— Nie wiem, jak ty to robisz, że jesteś taka spokojna, popatrz, już jest na estradzie, zaraz będzie wygłaszać mowę...

— ...której uczyliśmy się na pamięć od miesiąca. Proszę cię, nie wymachuj tak rękami.

— Wcale nie wymachuję!

— Wymachujesz, a twoje krzesło trzeszczy. Jeśli chcesz usłyszeć, co mówi twoja córka, postaraj się przynajmniej siedzieć przez chwilę spokojnie.

Thomas przerwał ich rozmowę: po tej dziewczynie, która teraz wita przybyłych, przemówi Lisa. Philip oczywiście

był spięty, ale przede wszystkim bardzo dumny. Odwrócił się, żeby policzyć, ile osób jest na uroczystości. Było dwanaście rzędów po trzydzieści miejsc każdy, czyli razem trzystu sześćdziesięciu widzów.



Czy coś nieokreślonego przyciągnęło jego uwagę, czy to może po prostu ten wieczny nawyk patrzenia za siebie? Z tyłu, za zgromadzonymi ludźmi, w ostatnim rzędzie, jakaś kobieta uważnie patrzyła na Lisę idącą w stronę mównicy.

Ani ciemne okulary, ani lekka pelerynka, którą była okryta, ani tym bardziej ślad upływającego czasu na jej twarzy nie przeszkodziły mu w rozpoznaniu Susan.

Mary uszczypnęła go w kolano:

— Jeśli nie zobaczyłeś tam ducha i jeśli chcesz być świadkiem wręczania dyplomu twojej córce, to raczej się odwróć, bo to właśnie teraz.

Gdy Lisa kłaniała się profesorom, lewa ręka Philipa, cała wilgotna, zaczęła drżeć. Mary ujęła jego dłoń i mocno zacisnęła palce. Gdy Lisa uroczyście podziękowała rodzicom za ich miłość i cierpliwość, Mary poczuła nieodpartą ochotę na naleśniki z cukrem.

Przetarła palcem powiekę, żeby odpędzić chwilowe wzruszenie, które przyćmiło jej wzrok, i puściła dłoń Philipa.

— Co ci jest? — spytała.

— Wzruszyłem się.

— Myślisz, że byliśmy dla niej dobrymi rodzicami? — spytała łagodnie.

Zaczerpnął tchu, nie mógł się powstrzymać od ponownego spojrzenia za siebie. Tam, gdzie, jak mu się zdawało, widział Susan, krzesło było puste. Powiódł spojrzeniem wokół, ale nigdzie jej nie dojrzał. Mary ściągnęła jego uwagę na Lisę, która kłaniała się właśnie, nagradzana oklaskami. Philip zaczął klaskać ze wszystkich sił.

Przez resztę popołudnia nie przestawał czatować. Dziesięć razy Mary pytała go, kogo szuka, dziesięciokrotnie odpowiadał, że nie czuje się najlepiej, że to ze wzruszenia. Z czułością przeproszał, postanowiła więc dać mu spokój i zająć się Thomasem i Lisą, póki ta jeszcze z nimi jest. Philip spacerował po przyległym do liceum parku, czasem okrążał jakieś drzewo, kłaniał się nagle mijanym ludziom, ale... Susan nigdzie nie było. Pod koniec dnia zdecydował się przyznać sam przed sobą, że miał przywidzenie. Wbrew temu postanowieniu modlił się, żeby tak było. O godzinie siedemnastej wszyscy troje szli w stronę parkingu. Podchodząc do samochodu, zobaczył go. Po prostu wsunięty w drzwi mały skrawek białego papieru złożony na czworo, na pewno kilka linijek, które już teraz zapierały mu dech, minio że dopiero się wahał, czyje przeczytać. Zachował tę tajemnicę w ściśniętej ręce przez całą drogę powrotną. Mary nie powiedziała ani słowa. Zatrzymał samochód

przed domem, aby coś wyjąć z bagażnika, więc rodzina na niego nie czekała.

Kiedy został sam, rozwinął liścik, który ograniczał się do jednej cyfry i jednego słowa: „7 rano”. Schował kartkę do kieszeni i poszedł do domu.



Podczas kolacji Lisa nie mogła zrozumieć przyczyny milczenia, chwilami przerywanego jedynie kilkoma krótkimi, wymuszonymi zdaniami, które wypowiadała Mary. Jeszcze nie zaczęli deseru, gdy Thomas oświadczył, że z powodu „radosnej atmosfery” woli raczej iść do swojego pokoju. Lisa patrzyła po kolei na Philipa i na Mary.

— Co wam się nagle stało, że macie takie pogrzebowe miny, pokłóciliście się czy co?

— Wcale nie — rzekła Mary. — Po prostu ojciec jest zmęczony; każdy czasami może się poczuć gorzej.

— Przyjemny nastrój, nie ma co, i to w przeddzień mojego wyjazdu. Pójdę na górę, muszę spakować torbę, potem idę na imprezę do Cindy.

— Masz samolot o szóstej wieczorem, możesz spakować torbę jutro, żeby ubrania się nie pogniosły — odpowiedział Philip.

— Teraz nosi się właśnie naturalne zagniecenia; odprasowane ciuchy, wszystko okropnie porządne, zostawiam to wam i was też zostawiam.

Poszła na górę do pokoju brata.

— Co im się stało?

— Nie domyślasz się, Liso? To dlatego, że jutro wyjeżdżasz, już od tygodnia mama nie może sobie znaleźć miejsca. Przedwczoraj wchodziła do twojego pokoju co najmniej pięć razy, poprawiała zasłony, potem przestawiała jakąś książkę na półce, wygładzała pościel. Przechodziłem właśnie korytarzem i widziałem, jak wzięła twoją poduszkę i przytknęła do twarzy!

— Przecież wyjeżdżam tylko na dwa miesiące do Kanady; co to będzie, kiedy wyprowadzę się z domu!

— Zostanę sam, kiedy wyjedziesz, będzie mi cię bardzo brakować tego lata.

— Napiszę do ciebie, mięczaku, a w przyszłym roku pojedziesz na mój letni obóz i wtedy będziemy razem.

— Miałabyś być moją wychowawczynią? Nigdy! No, idź się pakuj, zdrajczyni!



Od pięciu minut Philip wycierał ten sam talerz. Mary kończyła sprzątanie stołu, patrząc na męża. Zrobiła w jego stronę ten swój, nie do podrobienia, ruch brwią. Nie zareagował.

— Philipie, chcesz o tym porozmawiać?

— Nie ma powodu do niepokoju — odpowiedział. — Wszystko będzie dobrze w Kanadzie.

— Nie o tym mówię, Philipie.

— A o czym?

— O tym, co cię wprawiło w taki stan już na uroczystości.

Odstawił talerz na zlewozmywak, podszedł do niej i poprosił, aby usiadła.

— Mary, chcę ci coś powiedzieć, coś, co powinienem był ci powiedzieć już dawno.

Patrzyła na niego z niepokojem.

— Uważaj z tymi swoimi piorunującymi rewelacjami! O co chodzi?

Popatrzył jej prosto w oczy i pogładził ją po twarzy. Dostrzegła w jego oczach wzruszenie, a ponieważ zamilkł, jakby słowa, których szukał, tkwiły mu w gardle, ponowiła pytanie:

— Co chciałbyś mi powiedzieć?

— Mary, od dnia, gdy Lisa pojawiła się w naszym życiu, zrozumiałem coś. Każdego ranka, gdy wstawałem, przy każdym twoim oddechu, kiedy patrzyłem, jak śpisz, za każdym razem, gdy twoje spojrzenie napotykało moje albo gdy twoja ręka była w mojej dłoni, tak jak teraz, zrozumiałem, dlaczego i jak bardzo cię kocham. Wszystkie siły, jakie mi poświęciłaś, twoje zmagania, uśmiechy, wszystkie twoje wątpliwości, które w końcu pokonywałaś, moje, które znikaly dzięki twojej ufności, twoim wyborom, cierpliwości, wszystkie dni spędzone razem, obok siebie, to

najpiękniejszy podarunek na świecie: ilu mężczyzn doświadczyło przywileju kochania i bycia tak kochanym?

Oparła głowę o jego tors, tak jakby chciała lepiej usłyszeć bicie serca, a może też dlatego, że tak długo oczekiwała tych słów.

Zarzuciła mu rękę na szyję.

— Philipie, musisz tam pójść, ja nie mogę, nie powinnam, wytłumaczysz jej.

— Dokąd?

— Dobrze wiesz dokąd. Jakże Lisa jest do niej podobna, aż trudno uwierzyć! Wiem, gdzie wyznaczyła ci spotkanie, na tym skrawku papieru, który chowałeś w rękę przez całą drogę powrotną.

— Nie pójdę.

— Pójdiesz, nie dla ciebie, ale dla Lisy.

Później, kiedy już byli w pokoju, długo rozmawiali, wtuleni w swoje ramiona, rozmawiali o sobie, Thomasie i Lisie.



Prawie nie spali. Wstali o świcie, Mary natychmiast zeszła do kuchni przygotować śniadanie. Philip ubrał się i wszedł do pokoju Lisy. Podeszedł do łóżka, dotknął jej policzka, żeby łagodnie ją obudzić. Otworzyła oczy i się uśmiechnęła.

— Która godzina?

— Pospiesz się, dziecko, ubierz się i zejdz na dół. Spojrzała na budzik i od razu zamknęła oczy.

— Samolot odlatuje dopiero o szóstej wieczorem! Tato, wyjeżdżam tylko na dwa miesiące, rozluźnijcie się. Mogę jeszcze pospać? Późno wróciłam!

— Prawdopodobnie polecisz innym samolotem. Wstań, kochanie, i nie trać czasu, musimy się pospieszyć. Po drodze wszystko ci wyjaśnię.

Pocałował ją w czoło, wziął torbę leżącą na biurku i wyszedł z pokoju. Lisa potarła twarz, wstała, włożyła spodnie, koszulową bluzkę i w pośpiechu zawiązała sznurowadła. Kilka chwil później zeszła na dół, z zaspanymi oczami. Philip czekał przy wyjściu, powiedział, że idzie do samochodu i zamknął za sobą drzwi.

Mary wyszła z kuchni.

— Przygotowałam śniadanie, ale chyba nie macie już czasu.

— Co się dzieje? — spytała zaniepokojona Lisa. — Dlaczego wyjeżdżam tak wcześnie?

— Tata opowie ci wszystko w samochodzie.

— Ale... nawet nie pożegnałam się z Thomasem.

— On śpi, nie martw się, pożegnam go od ciebie. Napiszesz do mnie, prawda?

— Coś przede mną ukrywacie?

Mary podeszła i objęła Lisę ramionami, aż do utraty tchu, po czym przybliżyła usta do jej ucha.

— Nie mogę dotrzymać słowa do końca, ale zrobię, co w mojej mocy.

— O czym ty mówisz?

— Liso, cokolwiek zrobisz, w każdym momencie życia, nigdy nie zapominaj, jak bardzo cię kocham.

Uwolniła ją z uścisku, otworzyła drzwi i z czułością popchnęła dziewczynę w stronę Philipa, który czekał przed domem. Z wahaniem i obawą Lisa stała nieruchomo przez kilka sekund, patrząc na Mary, starając się pojąć ból, jaki dostrzegła w jej oczach. Ojciec wziął ją za ramię i pociągnął za sobą.



Tęgo rana padało. Wyciągniętą ręką Philip trzymał kurczowo już dorosłą dłoń Lisy. Torba w jej drugiej ręce była teraz o wiele cięższa.

Tak widziała ją Mary w bladym świetle, gdy czas znowu nieruchomieje. Jej czarne włosy bezładnie opadały na ramiona, deszcz spływał po śniadej skórze. Teraz jej strój wyglądał doskonale. Szli powoli alejką. Mary, stojąca pod daszkiem, chciała powiedzieć coś jeszcze, ale to już nie miałoby żadnego znaczenia. Zamknęły się drzwi samochodu. Lisa po raz ostatni pomachała ręką, po czym zniknęli za zakrętem.



W drodze Lisa bez przerwy pytała Philipa, on zaś nie odpowiadał na jej pytania, bo nie znajdował właściwej odpowiedzi. Wjechali na drogę prowadzącą do kilku terminali lotniska; zwolnił. Lisa czuła niepokojące połączenie strachu i złości, coraz silniejsze. Postanowiła nie wysiadać z samochodu, dopóki Philip nie poinformuje jej o powodach tego pospiesznego wyjazdu.

— Co was napadło? Tak bardzo porusza was mój wyjazd? Tato, wyjaśnisz mi w końcu, o co chodzi?

— Podwiozę cię przed wejście i pojedę na parking.

— Dlaczego Mary nie pojechała z nami?

Philip zatrzymał samochód przy krawężniku. Popatrzył córce głęboko w oczy, ujmując obie jej dłonie.

— Liso, posłuchaj, wejdiesz do budynku dworca lotniczego, pojedziesz w górę schodami z prawej strony, potem pójdziesz korytarzem i wejdiesz do baru...

Twarz dziewczyny się skurczyła; ze stanowczej postawy ojca Lisa odgadła, że jakaś nieoczekiwana zasłona opada na jej przeszłość.

— Pójdziesz na sam koniec sali. Przy stoliku przylegającym do szklanej ściany ktoś na ciebie czeka.

Wargi Lisy zaczęły drżeć, całym ciałem wstrząsnął gwałtowny szloch, oczy napełniły się łzami, tak jak oczy Philipa.

— Pamiętasz starą czerwoną zjeżdżalnię? — spytał wzruszonym głosem.

— Nie zrobiliście mi tego, powiedz, że to nieprawda, tato!

Nie czekając na odpowiedź, chwyciła torbą z tylnego siedzenia i wysiadła z samochodu, gwałtownie trzaskając drzwiami.



Lotnisko w Newark. Auto właśnie zatrzymało się przed wejściem, po czym odjechało wśród zgiełku ulicznego ruchu, jaki zawsze panuje wokół dużych miast; poprzez zasłonę łez Lisa patrzy, jak samochód znika w oddali. Ogromna torba leżąca u jej stóp waży prawie tyle co ona sama. Z grymasem na twarzy bierze ją na ramię. Wyciera oczy, mija automatyczne drzwi pierwszego terminalu i przebiega przez hol. Po prawej stronie ruchome schody prowadzą na pierwszy poziom; mimo ciężaru, przygniatającego jej ramiona, wchodzi po nich i zdecydowanym krokiem idzie przez korytarz. Zatrzymuje się przed szklaną ścianą baru skąpanego w pomarańczowym świetle, patrzy przez szybę. O tak wczesnej porze przy kontuarze nie ma nikogo. Wyniki rozgrywek sportowych przesuwają się na ekranie telewizora wiszącego nad głową starego barmana, który wyciera kieliszki. Lisa otwiera drewniane drzwi z okrągłym okienkiem, wchodzi, jej wzrok błąka się ponad zielonymi i czerwonymi stolikami.

I wtedy ją dostrzega, siedzącą w głębi, przy oszklonej

ścianie nad samą płytą lotniska. Złożona gazeta leży na stole, Susan opiera brodę na prawej ręce, a palcami lewej bawi się medalikiem zawieszonym na szyi. Jej spojrzenie, którego Lisa jeszcze nie widzi, utkwione jest gdzieś w dali, ponad betonem w żółte pasy, tam, gdzie powoli suną samoloty. Susan odwraca się, zakrywa usta dłonią, jakby chciała powstrzymać wzruszenie, mimo woli wymykające się w szeptcie „mój Boże”; wstaje. Lisa waha się chwilę, idzie lewą stroną wzdłuż rzędu stolików, podchodzi cichym krokiem. Patrzą na siebie zaczerwienionymi oczami, nie wiedząc, co powiedzieć. Susan spogląda na dużą torbę Lisy. Pod stołem leży jej torba, identyczna. Susan się uśmiecha.

— Jaka jesteś ładna!

Nieruchoma, milcząca Lisa patrzy na nią, nie spuszczając z niej wzroku, siada, Susan powoli robi to samo. Chciałaby pogłaskać córkę po policzku, ale Lisa gwałtownie odchyła się do tyłu.

— Nie dotykaj mnie!

— Liso, gdybyś wiedziała, jak bardzo mi cię było brak.

— A ty może wiesz, że twoja śmierć wypełniła moje życie koszmarami?

— Pozwól, że ci wyjaśnię.

— Jak można wyjaśnić to, co mi zrobiłaś? Może wyjaśnisz mi raczej, co ja ci zrobiłam, że o mnie zapomniałaś?

— Nigdy o tobie nie zapomniałam, to nie z twojego

powodu, Liso, to z mojego powodu, z powodu mojej miłości do ciebie.

— Taka jest twoja definicja miłości? Opuścić mnie?

— Nie masz prawa mnie osądzać, dopóki nie wiesz.

— A ty miałaś prawo do tego kłamstwa?

— Musisz przynajmniej mnie wysłuchać, Liso!

— A ty mnie słyszałaś, kiedy cię wołałam w moich koszmarach snach?

— Tak, myślę, że tak.

— To dlaczego po mnie nie przyjechałaś?

— Bo było już za późno.

— Na co za późno? Między matką a córką nie istnieje „za późno”.

— Liso, teraz nie ty jedna o tym decydujesz.

— Mama umarła!

— Nie mów tak, proszę cię.

— To jest zdanie, które mnie naznaczyło; to pierwsze słowa, jakie wypowiedziałam w Ameryce.

— Jeśli chcesz, odejdę, ale tak czy inaczej, zawsze cię będę kochać...

— Nie pozwalam ci tak do mnie mówić teraz. To za łatwe. Więc mów, „mamo”, powiedz mi, że się mylę, powiedz dlaczego. I błagam, przekonaj mnie.

— Dostaliśmy ostrzeżenie o tropikalnej burzy, a góry były zbyt niebezpieczne dla dziewczynki w twoim wieku. Pamiętasz, opowiadałam ci, że kiedyś w czasie burzy

o mało nie zginęłam? Więc pojechałam do doliny, by cię zostawić u ludzi z obozu Sula, żebyś była z dala od niebezpieczeństwa. Nie mogłam opuścić mieszkańców osady.

— Ale mnie mogłaś!

— Nie byłaś sama! Lisa zaczęła krzyczeć:

— Byłam sama! Bez ciebie byłam bardziej sama niż w najgorszym śnie, tak jakby mi miało zaraz pęknąć serce!

— Córeczko, przytuliłam cię, ucałowałam i pojechałam w góry. W środku nocy obudził mnie Rolando. Waliły w nas ulewne deszcze, domy zaczynały się chwiać. Pamiętasz Rolanda Alvareza, przywódcę wioski?

— Zapamiętałam zapach ziemi, każdego pnia, kolor wszystkich drzwi w domach, bo najdrobniejsza cząstka tych wspomnień to było to, co pozostało mi z ciebie; potrafisz to pojąć? Może dzięki temu uświadomisz sobie tę pustkę, którą zostawiłaś?

— Zaprowadziliśmy mieszkańców wioski na szczyt w rześistej ulewie. W czasie drogi, w ciemności, Rolando pośliznął się na zboczu. Rzuciłam się na ziemię, żeby go podtrzymać, i złamałam sobie nogę w kostce. Trzymał się mnie kurczowo, ale był zbyt ciężki.

— Ja też byłam za dużym ciężarem dla ciebie? Gdybyś wiedziała, jaki mam do ciebie żal!

— W świetle błyskawicy zobaczyłam, że się uśmiecha; „Dona, zajmij się nimi, liczę na ciebie”, to były jego

ostatnie słowa. Puścił moją rękę, żeby nie ściągnąć mnie razem z sobą do wąwozu.

— Ten twój Alvarez nie prosił cię, żebyś choć troszeczkę zajęła się swoją własną córką w tym całym szlachetnym poświęceniu, żeby ona też mogła na ciebie liczyć?

Susan podniosła głos.

— Był dla mnie jak ojciec, Liso, jak ojciec, którego życie mi odebrało!

— I ty ośmielasz się mówić mi coś takiego? Przecież nie brakuje ci powietrza! To mnie kazałaś spłacić rachunek za twoje dzieciństwo. Co ja ci zrobiłam, mamó? Oprócz tego, że cię kochałam, co ja ci takiego zrobiłam?

— O świcie droga zniknęła, wraz ze zboczem góry. Przez ponad dwa tygodnie nie miałam możliwości porozumienia się ze światem zewnętrznym. Fala błota zniosła szczątki aż do doliny i to sprawiło, że władze, które nie wysłały żadnej pomocy, uważały nas wszystkich za zmarłych. Zająłam się więc tymi, z którymi spędzałaś dzieciństwo, organizowałam opiekę nad rannymi, kobietami i dziećmi na skraju wyczerpania, którym trzeba było pomóc przeżyć.

— Ale nie nad własną córeczką, która ze strachem czekała na ciebie w dolinie.

— Gdy tylko mogłam zjechać na dół, natychmiast wyruszyłam na poszukiwanie ciebie, potrzebowałam jeszcze pięciu dni na drogę. Kiedy wreszcie dotarłam do obozowiska, już cię tam nie było. Zostawiłam dokładne polecenia

żonie Thomasa, która kierowała ambulatorium w Ceiba. Gdyby mi się coś stało, mieli cię zawieźć do Philipa. Po przybyciu na miejsce dowiedziałam się, że jesteś jeszcze w Tegucigalpie, że wylatujesz dopiero wieczorem do Miami.

— Dlaczego po mnie nie przyjechałaś?! — krzyknęła Lisa jeszcze gwałtowniej.

— Zrobiłam to! Natychmiast wskoczyłam do samochodu. Ale w drodze pomyślałam o podróży, jaką masz przed sobą, o celu tej podróży, po prostu o twoim dalszym losie. Jechałaś do domu, z którego miałaś wychodzić każdego rana do prawdziwej szkoły, z nadzieją na prawdziwą przyszłość. Przeznaczenie kazało mi natychmiast wybrać za ciebie, bo znajdowałaś się, bez mojego w tym udziału, w drodze do innego dzieciństwa, którego tłem nie będą śmierć, samotność i nędza.

— Nędza dla mnie oznaczała to, że nie było ze mną mojej matki, która mogłaby mnie przytulić, kiedy jej potrzebowałam; nie masz pojęcia, jak bardzo dokuczała mi samotność przez pierwsze lata bez ciebie; i ten śmiertelny strach, że zapomnę twój zapach; kiedy padał deszcz, potajemnie wychodziłam i brałam w ręce wilgotną ziemię, wąchałam ją, żeby nie zapomnieć zapachów „stamtąd”, tak bardzo się bałam, że zapomnę, jak pachnie twoja skóra.

— Pozwoliłam ci wyjechać do nowego życia w prawdziwej rodzinie, w mieście, gdzie atak wyrostka robacz-

kowego cię nie zabije tylko dlatego, że szpital jest za daleko, gdzie możesz się uczyć z książek, ubierać w inne rzeczy niż połatane łachy, które poszerza się, w miarę jak rośniesz, gdzie jest odpowiedź na wszystkie pytania, jakie mi zadawałaś, gdzie nigdy więcej nie będziesz się musiała bać deszczu padającego w nocy, a ja nie będę się bała, że nawałnica zabierze mi cię na zawsze.

— Zapomniałaś tylko o największym strachu, strachu przed życiem bez ciebie. Przecież ja miałam dziewięć lat, mam! Ileż razy przygryzałam język aż do krwi!

— To była szansa dla ciebie, kochanie, nie dla mnie. Jedynym moim wyrzutem sumienia było to, że nie mogłam, a może tak naprawdę nie potrafiłam być matką.

— Tak bardzo bałaś się mnie kochać?

— Gdybyś wiedziała, jaki to był trudny wybór.

— Dla ciebie czy dla mnie?

Susan odsunęła się, żeby popatrzeć na córkę; gniew Lisy przechodził w smutek. Deszcz, który pozostał w jej umyśle, płynął teraz obficie po policzkach.

— Myślę, że dla nas obu. Później to zrozumiesz, Liso, ale gdy patrzyłam na ciebie stojącą na estradzie, taką ładną w galowym stroju, gdy patrzyłam na tych, którzy są teraz twoją rodziną, siedzących w pierwszym rzędzie, zrozumiałam, że dla mnie spokój i smutek są siostrami, tak jak chwila, w której wreszcie znalazłam odpowiedź.

— Tata i Mary wiedzieli, że żyjesz?

— Nie, do wczoraj nie. Nie powinnam była przyjeżdżać, chyba nie miałam już do tego prawa, ale bywałam tu co roku, chciałam po prostu popatrzeć na ciebie przez ogrodzenie szkolne, tylko kilka minut, tak żebyś o tym nie wiedziała.

— A mnie nie było dane wiedzieć, choć przez kilka sekund, że żyjesz. Mamo, coś ty zrobiła z tym życiem?

— Nie żałuję, Liso. To życie nie było łatwe, ale je przeżyłam i jestem z tego dumna. Twoje życie będzie inne. Popęłniłam błędy, ale biorę za nie odpowiedzialność.

Meksykański barman postawił przed Susan puchar z dwiema kulkami lodów waniliowych, polanych ciepłą czekoladą, posypanych płatkami migdałowymi i dodatkowo obficie polanych sosem karmelowym.

— Zamówiłam je, zanim przyszedł. Musisz spróbować — powiedziała Susan. — To najlepszy deser na świecie!

— Nie chce mi się jeść.

W holu dworca lotniczego Philip spacerował tam i z powrotem. Mocno zaniepokojony wychodził czasem na ulicę, pozostając jednak ciągle w pobliżu drzwi wyjściowych. Gdy zmoczył go deszcz, wracał w pobliże ruchomych schodów i ciągle kręcił się w kółko.



Susan i Lisa dochodziły do porozumienia. Ciągle rozmawiały, rozgrzebując przeszłość, w intymnym nastroju

dłuższej chwili poza czasem, w której smutki ich obu łączyły się we wspólnej, skrytej nadziei, że może nie jest jeszcze za późno. Susan zamówiła następną porcję lodów, Lisa w końcu ich spróbowała.

— Chciałaś, żebym z tobą wyjechała? Dlatego mnie tu przywieźli?

— Umówiłam się tu z Philipem!

— Jak uważasz, co powinnam zrobić?

— To, co ja w twoim wieku: podjąć własną decyzję!

— Brakowało ci mnie?

— Każdego dnia.

— Jego też ci brakowało?

— To już moja sprawa.

— Chcesz wiedzieć, czy jemu ciebie brakowało?

— A to już jego sprawa.

Susan zdjęła z szyi łańcuszek i podała Lisie.

— Prezent dla ciebie.

Lisa obejrzała medalik i delikatnie zacisnęła na nim palce Susan.

— Ten medalik chroni cię od zawsze; ja żyję tutaj, mnie chroni moja rodzina.

— Mimo to weź go, zrobisz mi ogromną przyjemność. W odruchu wielkiej miłości Susan pochyliła się do Lisy

i objęła ją. W czułym uścisku wyszeptała jej do ucha: "Jestem z ciebie taka dumna". Twarz Lisy rozjaśniła się słabym uśmiechem.

— Mam chłopaka. Może w przyszłym roku zamieszkamy razem na Manhattanie, w pobliżu uczelni.

— Liso, bez względu na twój wybór, zawsze będą cię kochać, na swój sposób, nawet jeśli ta miłość nie jest prawdziwie „matczyna”.

Lisa położyła rękę na dłoni Susan i powiedziała z czułym, niekontrolowanym uśmiechem:

— Wiesz, na czym polega mój paradoks? Może nie byłam twoją córką, ale ty zawsze będziesz moją matką.

Obiecały sobie, że spróbują do siebie pisać. Może nawet kiedyś, jeśli tego zapragnie, Lisa przyjedzie do niej. Po tych słowach wstała, obeszła stół i wzięła matkę w ramiona. Położyła głowę na jej ramieniu i upajała się zapachem mydła, który budził tyle wspomnień.

— Teraz muszą już iść, lecą dziś do Kanady — powiedziała.
— Zejdiesz ze mną?

— Nie, on nie chciał tu przyjść i sądzą, że tak jest lepiej.

— Mam mu coś od ciebie przekazać?

— Nie — odpowiedziała Susan.

Lisa wstała i ruszyła w stronę wyjścia. Kiedy doszła do drzwi, Susan zawołała:

— Zapomniałaś medalika!

Lisa odwróciła się i uśmiechnęła:

— Nie, na pewno nie, niczego nie zapomniałam, mamo. Drzwi z okrągłym okienkiem zamknęły się za nią. Czas zaczynał się dłużyć, Philip był niespokojny. Jego

cierpliwość się wyczerpała, ogarnęło go uczucie paniki, wszedł na ruchome schody. Ujrzał córkę w miejscu skrzyżowania schodów. On jechał w górę, ona zjeżdżała, uśmiechając się do niego.

— Czekam na ciebie na dole czy ty czekasz na mnie na górze?
— spytała głośno Lisa.

— Nie ruszaj się, zaraz do ciebie zjadę.

— To nie ja się ruszam, ale ty!

— Czekaj na dole, już lecę!

Serce zaczęło mu mocniej bić, potrącił kilku pasażerów, żeby utorować sobie drogę, a ruchome schody oddalały ich od siebie jeszcze bardziej. W miejscu, gdzie schody spłaszczają się i znikają pod podłogą, uniósł głowę. Na piętrze stanął twarzą w twarz z Susan.

— Długo kazałam ci czekać? — spytała z uśmiechem wzruszenia na ustach.

— Nie.

— Dawno tu jesteś?

— Nie mam pojęcia.

— Postarzałeś się, Philipie.

— Miła jesteś, dziękuję.

— Nie, nie, uważam, że jesteś bardzo ładny.

— Ty też.

— Wiem, ja też się postarzałam, nie da się tego uniknąć.

Nie, chciałem powiedzieć, że też jesteś bardzo ładna.

- Przede wszystkim Lisa jest niezwykle piękna.
- Tak, rzeczywiście.
- Dziwne, tak się tu spotkać — rzekła Susan. Philip rzucił pełne niepokoju spojrzenie w stronę baru.
- Chcesz, żebyśmy...
- Nie sędzę, żeby to był dobry pomysł. A poza tym stół może być zajęty — powiedziała z uśmiechem.
- Jak to się wszystko stało, Susan?
- Lisa może ci wyjaśni, a może nie! Przykro mi, Philipie.
- Nie, nie jest ci przykro!
- Chyba masz rację. Ale szczerze mówiąc, nie chciałam, żebyś mnie wczoraj zobaczył.
- Tak jak i w dzień mojego ślubu?
- Wiedziałaś, że przyjechałam?
- W chwili gdy weszłaś do kościoła; a potem liczyłem każdy twój krok, kiedy się wycofywałaś.
- Philipie, nigdy nie było między nami kłamstw.
- Wiem, tylko wykręty i preteksty, które zresztą mieszały się z sobą.
- Kiedy po raz ostatni spotkaliśmy się tutaj, miałam ci powiedzieć coś bardzo ważnego, o czym uprzedzałam cię w liście. — Wzięła głęboki oddech. — To właśnie miałam ci powiedzieć, że spodziewam się Lisy i...
- Rozległ się głos z megafonu i zagłuszył koniec zdania.
- I co? — odezwał się.

Stewardesa po raz ostatni wzywała pasażerów lecących do Miami.

— To mój samolot — rzekła Susan. — *Last cali...* Pamiętasz? Philip przymknął oczy. Dłoń Susan dotknęła jego policzka.

— Ciągłe masz ten uśmiech a la Charlie Brown. Idź szybko na dół, idź do niej, umierasz z niecierpliwości, a ja spóźnię się na samolot, jeśli będziesz tak tu tkwić bez końca.

Philip objął Susan i pocałował ją w policzek.

— Dbaj o siebie, Susan.

— Nie martw się, zdążyłam nabrać wprawy! No, idź już!

Wszedł na pierwszy stopień schodów, zawołała go ostatni raz.

— Philipie? Odwrócił się.

— Tak, Susan?

— Dziękuję!

Twarz mu się odprężyła.

— To nie mnie trzeba dziękować, lecz Mary.

Zanim zniknął jej z pola widzenia, przesadnie wydeła policzki i zdmuchnęła pocałunek z dłoni, pozostawiając mu w pamięci minę klauna.



W holu lotniska zdziwieni podróżni patrzyli na młodą dziewczynę z rozłożonymi rękami czekającą na przemo-
czonego deszczem mężczyznę na dole wielkich ruchomych
schodów, których barwy zacierały się w myślach i przypo-
minały starą czerwoną zjeżdżalnię.

Przytulił ją mocno.

— Jesteś cały mokry. Tak bardzo pada? — spytała.

— Huragan! Co chcesz robić?

— W końcu samolot mam dopiero wieczorem! Zawieź mnie
do domu!

Lisa chwyciła Philipa za rękę i pociągnęła go do wyjścia.

Twarz Susan, już w przejściu do samolotu, rozpromieniła się
na widok tych dwojga wychodzących z dworca lotniczego.

Z samochodu Philip zadzwonił do domu. Mary natychmiast
odebrała.

— Jest ze mną, wracamy do domu, Kocham cię.

22 października Sam poinformował nowego dyrektora NHC, że na Morzu Karaibskim powstaje podejrzany obszar niskiego ciśnienia. Cztery dni później na jego ekranie, po trzech literach S ukazała się cyfra 5.

Najpotężniejszy huragan w tym wieku, o szerokości dwustu osiemdziesięciu kilometrów, doprowadzał wiatry do prędkości ponad trzystu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę i gnał w kierunku Ameryki Środkowej.

Susan wyjechała cztery miesiące temu. Thomas rozpoczął naukę w liceum, Lisa i Stephen przeżywali pierwsze tygodnie na uniwersytecie. Niebawem Lisa przeprowadzi się do niewielkiego mieszkania na Manhattanie. Philip i Mary czasem rozmawiali o opuszczeniu Montclair i ponownym zamieszkaniu w Nowym Jorku.

30 października, pod koniec dnia, Mitch zaatakował wybrzeża Hondurasu. W nocy dwie trzecie kraju zostały zdewastowane, zginęło czternaście tysięcy czterysta osób...



...Tej samej nocy, kilka tysięcy kilometrów stamtąd, „po drugiej stronie świata”, w lotniskowym barze, meksykański barman, kończąc swą pracę, wycierał gąbką stolik przy szklanej ścianie.

Podziękowania

Za ich obecność i rady dla:

Bernarda Barraulta, Kamela Berkane'a, Antoine'a Caro, Guillaume'a Gallienne'a, Pauline Guena, Philippe'a Gueza, Katrin Hodapp, Lisy i Emily, Daniele i Raymonda Levych, Lorraine Levy, Roseline, Jenny Licos, Colette Perier, Aline Souliers oraz Susanny Lea i Antoine'a Audouarda.

Za pomoc w dokumentacji dziękuję:

Dany'emu Jucaudowi, śledczemu Lucasowi Millerowi z nowojorskiej policji, profesorowi Hucowi i całej ekipie z Centre des ouragans (CDO).